

JACK HIGGINS

**MROCZNA STRONA
ULICY**

CYKL: PAUL CHAVASSE TOM 5

PRZEŁOŻYŁ: PAWEŁ WITKOWSKI

TYTUŁ ORYGINAŁU: DARK SIDE OF THE STREET

1. Zabawa w wojnę

Gdzieś za wrzosowiskiem rozległy się nagle dziwnie przytłumione w skwarze południa złowieszcze odgłosy kanonady. Spowodowało to nagłe ożywienie wśród rozebranych do pasa więźniów, pracujących na dole w głębi kamieniołomu.

Ben Hoffa pracował w cieniu północnej ściany, między zwałami wielkich bloków łupku. Uniósł akurat nad głową pięciokilogramowy młot. Przerwał pracę i opuścił go powoli, żeby popatrzeć w górę, w kierunku odległych wzgórz, osłaniając przy tym ręką oczy od słońca.

Był niskim mężczyzną dobiegającym czterdziestki, dobrze umięśnionym i żyłastym, o szerokich ramionach, przedwcześnie posiwiałych włosach i oczach tak zimnych i twardych, jak otaczające go skalne bloki. Jego towarzysz, O'Brien, wysoki, flegmatyczny Irlandczyk, rozluźnił uchwyt łomu, który trzymał z lekkością znamionującą ogromną siłę, i wyprostował się, marszcząc brwi.

- A cóż to, u diabła, może być?

- Artyleria polowa - wyjaśnił mu Hoffa.

O'Brien spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Chyba żartujesz.

- Letnie manewry - wojsko odbywa je co roku mniej więcej o tej porze.

Obserwowali trzy samoloty transportowe, przesuwane się wzdłuż linii horyzontu w pewnej odległości od nich i rząd jedwabistych czasz spadochronów, które otwierały się na niebie, gdy żołnierze skakali w otwartą przestrzeń, by poszybować lekko w dół, jak dmuchawce niesione łagodnym powiewem wiatru. Wrażenie całkowitej swobody i kontrast otwartej przestrzeni z ich sytuacją był tak dojmujący, że O'Brien poczuł nagle bolesną pustkę w żołądku. Jego dłonie zacisnęły się konwulsyjnie na żelaznym drągu, ale Hoffa pokręcił przecząco głową.

- Nie ma szans, Paddy, nie zrobiłbyś nawet dziesięciu kilometrów.

O'Brien opuścił łom na ziemię i wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

- A jednak taki widok kusi, zmusza do myślenia o wolności.

- Najgorsze jest pierwsze pięć lat - powiedział Hoffa z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Na kamieniach za ich plecami zachręściły buty - O'Brien obejrzał się przez ramię i sięgnął po łom.

- Parker - rzucił krótko.

Hoffa nie przejął się wcale ostrzeżeniem i nadal przyglądał się spadochroniarzom, opadającym bezwładnie gdzieś nad wrzosowiskiem w odległości około pięciu lub sześciu kilometrów, podczas gdy młody funkcjonariusz więzienny podchodził coraz bliżej. Pomimo upału strażnik zachował coś ze specyficznej elegancji umundurowanego służbisty w sztywno wykrochmalonej koszuli z naramiennikami wojskowego kroju i w sposobie noszenia nasuniętej na oczy mundurowej czapki.

Zatrzymał się o metr czy dwa od nich, wygrazając lekko trzymaną w prawej ręce pałką.

- A tobie, Hoffa, wydaje się, że gdzie niby jesteś, do jasnej cholery? - zapytał szorstko. - Na wycieczce ze szkółki niedzielnej? Hoffa odwrócił się, spojrzął na niego niedbale, po czym bez słowa splunął w dłoń, wysoko uniósł w górę młot i z bezczelnym spokojem opuścił go prosto na żelazny łom, z niezwykłą precyzją i sprawnością rozłupując blok na dwoje.

- Dobra, Paddy - odezwał się do Irlandczyka - dawaj następny.

Nie zwracał zupełnie uwagi na Parkera. Zachowywał się tak, jakby strażnika w ogóle nie było. Funkcjonariusz więzienny stał przy nich przez chwilę z poszarzałą z wściekłości twarzą, po czym nagle odwrócił się i odszedł.

- Chcesz się doigrać, Ben - powiedział O'Brien. - Ten facet dostanie cię w końcu. Nawet jeśli miałby czekać na okazję przez cały rok, to kiedyś cię wreszcie dostanie.

- Na to właśnie liczę - odparł Hoffa i nie zwracając uwagi na wyraz zaskoczenia i zdziwienia, który pojawił się na twarzy Irlandczyka, uniósł młot wysoko ponad głowę i ponownie opuścił go, uderzając z bezbłędną precyzją.

Dowódca warty, Hagen, stał z podpalanym owczarkiem alzackim przy nodze obok jednego z land roverów na końcu polnej drogi, prowadzącej do kamieniołomu, i palił papierosa. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, w wieku prawie emerytalnym, o miłej, opalonej na brąz twarzy, z której nawet trzydzieści lat spędzonych w różnych więzieniach Jej Królewskiej Mości nie starło wyrazu naturalnej dobroduszości.

Patrzył na zbliżającego się Parkera i wnioskując z układu jego ramion, że coś się stało, westchnął ciężko. Zadziwiające, jak niektórzy sami utrudniają sobie życie.

- O co chodzi tym razem? - zapytał, gdy Parker podszedł do niego.

- Hoffa! - Parker uderzył mocno pałką w lewą dłoń. - Ten facet naprawdę mnie drażni.

- Co takiego zrobił?

- W Gwardii nazywa się to niemą zuchwałością.

- To zarzut dobry w wojsku, tutaj nie przejdzie - stwierdził rzeczowo Hagen.

- Cholernie dobrze o tym wiem - Parker oparł się o maskę land rovera, a mięśnie prawego policzka drgały mu ze zdenerwowania. - Sprawy nie ułatwia także to, że każdy skazany traktuje go tutaj jak Pana Boga Wszechmogącego.

- Jest dla nich kimś.

- Ale nie dla mnie, o nie. To po prostu tylko jeszcze jeden nędzny przestępca.

- Chyba jednak niezupełnie - Hagen zaśmiał się cicho. - Dziewięćset tysięcy to spora sumka dla każdego, a ani grosza dotąd nie odzyskano - pamiętaj o tym.

- I co na tym zyskał? - spytał Parker. - Pięć lat za kratkami, a następne piętnaście jeszcze przed nim. To rzeczywiście wymagało geniuszu.

- Biedny Ben - Hagen uśmiechnął się szeroko. - Za bardzo zaufał kobiecie. Wielu porządnych mężczyzn popełniło przed nim ten sam błąd.

Parker wybuchnął gniewnie.

- Na miłość boską, teraz jeszcze pan staje po jego stronie! Uśmiech zniknął z twarzy Hagen, jakby za dotknięciem niewidzialnej różdżki, a gdy odpowiadał, jego głos był już zimny i twardy jak stal.

- Nie jest tak, jak pan mówi, ale staram się go zrozumieć, co stanowi jedno z głównych zadań w mojej pracy. W pańskiej również, choć wydaje mi się, że ten fakt umknął, jak dotąd, pańskiej uwagi. - Zanim młody strażnik zdołał odpowiedzieć, spojrzął na zegarek i dodał: - Trzecia. Proszę ich teraz zabrać na herbatę, jeśli byłby pan łaskaw, panie Parker.

Odwrócił się i odszedł kilka kroków z owczarkiem przy nodze, a Parker stał w miejscu patrząc za nim pełnym wściekłości wzrokiem. Po chwili dopiero udało mu się nieco opanować, wyjął z kieszeni gwizdek i wydobył z niego przenikliwy dźwięk. Na dole w kamieniołomie Hoffa odrzucił młot, a O'Brien wyprostował się.

- Na pewno nie przed czasem - stwierdził i podniósł leżącą obok koszulę.

Więźniowie we wszystkich częściach kamieniołomu schodzili się do ścieżki i wspinali w stronę land roverów, gdzie Parker czekał, aby wydawać im przydziałową herbatę ze zbiornika z kranem stojącego z tyłu jednego z pojazdów. Każdy brał ze stosu kubek i przechodził kolejno obok niego, podczas gdy Hagen i kilku innych funkcjonariuszy stało razem paląc papierosy.

Hoffa wziął swoją porcję, całkowicie ignorując Parkera i wpatrywał się w horyzont, na którym pojawiło się kilka helikopterów.

Podszedł do O'Briena, który również bacznie im się przyglądał.

- Pomyśl no, czy nie byłoby ekstra, gdyby tak spadli tu niespodziewanie i zgarnęli nas? - rzucił Irlandczyk.

Hoffa patrzył na unoszące się nad odległymi wzgórzami maszyny i pokręcił głową.

- Nie ma szans, Paddy. To Siły Powietrzne Wojsk Lądowych. Helikoptery zwiadowcze typu Augusta Bell. Oprócz pilota zabierają tylko jednego pasażera. Potrzeba by ci było czegoś większego. O'Brien przełknął łyk herbaty i skrzywił się.

- Zastanawiam się, z czego oni ją robią, z terpentyny?

Hoffa nie odpowiedział. Obserwował znikające za horyzontem helikoptery, po czym zwrócił się do Hagen, który stał w odległości kilku metrów, rozmawiając z innym funkcjonariuszem.

- Czy mógłbym dowiedzieć się, która jest godzina, panie Hagen?

- Czy zamierzasz się gdzieś wybrać, Ben? - zapytał wesoło Hagen, powodując ogólny wybuch śmiechu.

- Nigdy nie wiadomo. Hagen spojrzął na zegarek.

- Piętnaście po trzeciej.

Hoffa skinął głową z podziękowaniem, rzucił okiem na zawartość emaliowanego kubka, który trzymał w prawej ręce, po czym ruszył w kierunku land rovera, gdzie Parker ciągle jeszcze stał przy zbiorniku z herbatą. Na jego widok Parker zmarszczył brwi. Więzień podszedł i wyciągnął kubek przed siebie.

- Czy zechciałby mi pan łaskawie powiedzieć, co to ma niby być, szanowny panie Parker? - zapytał łagodnie.

Wszystkie głosy z tyłu za nim ucichły nagle, a Hagen krzyknął ostro:

- O co tu znowu chodzi, Hoffa?

- O odpowiedź na dość proste pytanie, panie Hagen - odparł Hoffa, nie odwracając się. Podsunął Parkerowi kubek pod nos.

- Próbował pan tego, panie Parker?

- Idź do diabła, jeszcze czego! - rzucił Parker i zacisnął prawą rękę na uchwycie swojej pałki, aż zbieleły mu kostki kurczowo trzymającej ją dłoni.

- W takim razie sądzę, że naprawdę powinien pan spróbować - grzecznie oznajmił Hoffa i chlusnął zawartość kubka w twarz funkcjonariusza.

Zapadła na chwilę pełna osłupienia cisza, a potem wszystko zaczęło dziać się nagle, jakby jednocześnie i bardzo szybko. Parker z rykiem wściekłości zamachnął się pałką jak cepem, ale Hoffa uchylił się, ciosem pięści w żołądek zgiął go w pół i kolaniem walnął w szczękę. Z tyłu za nim rozległ się pełen podniecenia ryk pozostałych więźniów. Ale po chwili Hoffa leżał już na ziemi, zwalony z nóg przy pomocy połączonych sił całej grupy strażników.

Po krótkiej walce poderwano go z powrotem na nogi, z rękami skutymi z przodu kajdankami.

Owczarek alzacki uwiązany na łańcuchu, warcząc groźnie, trzymał podnieconych więźniów z daleka, a Hagen nawoływał do porządku. Gdy w końcu udało mu się uspokoić więźniów, odwrócił się i podszedł do Hoffy z lekko zmarszczonymi w zamyśleniu brwiami. Cały jego instynkt, całe doświadczenie trzydziestu ciężkich lat mówiło mu, że coś tu jest nie tak.

- Ty cholerny durniu - powiedział miękko. - Przepadło ci sześć miesięcy złagodzenia kary, no i po co ci to?

Hoffa z beznamiętną miną wpatrywał się obojętnie w przestrzeń gdzieś poza nim. Hagen wzruszył ramionami i odwrócił się do Parkera, który z twarzą zalaną krwią opierał się o land rovera.

- Nic się panu nie stało?

- Mam złamany nos.

- Może pan prowadzić?

Parker skinął głową, trzymając chusteczkę przy twarzy.

- Chyba tak. Hagen zwrócił się do jednego ze strażników.

- Przekazuję panu dowództwo, panie Smith. Niech pan ich zapędzi do roboty i bez żadnych wygłupów. Gdy wrócę, chcę widzieć pot na ich grzbietach.

Więźniowie zostali odprowadzeni do pracy, a Hagen spuścił owczarka z łańcucha. Pies podszedł do Hoffy, obwąchując jego buty.

- No, dalej, teraz zajmujemy się tobą - rzucił Hagen. - Na tył zielonego land rovera. Tylko bez żadnych sztuczek, bo natychmiast poszczuję na ciebie psa - gwarantuję ci to.

Hoffa ruszył bez słowa w kierunku samochodu pilnowany przez owczarka. Wdrapał się do środka, usiadł na jednej z ławek z tyłu wozu i czekał. Po chwili dołączył do niego Hagen, zamykając za sobą tylne drzwi samochodu na klucz.

Przez małe okienko widać było wnętrze szoferki. Na moment w okienku pokazała się twarz Parkera, który rzucił na Hoffę jadownicę spojrzenie i skinął głową w stronę Hagena. Po chwili ryknął zapuszczany silnik i ruszyli.

Gdy land rover skręcił w polną drogę, wiodącą przez wrzosowisko, Hagen nachylił się w stronę więźnia, marszcząc brwi.

- No dobra, Ben, o co w tym wszystkim chodzi?

Hoffa jednak zignorował go całkowicie, wpatrując się ze spokojnym, beznamyślnym wyrazem twarzy we wrzosowisko widoczne przez boczne okno wozu. Hagen miał jakieś dziwne wrażenie, że więzień na coś czeka.

Gdzieś na wschód od nich zabrzmiała znowu kanonada, a na krótki, złowieszczy terkot broni maszynowej odpowiedziały pojedyncze strzały. Hagen wyjrzał przez okienko i zobaczył czerwone berety spadochroniarzy, biegnących po stoku w odległości trzech lub czterech kilometrów. Wzdłuż horyzontu przeleciał jeszcze jeden helikopter zwiadowczy i owczarek niespokojnie warknął. Oficer pogłaskał go po szerokim boku i poklepał delikatnie.

- To tylko zabawa, mały, tylko zabawa.

Pies uspokoił się. Gdzieś blisko, na zachód od drogi rozległ się nagły ryk silnika - następny helikopter uniósł się nad wzgórzem i pomknął w kierunku drogi. Przez chwilę leciał równo z nimi, tak blisko, że można było przeczytać jego zakodowaną nazwę i numer, wymalowane na boku białymi literami i cyframi. W otwartych drzwiach przykucnął żołnierz w zielonym berecie, który odcinał się jaskrawą plamą na ciemnym tle wnętrza maszyny.

- Wyglądają na komandosów - odezwał się Hagen. Ku jego zdziwieniu Hoffa odpowiedział mu.

- To transportowiec do przewozu pododdziałów typu Sibe-Martin. Może zabierać tuzin ludzi wraz z ekwipunkiem. Ostatnio używano ich nad Borneo.

Komandos kiwnął ręką i helikopter przemknął nad nimi, przeleciał nad leżącym z przodu wzniesieniem i zniknął im z oczu. Hagen odwrócił się do Hoffy.

- Wygląda na to, że znasz się na tych sprawach.

- W zeszłym miesiącu przeczytałem artykuł w „Globe” - odparł Hoffa. - Jest w bibliotece. Hagen z westchnieniem pokręcił głową.

- Dziwny z ciebie facet, Ben. Nigdy nie mogłem cię rozgryźć, słowo daję.

Hoffa uśmiechnął się niespodziewanie, dzięki czemu od razu wyglądał o dziesięć lat młodziej.

- To samo mówił mój stary. Teraz jest jednak za późno. Dla nas wszystkich.

- Chyba masz rację.

Hagen sięgnął po papierosy, a gdy je wyjął, land rover przejechał wzniesienie i zaczął zjeżdżać w dół przez gęsto zalesioną dolinę. Nagle wykrzyknął głośno i pochylił się w przód, patrząc na drogę widoczną przed nimi. Helikopter, który ich wyprzedził, stał na polanie na skraju drzew, a z pół tuzina komandosów ustawiło się szeregiem w poprzek drogi. Parker odsunął okienko szoferki.

- A cóż tu się znowu dzieje, do jasnej cholery? - krzyknął.

- Diabli wiedzą - odparł Hagen. - Może myślą, że bierzemy udział w manewrach i jesteśmy po drugiej stronie.

Parker zaczął zwalniać, gdy jakiś młody oficer wystąpił naprzód, machając, by się zatrzymał. Tak jak jego ludzie, miał na sobie mundur polowy i twarz umazaną pastą maskującą. Gdy land rover stanął, podbiegła do niego reszta oddziału - wszyscy silni i sprawni, wyglądający na zdecydowanych, z pistoletami maszynowymi w rękach. Parker otworzył drzwi szoferki i wychylił się.

- Hej, co to ma znaczyć?

Hagen nie mógł widzieć, co się tam dalej działo, ale usłyszał najpierw alarmujący krzyk Parkera, następnie odgłosy walki i uderzenia. Potem zapadła cisza. Czyjeś buty zachrzęściły na powierzchni polnej drogi. Słychać było, jak ktoś idzie wzdłuż samochodu i obchodzi go. Po chwili okienko w górnej części tylnych drzwi zostało strzaskane i do środka zajrzał młody oficer.

- Wszyscy wysiadają - rzucił wesóło. - Koniec trasy. Hagen spojrzał na Hoffę i uchwycił wzrokiem uśmiech na jego twarzy. Zdał sobie dopiero wtedy sprawę, że wszystko to było sprowokowane i zaplanowane od samego początku. Owczarek skoczył do rozbitego okna z narastającym w gardle warczeniem. Stał tak przez chwilę na tylnych łapach, próbując się wydostać. Nagle ktoś strzelił mu z bliska w głowę, tak że górna część jego czaszki po prostu rozpadła się, rozpryskując dookoła krew i odłamki kości.

Pies upadł bezwładnie na podłogę, a młody oficer uśmiechał się do nich zaglądając przez okienko i lekko postukując w prawy policzek lufą swej trzydziestki ósemki.

- No, teraz już bez żadnych kawałów, stary - odezwał się łagodnie do Hagen.

- I tak już kiepsko stoimy z czasem. Hagen spojrzał na Hoffę z wyraźną desperacją.

- Nigdy ci się nie uda uciec w ten sposób, Ben. Zarobisz tylko następne dziesięć lat.

- Nie byłbym tego taki pewien - odparł Hoffa. - Teraz spróbuj się tym nie przejmować i pomyśl o sobie, Jack. Ci faceci nie żartują.

Hagen zawahał się jeszcze tylko przez krótką chwilę, po czym westchnął.

- W porządku, to twój pogrzeb.

Wyjął klucze z kieszeni, podszedł do drzwi i otworzył je. Natychmiast wyciągnięto go na zewnątrz, a Hoffa wysiadł za nim. Parker leżał nieprzytomny, twarzą do ziemi, z rękoma skutymi kajdankami na plecach.

Od tej chwili wydarzenia toczyły się błyskawicznie aż do końca akcji z tą samą wojskową precyzją, która charakteryzowała całą operację. Ktoś otworzył kajdanki Hoffy i zakuł w nie Hagen, podczas gdy ktoś inny zakneblował go kawałkiem szerokiego, chirurgicznego plastra. Następnie wpakowano go na tył land rovera, gdzie ułożono już wcześniej nieprzytomnego Parkera. Drzwi zamknięto na klucz. Odgłos klucza przekręcanego w zamku dodał całemu zdarzeniu ponurej nieodwracalności.

Twarz Hagen była umoczona we krwi zabitego owczarka, a gdy próbował się przetrulać w inne miejsce pełen obrzydzenia, próbując opanować ogarniające go

mdłości, land rover ruszył, kołysząc się po nierównym terenie i zjechał z drogi w las. Z chrzęstem przedzierał się przez gęste poszycie, a przez boczne okienko Hagen widział nad swoją głową wierzchołki drzew. Aż w końcu pojazd zahamował nagle, rzucając go gwałtownie głową naprzód na jedną ze ścian.

Leżał tak walcząc z ciemnością, która zaczynała go ogarniać, słysząc w uszach dziwny huk. Dopiero po jakiejś minucie lub nawet po kilku zdał sobie sprawę, że to odgłos startującego ponownie helikoptera, lecz zanim udało mu się wygramolić na czworaki i zwalić na ławkę, jego hałas ucichł już w oddali.

Piętnaście minut później i pięćdziesiąt kilometrów za wrzosowiskiem helikopter wylądował na chwilę na polanie w gęsto zalesionej dolinie. Hoffa i towarzyszący mu młody oficer wyskoczyli na ziemię, a maszyna z powrotem uniosła się w niebo i poszybowała na zachód.

Hoffa ubrany był jak autostopowicz, w dżinsowe spodnie i watowany, zielony skafander, z plecakiem przerzuconym przez jedno ramię, a oficer miał na sobie kosztowny garnitur z szarej flaneli. Bez pasty maskującej jego twarz była blada i raczej arystokratyczna, a on sam sprawiał wrażenie człowieka, który już dość dawno stwierdził, że życie to raczej kiepski żart i nie należy go traktować zbyt serio.

- Ile mamy czasu? - zapytał Hoffa. Jego towarzysz wzruszył ramionami.

- Godzinę, dwie - jeśli będziemy mieć szczęście. Zależy, jak szybko towarzystwo w kamieniołomie zauważy, że ich dowódca warty coś zbyt długo nie wraca.

- Czy godzina nam wystarczy?

- Na pewno, pod warunkiem, że nie będziemy tu pozostawać zbyt długo.

- W porządku - rzucił Hoffa. - Jeszcze tylko jedno - jak się do ciebie zwracać?

- Jak sobie życzysz, stary. - Uśmiechnął się sympatycznie. - Jak by ci się podobało nazwisko Smith? Tak, mnie też by ono chyba odpowiadało. Zawsze się zastanawiałem, jak by to było, gdybym nazywał się Smith.

- A skąd, u diabła, Baron cię wystraszał? - spytał Hoffa.

Smith ponownie się uśmiechnął.

- Zdziwiłbyś się, stary, mówię ci.

Ruszyli przez polanę w las. Szli między drzewami wąską ścieżką, która później zbiegała się z szeroką, polną drogą. Kilkanaście metrów dalej stał nad strumieniem opuszczony młyn wodny, na którego tyłach, na podwórzu za rozwalonym murem, zaparkowany był czarny zodiak.

Po chwili odjeżdżali nim, podskakując na wybojach i koleinach, aż w końcu wydostali się na wąską, wiejską szosę.

- Wyjaśnijmy sobie teraz jedną rzecz - odezwał się Smith, wrzucając najwyższy bieg i dodając gazu, żeby się jak najszybciej oddalić. - Będziemy przebywać w tym samochodzie razem przez mniej więcej czterdzieści minut. Gdyby coś się nie udało, jesteś autostopowiczem, a ja cię nigdy w życiu wcześniej nie widziałem.

- W porządku - zgodził się Hoffa. - A dokąd teraz jedziemy?

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw mamy jeszcze do załatwienia pewien interes.

- Zastanawiałem się, kiedy sobie o tym przypomnisz.

- Raczej trudno zapomnieć o czymś takim. Twój udział w łupie z napadu na lotnisko Peterfield wyniósł dokładnie trzysta dwadzieścia tysięcy funtów. Gdzie jest ta forsa?

- Skąd mam wiedzieć, że potraktujecie mnie uczciwie? - zapytał Hoffa.

- No, nie zaczynaj teraz gadać takich bzdur, stary. Baron nie znosi klientów, którzy oszukują. Dotrzyliśmy naszej części umowy - wyciągnęliśmy cię. Teraz ty nam powiesz, gdzie jest forsa i na tym kończy się to, co nazywamy Pierwszą Fazą tej operacji. Gdy tylko dostaniemy pieniądze w swoje ręce, będziemy mogli zacząć Drugą Fazę.

- Która obejmuje także wydostanie mnie z kraju?

- Z nową, pięknie udokumentowaną tożsamością i z połową twoich pieniędzy. Powiedziałbym, że to uczciwa stawka w zamian za dwadzieścia lat na wrzosowisku.

- Skąd mam mieć pewność?

- Lepiej ją miej, stary. Sam daleko stąd nie zajedziesz.

- Tu masz rację. Dobra - pieniądze są w wielkim kufrze w przechowalni mebli Price'ów w Pimlico, pozostawionym tam na nazwisko Henry Walker. Smith rzucił na niego spojrzenie pełne czystego zdziwienia.

- Chyba żartujesz.

- A niby dlaczego? Specjalizują się w obsłudze klientów, wyjeżdżających na dłuższy czas za granicę. Zapłaciłem za pięć lat z góry i nawet jeśli nie odbierze się depozytu na czas, to jest on tam dosyć bezpieczny. Muszą go trzymać jeszcze przez dziesięć lat, zanim będą mogli cokolwiek z nim zrobić - takie są przepisy.

- Jest na to jakiś kwit?

- Bez niego nie pobierze się depozytu.

- Kto go ma?

- Nikt. Jest w domu mojej matki, w Kentish Town. Między moimi rzeczami znajdziecie starą Biblię Armii Zbawienia. Kwit jest ukryty w grzbiecie. Czy wszystko jasne?

- Powinno być. Przekażę tę informację dalej.

- A co będzie ze mną?

- Zaopiekuję się tobą. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, złączą Drugą Fazę, ale nie wcześniej, niż Baron zobaczy, jak wyglądają twoje pieniądze.

- Kim w ogóle jest ten Baron? Kimś, kogo znam?

- Takie pytania są po prostu niezdrowe, stary. - Smith wzruszył ramionami i po raz pierwszy na jego twarzy nie było widać lekkiego charakterystycznego uśmiechu. - Może z nim się w końcu spotkasz, a może nie. Mówiąc szczerze, nie wiem.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu. Dwadzieścia minut później zatrzymali się na jakimś skrzyżowaniu.

- Tu się rozstajemy.

Po obu stronach widać było na dobre czterysta metrów główną drogę - wąską wstęgę asfaltu, biegnącą przez dziki, wyżynny teren, całkowicie bezludny. Hoffa zmarszczył brwi. No,

- Co teraz?

- Stań na skraju drogi jak zwykły autostopowicz i za jakieś dwadzieścia minut zostaniesz stąd zabrany, jeśli nasz człowiek się nie spóźni.

- Czym jedzie?

- Nie mam zielonego pojęcia. Jego pierwsze słowa będą brzmiały: „Czy chciałbyś, żebym cię podwiózł do jakiegoś konkretnego miejsca?” Masz odpowiedzieć: „Babilon”.

- Na miłość boską, co to wszystko ma znaczyć? - zapytał ze złością Hoffa. - Czy to jakaś zabawa, czy co?

- To już zależy, jak się na to patrzy, stary, no nie? On ci na to powie, że Babilon to dla niego za daleko, ale że może cię podwieźć kawałek drogi.

- I co wtedy?

- Nie wiem. - Pochylił się i otworzył drzwi. - Brachu, w drogę i dużo szczęścia.

Chwilę później Hoffa ze zdezorientowaną miną na poboczu szosy, a o zodiaku przypominał jedynie szybko zanikający w oddali odgłos silnika.

Niebawem było już całkiem cicho i tylko wiatr szeleścił wśród wysokiej trawy. Chmura zakryła słońce, tak że nagle zrobiło się zimno. Zadrzał. Było w tym wszystkim coś beznadziejnie nierealnego - wydarzenia tego popołudnia zdawały się stanowić część jakiegoś niezwykłego koszmaru.

Spojrzał na zegarek, który Smith dał mu w helikopterze. Od zasadzki na land rovera minęła godzina i dziesięć minut. W tej chwili wszystko mogło się już zdarzyć. Pomimo chłodnego wiatru poczuł na czole pot, który starł wierzchem dłoni. A co będzie, jeśli jakiś inny, mający jak najlepsze intencje, kierowca będzie tędy przejeżdżał i zaproponuje mu podwiezienie? Co wtedy powie?

Gdzieś z daleka dotarł do jego uszu niewyraźny szum silnika i gdy się odwrócił, żeby popatrzeć, co nadjeżdża, jakiś pojazd pojawił się na szczycie wzgórza. Gdy samochód zbliżył się nieco, dostrzegł, że jest to wielka, sześciokołowa cysterna, pomalowana na jaskrawoczerwony kolor. Zatrzymała się tuż przy nim.

Kierowca wychylił się z kabiny i spojrzał w dół. Był to mężczyzna około sześćdziesięcioletni o odpychającej twarzy, z kilkuniedniowym, siwym zarostem na podbródku, ubrany w starą rozpiętą wiatrówkę i tweedowy beret. Długą chwilę przypatrywał mu się w milczeniu, aż w końcu odezwał się z wyraźnym szkockim akcentem.

- Czy chciałbyś, żebym cię podwiózł do jakiegoś konkretnego miejsca?

- Babilon - odparł Hoffa i odetchnął głęboko z wyraźną ulgą.

- Cóż, to dla mnie trochę za daleko, ale mogę cię podwieźć kawałek.

Otworzył drzwi i stanął na drabince, prowadzącej do wlewu na szczycie cysterny. Wlew przykryty był stalową klapą wielkości koła samochodowego, pomalowaną na czarno, z napisem: „Ostrożnie - Niebezpieczeństwo - Kwas Chlorowodorowy”. Wymacał ukryty uchwyt i klapa odskoczyła.

Hoffa wspiał się na górę i zajął do środka. Komora miała wymiary około trzech metrów na metr, a na dnie leżał materac. Skinął apróbując głową.

- Jak długo?

- Sześć godzin - odparł kierowca. - Niestety nie ma światła i nie można palić, ale w termosie jest kawa, a w puszcze po herbatnikach kilka kanapek. To wszystko, co mogłem zrobić.

- Mogę zapytać, dokąd jedziemy? Kierowca z kamienną twarzą pokręcił głową.

- Tego nie ma w umowie.

- Dobra - rzucił Hoffa - ruszajmy.

Przeszedł przez właz głową w przód, a gdy odwrócił się twarzą do światła, pokrywa ze szczękiem opadła na swoje miejsce, pogrążając go w ciemności. Ogarnęła go nagle gdzieś od wewnątrz paralizująca panika i poczuł gwałtowną suchość w gardle, ale gdy cysterna ruszyła, to chwilowe uczucie przerażenia minęło. Położył się na materacu z rękami pod głową, a po chwili oczy zamknęły mu się same i zasnął.

Dokładnie w tym samym momencie, jakieś piętnaście kilometrów dalej, mężczyzna, który nazwał siebie Smithem, zatrzymał się na głównej ulicy pierwszego napotkanego miasteczka, wszedł do budki telefonicznej i wykręcił jakiś londyński numer. Odpowiedział mu chłodny i bezosobowy głos kobiety. - Worldwide Exports, Ltd. - Mówi Simon Vaughan z West Country. Ani ton, ani barwa głosu kobiety nie zmieniły się. - Miło cię usłyszeć. Jak tam wyglądają nasze sprawy?

- Chyba najlepiej, jak można sobie wyobrazić. Nasz klient jest już w drodze. Nic jeszcze nie mówili o tym w wiadomościach?

- Ani słowa.

- Cisza przed burzą. Znajdziecie towar w wielkim kufrze w przechowalni mebli Price'ów w Pimlico, na nazwisko Henry Walker. Kwit jest ukryty w grzbiecie starej Biblii Armii Zbawienia między rzeczami w domu jego matki w Kentish Town. Nie sądzę, aby jakaś młoda miła dama z opieki społecznej miała zbyt dużo kłopotu z wydostaniem tego od niej.

- Sama się tym zajmę.

- Radziłbym się pospieszyć. Jest prawie piąta. Przechowalnię mebli zamyka się pewnie o szóstej. Może by do nich zadzwonić, żeby poczekali na ciebie.

- Zostaw to mnie. Dobrze się spisałeś. Będzie zadowolony.

- Nic takiego, staruszko, taki już po prostu jestem.

Odłożył słuchawkę i zapalił papierosa, wpatrując się w przestrzeń. Och, już ja wiem, co chciałbym ci zrobić, złotko, zamruczał cicho, a gdy wrócił do samochodu, miał jeszcze nadal ten sam uśmiech na ustach.

Budzony się powoli Hoffa leżał, wpatrując się w otaczającą go głęboką ciemność. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Uniósł się na łokciu - świecąca tarcza i wskazówki jego zegarka wskazywały kwadrans po dziesiątej, co

znaczyło, że byli w drodze od ponad pięciu godzin. Nie zostało mu już dużo czasu, położył się więc z powrotem w tej samej pozycji, z rękami pod głową, i rozmyślał o wielu sprawach, a zwłaszcza o tym, w jaki sposób rozpocznie nowe życie - prawdziwe życie, w jakimś ciepłym i spokojnym miejscu, gdzie zawsze świeci słońce i wszystkie kobiety są piękne.

Hoffa został gwałtownie wytrącony ze swoich marzeń, gdy cysterna zaczęła zwalniać i hamować. Stała w końcu, ale silnik pracował dalej. Właz został otwarty i ukazała się w nim twarz kierowcy, odcinająca się jaśniejszą plamą na tle nocnego nieba.

- Wyłaź.

Noc była piękna, horyzont usiany gwiazdami, choć bez księżyca. Hoffa stanął na poboczu, rozprostowując zdrętwiałe kończyny, a kierowca założył pokrywę włazu na miejsce.

- Co teraz?

- Po drugiej stronie drogi znajdziesz ścieżkę prowadzącą pod górę. Czeka tam. Ktoś po ciebie przyjdzie.

Zanim Hoffa zdążył odpowiedzieć, kierowca był już z powrotem w szoferce, z sykiem powietrza zwolnił hamulec i odjechał w noc. Uciekinier patrzył, jak czerwone tylne światła cysterny bledną w ciemności, potem chwycił plecak i przeszedł przez drogę.

Bez najmniejszych trudności odnalazł ścieżkę i stanął, wpatrując się w ciemność. Zastanawiał się, co dalej robić. Wzdrygnął się przerażony, słysząc nagle obok siebie ludzki głos, tak był on niespodziewany w tej pustce i ciemności, które go otaczały.

- Czy chciałbyś, żebym cię zaprowadziła w jakieś konkretne miejsce?

Był to głos kobiety, mówiącej z wyraźnym akcentem z Yorkshire i gdy odpowiadał „Babilon”, wysilał równocześnie wzrok, żeby ją zobaczyć.

- To zbyt daleko dla mnie, ale mogę cię podprowadzić kawałek drogi.

Podeszła bliżej - w ciemności majaczyła tylko blada, niewyraźna plama jej twarzy - po czym odwróciła się bez słowa i ruszyła przodem. Hoffa poszedł za nią, powodując rytmiczny chrzęst żwiru pod stopami. Mimo długiego snu czuł się zmęczony. W końcu był to jednak niezwykle dzień. Pocięsał się jedynie tym, że gdzieś oczekiwało na niego zapewne jedzenie i łóżko.

Szli może z pół kilometra, cały czas pod górę, mijając wzgórza po obu stronach ścieżki. Idąc czuł przejmujący chłód wiatru, aż nagle ścieżka doprowadziła do skarpy i w dole, w kotlinie przy strumieniu, zobaczył farmę. W jednym z okien domu, na parterze, paliło się światło.

Jakiś pies zaszczekał głucho, gdy pchnęła żelazną furtkę o pięciu prętach i poprowadziła Hoffę przez wybrukowane podwórze. Kiedy zbliżali się do frontowych drzwi, otworzyły się one nagle i stanął w nich mężczyzna ze strzelbą w ręku, wyraźnie widoczny w padającym z wnętrza domu świetle.

- A więc znalazłaś go, Molly?

Po raz pierwszy Hoffa miał okazję przyjrzeć się dziewczynie i zauważył ze zdziwieniem, że nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście - dwadzieścia lat. Miała wystraszone oczy i wyglądała, jakby uśmiech dawno nie pojawiał się na jej ustach.

- Będiesz mnie jeszcze do czegoś dzisiaj potrzebował? - zapytała dziwnie zmartwionym głosem.

- Nie, mała, leć do łóżka i zajrzyj do matki. Chciała, żebyś przyszła.

Gdy dziewczyna prześliznęła się obok niego, oparł strzelbę o ścianę i wyszedł przed dom, wyciągając rękę.

- Prawdziwa przyjemność, panie Hoffa. Jestem Sam Crowther.

- Więc wie pan, kim jestem? - zdziwił się Hoffa.

- Cały wieczór gadają tylko o tym w radiu.

- Nie ma szans, żeby mnie tu znaleźli?

Crowther zachichotał.

- Ponad pięćset kilometrów od miejsca, z którego pan wyruszył? Nie będą pana tutaj szukać, może pan być tego pewien.

- To już chyba coś - stwierdził Hoffa. - A co teraz? Przechodzimy już do Drugiej Fazy?

- Nie więcej niż godzinę temu miałem telefon z Londynu. Wszystko poszło gładko jak po maśle. Teraz już nie musi się pan martwić, panie Hoffa. - Obejrzał się i zawołał przez ramię. - Billy! Gdzie jesteś, Billy? Chodź no tu.

Mężczyzna, który ukazał się w drzwiach, był prawdziwym olbrzymem. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ramiona i ręce mały, długą i wąską szczękę oraz zapadnięte policzki.

Uśmiechał się głupkowato, a ślina ciekła mu z kącika ust, gdy powłócząc nogami wyszedł na podwórko. Crowther poklepał go po ramieniu.

- Dobry z ciebie chłopak, Billy. No dalej. Mamy robotę. - Odwrócił się i uśmiechnął. - Tędy, panie Hoffa.

Przeszedł przez podwórze, Hoffa zaraz za nim, a pochod zamykał Billy. Gospodarz otworzył furtkę, prowadzącą na małe podwórko. Wyglądało na to, że jest tam jedynie stara studnia otoczona murkiem z cegły, wysokim na jakiś metr. Hoffa zrobił krok naprzód.

- I co teraz?

Odpowiedzią na to pytanie był jeden ogłuszający cios z tyłu, zadany z tak ogromną siłą, że jego kręgosłup trzasnął jak spróchniały kij. Crowther dotknął czubkiem buta leżącego na ziemi, wijącego się z bólu Hoffę.

- Do środka z nim, Billy.

Hoffa żył jeszcze, gdy wpadał do studni głową w dół. Jego ciało dwa razy odbiło się od cembrowiny, ale nie czuł bólu. O dziwo, jego ostatnią w pełni świadomą myślą było, że Hagen miał jednak rację. To był rzeczywiście jego pogrzeb. Zaraz potem zimne wody zamknęły się nad nim i pogrążyły go w ciemnościach.

2. Policjanci i złodzieje

Gdy w południe zawyła syrena, z Lonsdale Metals zaczął wypływać zwarty strumień robotników. Siedzący w kawiarni naprzeciwko głównej bramy Paul Chavasse wstał, złożył gazetę, którą trzymał w ręku i wyszedł. Czekał właśnie na ten moment szczytowego tłoku przy bramie i teraz szybko przeszedł przez ulicę.

Główne wejście zamykał szlaban, który podnoszono dopiero po sprawdzeniu każdego z wyjeżdżających pojazdów przez umundurowanego strażnika. Robotnicy korzystali jednak z bocznej bramy i przeciskali się przez nią wolno, wśród ogólnego gwaru nieprzyzwoitych komentarzy i wesołych śmiechów.

Chavasse ubrany podobnie jak większość wychodzących z fabryki w brązowy kombinezon i tweedową czapkę, nie wyróżniał się swym wyglądem z otoczenia i spokojnie zanurzył się w tłumie. Z trudem przepychał się idąc pod prąd i wysłuchując dosadnych przekleństw wpadających na niego robotników, aż w końcu znalazł się w bramie.

Przebijając się dalej przez tłum zajrzał szybko przez okno do wartowni mieszczącej się po lewej stronie od wejścia. Dostrzegł trzech umundurowanych strażników, którzy siedzieli przy stole, posilając się kawą i kanapkami. Obok nich, w rogu wartowni, siedział owczarek alzacki.

W kierunku bramy ciągle płynął zwarty strumień robotników i Chavasse przemknął szybko między nimi, przeszedł przez dziedziniec do głównego bloku i wszedł do podziemnego garażu. Całą poprzednią noc spędził ślęcząc nad, dostarczonymi przez S2, planami tego budynku, co umożliwiło mu zupełnie swobodne poruszanie się w nim, bo znał na pamięć cały układ pomieszczeń.

Kręciło się tam jeszcze paru mechaników, ale nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, wszedł na rampę, przeszedł wzdłuż kolejno stojących w zatoczce ładunkowej pojazdów i nacisnął guzik służbowej windy. Chwilę później był już w drodze na trzecie piętro.

Było dziwnie cicho, gdy wysiadł. Przez chwilę stał i nasłuchiwał, zanim ruszył wzdłuż korytarza. Drzwi kasy, trzecie od końca, oznaczone były napisem „Wstęp wzbroniony”. Przechodząc, rzucił na nie okiem, skręcił za załom korytarza i otworzył drzwi z zamieszczoną na nich tabliczką „Wyjście awaryjne”, za którymi w ciemności ginęły betonowe schody. Na ścianie po lewej stronie znalazł to, czego szukał, tablicę, na której umieszczono skrzynki z bezpiecznikami i wyłącznikami prądu. Każda z nich była wyraźnie oznaczona białą farbą. Przetastował wyłącznik skrzynki numer 10 na pozycję „wyłączone”, po czym wrócił na korytarz.

Zapukał do drzwi kasy i czekał. To był decydujący moment. Zgodnie z informacjami, które otrzymał, w czasie przerwy na lunch, między dwunastą a pierwszą, zostawiano tu na dyżurze tylko głównego kasjera - jednak w czasie siedmioletniej pracy dla Biura nauczył się przynajmniej jednego - że w życiu nie ma nic absolutnie pewnego. Na pewno zdarzało się od czasu do czasu, że ktoś jeszcze postanowił zjeść przyniesione ze sobą kanapki na miejscu, zamiast wychodzić na lunch. Z dwoma dałby sobie radę - ale z każdym następnym miałby kłopoty. I tak

było to bez znaczenia - uśmiechnął się ironicznie - skutek miał być przecież ten sam. Chociaż z drugiej strony sprawdzenie w praktyce, jak daleko potrafiłby się posunąć wykonując swoje zadanie, mogłoby być zabawne. W drzwiach kasy odsunięto osłonę wizjera i Chavasse ujrzał w judaszu wpatrzone w niego oko.

- Pan Crabtree? - zapytał. - Jestem z Działu Technicznego. Na pańskim piętrze wysiadł częściowo prąd i sprawdzam wszystkie pokoje, żeby znaleźć przyczynę. Czy u pana wszystko w porządku, sir?

- Chwileczkę - osłona judasza została ponownie zasunięta. Po chwili usłyszał szcęk łańcucha, drzwi otworzyły się i wyjrzał zza nich niski człowiek o siwych włosach. - Wygląda na to, że w ogóle nie ma światła. Niech pan lepiej sam sprawdzi. Proszę wejść.

Chavasse wszedł do środka i błyskawicznie stwierdził, że są sami. Crabtree zajął się tymczasem ponownym zamykaniem drzwi i zakładaniem łańcucha. Miał może z sześćdziesiąt lat i nosił gustowne okulary w złotej oprawie. Gdy się odwrócił i zobaczył przed oczyma wylot lufy trzydziestki ósemki, oczy rozszerzyły mu się z przerażenia, a ramiona zwiotczały tak, że zapadł się w sobie i zdawało się nagle, że jest jeszcze mniejszy, niż był naprawdę.

Chavasse'a opanował ogarniający go nagle przyływ wyrzutów sumienia i stuknął go lekko w policzek lufą pistoletu.

- Rób, co ci każe, a wyjdiesz z tego cało - jasne?

Crabtree bez słowa skinął potakująco głową, a Chavasse wyjął z kieszeni kombinezonu kajdanki i wskazał mu ręką krzesło.

- Siadaj i załóż ręce do tyłu.

Szybko skuł ręce urzędnika, nogi w kostkach związał mu kawałkiem sznura i ukucnął przed nim.

- Wygodnie?

Kasjer, najwyraźniej uspokojony już trochę, uśmiechnął się słabo.

- Względnie.

Chavasse poczuł do niego sympatię.

- Suma tygodniowych wypłat waha się u was między czterdziestoma i pięćdziesięcioma tysiącami funtów, zależnie od liczby przepracowanych nadgodzin. Ile jest w tym tygodniu?

- Czterdzieści pięć tysięcy - odparł Crabtree bez wahania. - Albo mówiąc inaczej - trochę ponad pół tony. Jakoś nie wydaje mi się, żebyś potrafił z tym zająć zbyt daleko. Chavasse uśmiechnął się szeroko.

- Zobaczymy, zgoda?

Pieniądze były wszędzie - część ułożona równo i dokładnie w zabanderolowanych paczkach, w jakich przywieziono je z banku. Spora suma - już podzielona na odliczone kwoty - leżała w drewnianych przegródkach. Drzwi skarbca były otwarte, a w środku znajdował się wózek z płóciennymi bokami, zawierający kilkanaście worków z pieniędzmi, które - sądząc z wagi - były pełne srebrnych i miedzianych monet. Chavasse szybko usunął worki z monetami, przeciągnął wózek do biura i przejechał nim wzdłuż stołów, zgarniając razem paczki

banknotów i koperty z wypłatami. Crabtree miał rację - wózek z pieniędzmi musiał sporo ważyć, choć ładowanie go trwało tylko niecałe trzy minuty.

Gdy popychał wózek w kierunku drzwi, Crabtree odezwał się.

- Nie wiem, czy orientujesz się, ale robimy tu sporo rzeczy dla RAF-u, więc nasz system bezpieczeństwa jest raczej dość specjalny.

- Wszedłem tu jednak jakoś, no nie?

- Ale nie pchając przed sobą pół tony banknotów, a żaden samochód nie przejedzie przez bramę, zanim nie zostanie bardzo dokładnie sprawdzony. Jest to chyba jednak jakaś przeszkoda, jak sądzę.

- Przykro mi, ale nie mam teraz czasu na dyskusję na ten temat - odparł Chavasse. - Nie zapomnij jednak kupić wieczorną gazetę. Obiecali mi tam wydrukować rozwiązanie tego problemu.

Wyjął spory kawałek plastra i zalepił nim usta kasjera, zanim ten zdążył odpowiedzieć.

- Możesz normalnie oddychać?

Crabtree skinął potakująco głową, jakby z wyrazem nieco dziwnego w tej sytuacji żalu w oczach, a Chavasse uśmiechnął się szeroko.

- Było fajnie. Jakoś nie wydaje mi się, żebyś miał tu zbyt długo sam siedzieć.

Drzwi zamknęły się za nim z lekkim trzaskiem i Crabtree siedział tam pogrążony w ciszy i czekał, czując się bardziej samotny niż kiedykolwiek w czasie swego życia. Zdawało mu się, że minęły całe wieki, zanim usłyszał ciężki tupot nóg na korytarzu i zaczęło się niespokojne dobijanie do drzwi.

Wszystko zaczęło się w poprzednią środę, w słoneczny poranek, kiedy Chavasse zdecydował się pójść piechotą przez park, do budynku centrali Biura.

Życie agenta wywiadu to dziwna i raczej nie uporządkowana egzystencja, składająca się z krótkich, nierzadko nagłych i gwałtownych okresów służby w terenie, po których następują miesiące względnej bezczynności, często spędzane na wykonywaniu rutynowych działań kontrwywiadowczych, dochodzeniowych lub pracy za biurkiem.

Od prawie pół roku Chavasse co dzień rano podpisywał listę, siadał za biurkiem na zaadaptowanym poddaszu starego domu w dzielnicy St. John's Wood i spędzał całe dni skrupulatnie analizując raporty z rezydentur wywiadu ze wszystkich części kuli ziemskiej. Była to robota odpowiedzialna, bardzo ważna - która musiała być zrobiona dokładnie albo wcale - i cholernie nudna.

Ale tego dnia świeciło słońce, niebo było błękitne, sukienki krótsze niż kiedykolwiek, więc choć raz bez pośpiechu przechadzał się po trawie, wśród drzew, paląc papierosa i odkrywając - nie po raz pierwszy w życiu - że, mimo wszystko, człowiekowi nie potrzeba wcale zbyt wiele do pełni szczęścia - przynajmniej chwilowego. Gdzieś w oddali wybiła jedenasta. Spojrzał na swój zegarek, zaklął łagodnie pod nosem i ruszył szybko w kierunku głównej alejki.

Było prawie wpół do dwunastej, kiedy wszedł na schody domu w St. John's Wood i nacisnął dzwonek przy mosiężnej tabliczce z nazwą nie istniejącej firmy:

„Brown and Co. - Import - Export”, pod której szyldem działali ukryci prawdziwi lokatorzy budynku.

Po kilku chwilach drzwi otworzył wysoki, siwiejący mężczyzna w uniformie z niebieskiej tkaniny. Chavasse przeszedł pospiesznie obok niego.

- Jestem dziś spóźniony, George. George wyglądał na zmartwionego.

- Pan Mallory pytał o pana. Panna Frazer od godziny dzwoni mniej więcej co pięć minut.

Chavasse był już w połowie krętych schodów z okresu panowania Jerzego IV, czując w żołądku dreszczyk emocji. Jeśli Mallory pilnie go potrzebuje, to musi chodzić o coś ważnego. Przy odrobinie szczęścia cały stos czekających na niego raportów, które już nie mieściły się na jego biurku, dostanie się komuś innemu. Przeszedłszy szybko przez półpiętro, otworzył białe drzwi na samym końcu korytarza.

Od metalowej szafy z aktami odwróciła się Jean Frazer - niewysoka, ale atrakcyjna trzydziestoletnia kobieta, ubrana w czerwoną wełnianą sukienkę przewrotnie prostego kroju, który wbrew pozorom doskonale podkreślał wszystkie zalety jej raczej pełnej figury. Zdjęła okulary do pracy w masywnej oprawie i pokręciła głową.

- A więc jednak zechciałeś się wreszcie łaskawie pojawić?

Chavasse uśmiechnął się szeroko.

- Poszedłem na spacer do parku. Słońce świeciło, niebo było błękitne i wydawało mi się, że wszędzie dookoła widzę młode, wolne kobiety.

- Chyba się starzejesz - stwierdziła, podnosząc słuchawkę.

- Och, tego bym raczej nie powiedział. Spódniczki są krótsze niż kiedykolwiek. Często myślałem przy tym także o tobie.

W tym momencie ich rozmowę przerwał czyjś suchy, pełen dystansu głos.

- O co chodzi?

- Pan Chavasse jest tutaj, panie Mallory.

- Proszę go wpuścić. I żadnych telefonów przez najbliższą godzinę.

Odłożywszy słuchawkę, odwróciła się do niego z lekko ironicznym uśmiechem na ustach.

- Pan Mallory przyjmie teraz pana, sir.

- Ja także cię kocham - rzucił Chavasse, podszedł do obitych zielonym sukmem drzwi, otworzył je i wszedł.

- Ucieczki z więzień stanowią od dawna stały problem - mówił Black. - Zawsze jest ich średnio co najmniej dwieście pięćdziesiąt rocznie.

- Wydaje mi się, muszę przyznać, że to raczej sporo. - Mallory poczęstował się tureckim papierosem z pudełka leżącego na jego biurku.

Chociaż z natury dobrotliwy, jako Naczelnny Detektyw Nadinspektor, kierujący Wydziałem Specjalnym Scotland Yardu, Charlie Black był przyzwyczajony do tego, że podwładni spieszą wypełnić jego najdrobniejsze polecenia. Prawdę powiedziawszy mógł nawet odczuwać pewną satysfakcję, widząc nerwowość, jaką okazywali również najbardziej niewinni osobnicy, gdy dowiadywali się, z kim mają

do czynienia. Wszyscy jesteśmy tworamii naszego otoczenia, formowanymi przez to, co przydarzyło się nam od dnia narodzin, nawet przez najdrobniejsze zdarzenia. Black, naznaczony przez lata spędzone pod schodami w pewnej rezydencji na Belgrave Square, gdzie jego matka, owdowiała w czasie I wojny światowej, była kucharką - poruszył się niespokojnie na krześle, bo przebywał właśnie w obecności kogoś, kogo ona - Panie, świeć nad jej duszą - nazwałaby człowiekiem stojącym wyżej od niego.

Charlie Black posiadał pozornie wszystko, czego potrzeba wyższemu urzędnikowi państwowemu - garnitur z szarej flaneli, krawat absolwenta Eton i ową specyficzną, bliżej nie określoną aurę władzy i osobistego autorytetu. To śmieszne, ale przez ułamek sekundy poczuł się tutaj jednak znowu jak mały chłopiec, który wracając ze spaceru w parku z psem starego lorda był łaskawie głaskany po głowie i dostawał sześciopensówkę. Szybko odrzucił od siebie te myśli i wziął się w garść.

- Naprawdę nie jest aż tak źle, co roku około stu pięćdziesięciu więźniów po prostu wychodzi z otwartych zakładów penitencjarnych, w których nikt ich nie zatrzymuje. Chociaż oczywiście można by tutaj twierdzić, że jest to przede wszystkim wynik niewłaściwej procedury kierowania więźniów do takich zakładów. Dalszych pięćdziesięciu to najprawdopodobniej ci, którzy dostali warunkowe zwolnienia na pogrzeby, śluby lub z innych podobnych powodów i, korzystając z okazji, po prostu ulatniają się, zamiast powrócić do więzienia.

- Co daje nam jednak żelazną liczbę około pięćdziesięciu rzeczywistych ucieczek rocznie.

- Tak jest, a raczej - tak było. W ciągu ostatnich kilku lat nastąpił bowiem wzrost liczby naprawdę spektakularnych ucieczek. To wszystko zaczęło się chyba od słynnego wydostania z więzienia w Birmingham Wilsona, znanego uczestnika napadu kolejowego. Był to pierwszy przypadek, gdy jakiś nieznany gang dosłownie napadł na więzienie, aby kogoś wydostać.

- Prawie jak prawdziwa akcja komandosów.

- I to genialnie wykonana.

- Czy tu właśnie pojawia się owa tajemnicza postać zwana Baronem?

Black skinął twierdząco głową.

- Wiem na pewno, że jest on odpowiedzialny za co najmniej sześć dużych ucieczek w ciągu mniej więcej ostatniego roku. Do tego należy dodać zorganizowanie kanału przerzutowego, za pomocą którego przestępcy zagrożeni aresztowaniem mogą uciec z kraju. Dwa razy udało się nam zatrzymać szeregowych członków organizacji - ludzi przekazujących dalej tych, których ścigaliśmy.

- Udało się wam coś z nich wyciągnąć?

- Nic - głównie dlatego, że naprawdę nie mieli nic do powiedzenia. Kanał przerzutowy jest, jak nam się wydaje, zorganizowany na zasadzie opracowanej niegdyś przez organizacje komunistyczne i szeroko stosowanej w czasie wojny we francuskim ruchu oporu - powiązania ze sobą szeregu niemal całkowicie odizolowanych, głęboko zakonspirowanych, samodzielnych komórek. Każdy członek siatki zajmuje się tylko swoim własnym, konkretnym zadaniem. Może znać

następny etap drogi przerzutowej, ale nic poza tym. Oznacza to, że jeśli nawet pojedynczy należący do niej osobnik zostaje schwytany, organizacja, jako całość, jest nadal bezpieczna.

- I nikt nie wie, kim jest Baron?

- Nasz specjalny supertajny oddział infiltracji środowisk przestępczych, Ghost Squad, już od ponad roku usiłuje to ustalić. Jak na razie bez rezultatu. Jedno jest pewne - Baron nie jest zwykłym przestępcą - to naprawdę szczególny przypadek. Podejrzewamy, że może to być ktoś z kontynentu, a nie Brytyjczyk.

Na biurku przed Mallorym leżały otwarte akta. Przez chwilę przeglądał je w milczeniu, potem pokręcił głową z dezaprobatą.

- Wygląda na to, że jedyną pańską szansą uzyskania jakichkolwiek informacji o tym nieuchwytnym przestępcy byłaby stała, ścisła inwigilacja jednego z jego przyszłych klientów, co jest teoretycznie właściwie niemożliwe. W tej chwili w brytyjskich więzieniach musi znajdować się łącznie około sześćdziesięciu tysięcy ludzi - jak zamierza pan ustalić, o kogo może teraz chodzić?

- Można do tego dojść drogą prostej eliminacji. Jeśli w jego poczynaniach jest jakaś prawidłowość, to uda się ją - zapewne wykryć analizując zasady wyboru klientów. Wszyscy dotychczas uwolnieni mieli duże wyroki i posiadali znaczne zasoby finansowe. - Black otworzył szarą teczkę, wyjął zapisaną na maszynie kartkę papieru kancelaryjnego oraz jakieś zdjęcie i podsunął to wszystkowi gospodarzowi przez szerokość biurka. - Niech pan rzuci okiem na ostatni przypadek.

Przejrzawszy pokrótce materiał, Mallory skinął potakująco głową.

- Ben Hoffa. Pamiętam tę sprawę. To napad, który miał miejsce w Dartmoor w zeszłym miesiącu. W czasie ćwiczeń wojskowych gang, przebrany za komandosów Królewskiej Piechoty Morskiej, urządził zasadzkę na więzienny samochód i porwał więźnia, który ulotnił się bez śladu. Nie macie o nim żadnych wiadomości od tamtej pory?

- Ani słowa. Hoffa i jego dwaj współnicy, George Saxton i Harry Youngblood, odbywali wyroki po dwadzieścia lat więzienia za napad na lotnisku Peterfield. Przypomina pan to sobie?

- Muszę się przyznać, że nie bardzo.

- Było to już jakieś pięć lat temu. Porwali wówczas, należąca do linii Northern Airways, dakotę, przewożącą przesyłkę specjalną z Centralnego Banku Szkockiego do Banku Angielskiego w Londynie, prawie milion funtów w używanych banknotach. Piękna robota, muszę to przyznać. Tylko oni trzej brali udział w tym napadzie i udało się im wszystkim gładko uciec.

- Gdzie więc popełnili błąd?

- Hoffa wybrał sobie niewłaściwą przyjaciółkę, która doszła do wniosku, że woli dziesięć tysięcy funtów nagrody oferowane przez oba Banki Centrali niż Bena wraz z jego udziałem w łupie i niepewną przyszłością.

- A skradzionych pieniędzy nigdy nie odzyskano?

- Ani złamanego pensa. - Black podsunął mu w ten sam sposób jak poprzednio jeszcze jedno zdjęcie.

- To jest George Saxton. Uciekł w zeszłym roku z Grange End. Było to prawie dokładne powtórzenie schematu uwolnienia Wilsona: kilku mężczyzn wtargnęło pod osłoną ciemności do więzienia i po prostu go wyniosło. Od tamtego czasu słuch po nim zaginął. Nie wykluczamy także ewentualności, że został zlikwidowany.

- Zakładacie więc, że następny będzie Youngblood, który pozostał jako jedyny z tej trójki w więzieniu?

- Właśnie, tylko on albo całe moje rozumowanie jest zupełnie błędne - stwierdził zawzięcie Black i podsunął rozmówcy kolejne akta.

Twarz, widoczna na zdjęciu, była pełna inteligencji i niespożytej, prawie zwierzęcej witalności, a w kątku ust czaił się lekko drwiący uśmiech. Mallory okazał od razu wyraźne zainteresowanie aktami i szybko zapoznał się ze szczegółami życiorysu zawartymi w dokumentach.

Harry Youngblood miał czterdzieści dwa lata. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, jako siedemnastolatek, zaciągnął się do marynarki wojennej, kończąc wojnę jako bosmanmat, na kutrach torpedowych. Po wojnie pozostał na morzu, ale że jego metody postępowania były niezbyt zgodne z powszechnie przyjętymi zasadami, w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku został skazany na osiemnaście miesięcy więzienia za przemyt. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku wycofano, z braku dowodów, oskarżenie przeciw niemu o zorganizowanie gangu okradającego przesyłki pocztowe. Od tego czasu aż do ostatniego wyroku, w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, nie był skazany na odbywanie kary więzienia, ale w co najmniej trzydziestu jeden sprawach był przesłuchiwany przez policję w związku z przestępstwami zagrożonymi odpowiedzialnością karną.

- Niezły ptaszek - stwierdził Mallory. - Wygląda na to, że próbował dokładnie wszystkiego, co jest w kodeksie.

- Jeśli mam być z panem szczerzy, osobiście zawsze czułem dla niego ukryty szacunek, a zazwyczaj nie mam wiele czasu na sentymenty wobec łajdaków, z którymi mam do czynienia. Gdyby po wojnie zajął się czymś innym, zamiast tymi kombinacjami z przemytem, jego losy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej.

- A teraz odbywa karę dwudziestu lat więzienia?

- Tak właśnie powinno być. Nie bylibyśmy zbyt szczęśliwi, gdyby stało się inaczej, biorąc pod uwagę sposób, w jaki zniknęli z więzień jego wspólnicy. Obecnie przebywa we Fridaythorpe, gdzie zapewniamy mu maksymalną ochronę, ale w końcu są pewne granice najbardziej surowego traktowania. Jakies trzy miesiące temu przeszedł lekki udar mózgu. Mallory ponownie spojrzał na zdjęcie.

- Muszę powiedzieć, że wygląda na całkiem zdrowego. Czy jest pan pewien, że to był rzeczywiście udar mózgu?

- Elektroencefalograf nie umie kłamać - powiedział Black. - A zdecydowanie wykazał poważne zakłócenia przewodzenia fal mózgowych. Poza tym, podając odpowiednie środki, można oczywiście spowodować atak serca, ale nie udar. Zbadano go bardzo dokładnie - przez trzy dni leżał w Manningham General Infirmary.

- Czy to nie było zbyt nieostrożne? Powiedziałbym, że była to doskonała okazja, żeby ktoś mógł go wydostać z więzienia.

Black pokręcił głową.

- Prawie przez cały czas był nieprzytomny. Trzymano go w zamkniętej izolatce, a dwóch funkcjonariuszy więziennych strzegło go dzień i noc.

- Czy nie można go było leczyć na terenie więzienia?

- Nie ma tam odpowiednich warunków. Jak większość zakładów karnych, Fridaythorpe ma izbę chorych, w której przyjmuje dochodzący lekarz. Cięższe przypadki leczy się w odizolowanej sali miejscowego szpitala. Jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że więzień będzie chory przez dłuższy czas, przewozi się go do szpitala więziennego w Wormwood Scrubs. Nie dotyczy to oczywiście takich dolegliwości, jak ta Youngblooda. Zresztą Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i tak nie zgodziłoby się na przewiezienie go. W żadnym szpitalu praktycznie nie można zapewnić maksymalnej ochrony. Baliby się śmiertelnie, że któryś z londyńskich gangów mógłby skorzystać z takiej okazji, aby spróbować go odbić. Mallory zapalił nowego papierosa, wstał i podszedł do okna.

- Wszystko to jest bardzo interesujące. Komisarz oczywiście przysłał mi bardzo szczegółowy raport, ale muszę przyznać, że pańska osobista relacja wyjaśniła kilka spraw. - Odwrócił się, marszcząc w zadumie brwi. - Jeśli dobrze zrozumiałem, cała rzecz sprowadza się do jednego. Chcecie, żebyśmy dali wam naszego oficera operacyjnego - kogoś, kto normalną drogą mógłby trafić do więzienia i kto, przynajmniej teoretycznie, potrafiłby zdobyć zaufanie Youngblooda. Dlaczego nie możecie użyć do tego celu któregoś z waszych ludzi?

- Większość przestępców wyczuwa policjanta na kilometr, co zresztą działa również w drugą stronę. Dlatego właśnie komisarzowi przyszła na myśl pańska organizacja, sir. Widzi pan, człowiek, jakiego nam potrzeba do wykonania tego zadania, nie przeżyłby pięciu minut, gdyby zaistniał choć cień wątpliwości, że sam nie jest przestępcą, tak więc jego osobista postawa i temperament będą miały pierwszorzędne znaczenie.

- Rozumiem, że chce pan przez to powiedzieć, że moi ludzie mają to, co można by nazwać zmysłem przestępczym, panie Nadinspektorze? - Black wyglądał na lekko zmieszanego, a Mallory pokiwał głową.

- Ma pan całkowitą rację. Nie przetrwaliby długo wykonując nasze zadania, gdyby tak nie było.

- Czy myśli pan, że mógłby nam znaleźć kogoś? Mallory skinął twierdząco głową i usiadłszy za biurkiem ponownie zerknął na akta.

- O tak, sądzę, że możemy to załatwić. Tak się składa, że mam obecnie do dyspozycji kogoś takiego, kto powinien być bardziej niż odpowiedni do wykonania tego zadania. - Nacisnął przełącznik interkomu i zapytał ostro: - Nadal jeszcze ani śladu Chavasse'a?

- Niestety, nie, panie Mallory - odparła Jean Frazer.

- Chavasse? - odezwał się Black. - To jakieś obco brzmiące nazwisko.

- Jego ojciec był francuskim oficerem, który zginął w czasie ostatniej wojny. Matka jest Angielką i tu wychowała chłopaka. Można rzec, że od tego czasu sporo podróżował, widział i robił. Black zawahał się, po czym powiedział ostrożnie:

- Tym razem, żeby wykonać to zadanie, będzie potrzebował zapewne całego swego rozumu, panie Mallory.

- Tak się składa, że ma stopień doktora neofilologii, panie Nadinspektorze - zimno odparł Mallory - i wykładał kiedyś na jednym z naszych starszych uniwersytetów. Czy to panu wystarcza? Blackowi z wrażenia opadła nieco szczęka.

- Więc jak, u licha, wdał się w tę waszą niebezpieczną grę?

- To stara historia. Ważniejsze jest, dlaczego w niej nadal bierze udział. - Mallory wzruszył ramionami. - Można by chyba powiedzieć, że ma zacięcie do tego typu pracy jak nasza i gdy okoliczności tego wymagają, nie waha się nacisnąć na spust, w przeciwieństwie do większości ludzi. - Uśmiechnął się leciutko. - Biorąc to pod uwagę, nie sądzę, aby w ogóle aprobował pan jego postawę. Black sprawiał wrażenie trochę zaskoczonego.

- Jeśli mam być całkiem szczerzy, sir, to - moim zdaniem - powinien chyba siedzieć za kratkami.

- W obecnych okolicznościach pańska uwaga jest raczej trafna.

Chwilę później odezwał się interkom i Jean Frazer zapowiedziała Chavasse'a. Tuż za drzwiami przystanął.

- Przepraszam pana za spóźnienie, sir - zwrócił się do Mallory'ego.

- Nieważne. Poznaj Detektywa Nadinspektora, szefa Wydziału Specjalnego, pana Blacka, który chciałby, żebyś na kilka miesięcy poszedł do więzienia.

- To brzmi interesująco - powiedział Chavasse i podszedł bliżej, by uścisnąć dłoń gościa.

Miał nieco poniżej metra osiemdziesięciu wzrostu, szerokie ramiona i poruszał się z wrodzoną zręcznością atlety. Najciekawsze jednak były rysy jego twarzy - regularne, nawet arystokratyczne, które mogłyby należeć zarówno do zawodowego żołnierza, jak i do uczonego, z wystającymi kośćmi policzkowymi - najwyraźniej odziedziczonymi po ojcu - Bretończyku. Gdy podawał rękę, jego twarz rozjaśnił uśmiech pełen naturalnego wdzięku, ale trzydzieści lat pracy w policji nauczyło Charlie'ego Blacka, jak ważne są oczy. Te zaś były ciemne i dziwnie odległe. Black przypomniał sobie, co powiedział Mallory, i wzdrygnął się lekko, czując nagle, że ta gra go przerasta... Zwykła praca policyjna to jedno, a to...

Słowa Mallory'ego wywołały u niego prawie dosłyszalne westchnienie ulgi:

- Myślę, że dalej poradzimy już sobie sami, panie Nadinspektorze. Bardzo dziękuję za przybycie. Jak już powiedziałem wcześniej, wyjaśnił mi pan wiele spraw. Może pan powiedzieć Komisarzowi, że skontaktuję się z nim jeszcze dzisiaj. Panna Frazer odprowadzi pana.

Włożywszy na nos okulary, zaczął ponownie studiować leżące przed nim akta. Black wstał niezgrabnie i zaczął wyciągać rękę, ale potem zrezygnował. Skinął głową Chavasse'owi, po czym dość szybko wyszedł. Chavasse zachichotał.

- Boże, miej w opiece brytyjskiego Bobby.

Mallory podniósł na niego wzrok.

- Kogo? Blacka? Och, on na własnym gruncie całkiem dobrze sobie radzi.

- Wyglądał jak nieszczęśliwy, zbesztany uczeń, opuszczający gabinet dyrektora szkoły - nie mógł już chyba opuścić pańskiego gabinetu w większym pośpiechu.

- Nonsens - Mallory popchnął akta przez biurko w jego stronę. - Porozmawiam z tobą, kiedy skończysz to czytać.

Podczas gdy Chavasse przedzierał się przez maszynopisy raportów i inne dokumenty z kartoteki kryminalnej Scotland Yardu, Mallory zajął się innymi papierami. Po jakimś czasie wyprostował się w fotelu i zapytał:

- No i co o tym myślisz?

- To może być interesujące, ale chciałbym się dowiedzieć, od kiedy to i dlaczego jest pan taki chętny do pomocy policji?

- Jest w tej sprawie kilka elementów, o których Yard nie wie.

- Na przykład?

- Czy pamiętasz tę aferę w zeszłym roku, gdy Henry Galbraith - fizyk nuklearny, który odbywał karę piętnastu lat więzienia za przekazywanie informacji Chińczykom - uciekł z zakładu karnego w Felversham?

Chavasse skinął głową potakująco.

- Muszę przyznać, że zdziwiło mnie to wówczas. Galbraith nie bardzo odpowiadał mojemu wyobrażeniu człowieka czynu.

- Pojawił się w Pekinie.

- Chce pan powiedzieć, że stał za tym Baron? - Mallory potwierdził skinieniem głowy i Chavasse gwizdnął lekko. - Musieli za to zapłacić mnóstwo pieniędzy.

- W dodatku co najmniej w trzech innych przypadkach w tym roku, kiedy właśnie mieliśmy zatrzymać kogoś ważnego, pracującego dla drugiej strony, zniknął on nam nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pewien typ z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zniknął nam w zeszłym miesiącu i pojawił się ponownie w Warszawie, a zapewniam cię, że wiedział niestety piekielnie dużo. Premier był wściekły z tego powodu - w tym samym tygodniu musiał akurat jechać do Waszyngtonu.

- Wszystko to razem ukazuje nam jedną ciekawą cechę Barona - zauważył Chavasse. - Kimkolwiek jest poza tym, na pewno nie jest patriotą, lecz nie bawiącym się w żadne sentymenty człowiekiem interesu. Jeszcze raz spojrzął w akta.

- O czym myślisz? - zapytał Mallory.

- O ogólnej koncepcji - Chavasse wzruszył ramionami. - Nie jestem do niej całkowicie przekonany. Mam iść do więzienia i dzielić celę z Harrym Youngbloodem, bo przecież do tego mniej więcej się ona sprowadza, prawda? Czy jest pan pewien, że da się to zorganizować?

Mallory skinął twierdząco głową.

- Ministerstwo Spraw Wewnętrznych byłoby w stanie załatwić tę sprawę bezpośrednio z komendantem więzienia. Mógłby mieć jakieś zastrzeżenia i wątpliwości, ale musiałyby zrobić, co mu każą, i byłby jedyną wtajemniczoną osobą.

Wolę jednak nawet tego uniknąć. Zajmiemy się opracowaniem legendy dla twojej nowej tożsamości - wymyślimy coś miłego i interesującego. - Eks-oficer zdegradowany za defraudację - deportowany ostatnio z Brazylii jako osoba niepożądana i tak dalej.

- Może to pociągnąć za sobą kolosalną stratę czasu, czy wziął pan to pod uwagę? Może się nam wydawać logiczne, że Youngblood będzie rzeczywiście następny do golenia, ale stąd jeszcze daleko do pewności.

- A jednak myślę, że to będzie naprawdę on - nie zgodził się Mallory. - Weźmy na przykład ten jego lekki udar mózgu - to piekielnie mętna sprawa. Żadnej wcześniejszej historii choroby, zawsze cieszył się doskonałym zdrowiem.

- Według raportu to był autentyczny atak.

- Wiem, a Black zwrócił mi też uwagę na to, że udaru mózgu nie można wywołać przez podanie odpowiednich środków farmakologicznych.

- A nie ma racji?

- Powiedzmy, że nie jest doinformowany - oficjalnie nie ma takiego środka, ale w Holandii eksperymentują z czymś takim już od roku. Środek zwany mabofiną. Zakłóca przewodzenie fal mózgowych w taki sam sposób, jak insulina lub kuracja wstrząsowa. Chcą go stosować w leczeniu umysłowo chorych.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że pańskim zdaniem jakaś akcja, mająca na celu wydostanie go z więzienia, jest już w toku? W takim razie jakie jest moje zadanie? Dowiedzieć się jak najwięcej i zatrzymać go, czy też spróbować udać się razem z nim na przejażdżkę?

- To mogłaby być ciekawa podróż. Może zaprowadziłaby nas prosto do człowieka, którego szukamy.

- No, jest jeszcze jeden problem, może minąć rok lub dwa, zanim coś zrobią.

- A tobie nie uśmiecha się przebywanie przez tak długi czas w charakterze gościa na bezpłatnym wikcie Jej Królewskiej Mości?

Chavasse pchnął przez biurko kartotekę Youngblooda.

- Chodzi mi jeszcze o coś więcej. Niech pan tylko spojrzy na tę twarz i zwróci uwagę na oczy. Do licha z tymi wesołymi historyjkami w gazetach o Harrym Youngbloodzie - przemytniku z dobrą wojenną przeszłością - współczesnym Robin Hoodzie o miękkim sercu, bohaterze łzawych opowiadań. Dla mnie to człowiek o umyśle ostrym jak brzytwa używana przez bandytów do podcinania gardła, który sprzedałby własną babkę za paczkę papierosów, gdyby zaszła taka potrzeba. Z całą pewnością wyczuje we mnie przebierańca. Nie przetrwałbym z moją legendą nawet tygodnia, a więzienia bywają niebezpieczne. Czyżby nie słyszał pan o tym?

- A co by było, gdyby musiał cię zaakceptować? Gdyby nie miał żadnego wyboru?

Chavasse zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, o co chodzi.

- Musisz tylko wykonać odpowiednią robotę i dać się za nią skazać na jakieś pięć lat. Najlepiej jakiś efektowny napad, oczywiście w granicach rozsądku. Coś,

dzięki czemu twoja twarz będzie przez parę dni gościła na pierwszych stronach gazet.

- Nie prosi mnie pan o zbyt wiele, prawda?

- Właściwie mam już nawet pewien plan - mówił dalej Mallory spokojnym głosem. - Dostałem to od jednego z naszych informatorów w Yardzie. Tamci, gdy tylko znajdują jakąś firmę, która nie stosuje odpowiednich środków ochrony i zabezpieczeń, wkraczają do akcji, udzielając mądrych rad. Tym razem może odniesie większy skutek, gdy ich zastąpisz, sam przystępując do działania. Oczywiście będziesz musiał potem dać się złapać.

- To miło z pana strony, że tak pan to wszystko znakomicie wymyślił. A co będzie, jeśli im zwieję?

- Anonimowy telefon do Yardu, informujący ich, gdzie jesteś, powinien załatwić sprawę. - Uśmiechnął się. - Jestem pewien, że Jean Frazer chętnie się zajmie wykonaniem tego drobnego zadania.

Chavasse westchnął.

- No cóż, czy ja naprawdę mówiłem, że chciałbym dostać jakieś zadanie wymagające aktywności? Co to za firma?

Otworzywszy kolejną teczkę, Mallory pchnął ją w jego stronę przez biurko.

- Lonsdale Metals - oznajmił.

Strażnik przy bramie przeciągnął się i zrobił parę kroków w stronę wartowni, rozluźniając zdrętwiałe mięśnie. Ranna zmiana wydawała mu się wyjątkowo długa, ale zostało jeszcze tylko dziesięć minut służby. Odwróciwszy się ujrzał, jak z garażu z dużą szybkością wyjeżdża czerwona zakładowa furgonetka, z rykiem silnika pędząc przez dziedziniec.

Gdy zaalarmowany strażnik wyskoczył do przodu, samochód zahamował z piskiem opon, jego maska zatrzymała się nie dalej niż metr od szlabanu, zamykającego wjazd. Młody człowiek, który wygramolił się z szoferki, wyglądał tak, jakby znajdował się w stanie głębokiego szoku, na twarzy miał krew. Stracił równowagę upadając na kolano, a gdy strażnik pomagał mu wstać, dołączyło do niego trzech pozostałych. Kierowca zachowywał się tak, jakby miał także trudności z mówieniem. Przełknął ślinę, po czym wymownym, dramatycznym gestem wskazał w kierunku głównego bloku.

- Kasa - zdołał wyjąkać.

Zaczął słać się na nogach, więc strażnik spod bramy podtrzymał go szybko.

- Lepiej gnajcie tam szybko - powiedział do pozostałych trzech. - Ja wezmę tego chłopaka do środka i zadzwonię po policję.

Ruszyli biegiem przez dziedziniec zabierając ze sobą owczarka, a strażnik spod bramy mocniej chwycił kierowcę furgonetki, podtrzymując jego plecy ramieniem.

- Nie wygląda pan zbyt dobrze. Wejźmy i niech pan usiądzie.

Kierowca skinął głową, wierzchem dłoni startł krew z twarzy i wszedł razem z nim do wartowni. Strażnik nigdy nie dowiedział się dokładnie i nie mógł z całą pewnością zeznać, co się potem stało. Usadowił kierowcę na krześle i podszedł do biurka. Nic nie słyszał, ale gdy sięgał po telefon, otrzymał ogłuszające uderzenie w podstawę czaszki, które zważyło go z nóg.

Leżał tam i przez chwilę był jeszcze przytomny, a chociaż wszystko wirowało mu w głowie i rozplątywało się powoli w dziwnej mgle, do jego świadomości dotarł jeszcze odgłos podnoszonego szlabanu i nagły ryk silnika szybko odjeżdżającej furgonetki - po czym ogarnęła go zupełna ciemność.

Gdy Chavasse wszedł na górę po schodach obskurnego domu na Poplar i otworzył drzwi znajdujące się na końcu półpiętra, Jean Frazer leżała na łóżku, czytając jakiś ilustrowany magazyn. Opuściła nogi na podłogę, lekko marszcząc brwi.

- Czy masz krew na policzku?

Chavasse startł ją od niechcienia.

- Zapewniam cię, że to coś zupełnie innego.

- Dostałeś się tam?

- I wydostałem również. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia i podziwu.

- Z pieniędzmi?

Skinął głową.

- Są na dole, na podwórku, w starym fordzie - furgonetce, którą kupiłem dziś rano.

- Przedstawiciele prawa nie są pewnie daleko stąd?

Podszedł do okna, wycierając twarz ręcznikiem i wyjrzał na ulicę.

- Raczej wątpię. Zamieniłem samochody wiele kilometrów stąd, po drugiej stronie Tamizy. W sumie, gdybym nie pokazywał tak wszędzie wokoło mojej gęby, mam poważne podejrzenia, że udałoby mi się uciec.

- Niebezpieczne gadanie. - Założyła buty. - Poważnie mówiąc, Paul, jak, u licha, udało ci się to zrobić?

- Znasz styl pismaków? Przeczytaj wszystko, co o tym napiszą. Nie chcę zepsuć ci tej zabawy.

- No dobrze - westchnęła - chyba lepiej pójdę jednak i zadzwonię z doniesieniem do Scotland Yardu. Gdy obchodziła łóżko, przyciągnął ją do siebie.

- Może mnie nie być cholernie długo, Jean - powiedział drwiąco. - Nie przypuszczam, że chciałabyś dać mi coś, co nie pozwoliłoby mi o tobie zapomnieć.

Nachyliła głowę, pocałowała go tylko raz i uwolniła się z jego objęć.

- To najlepsze, co mogę w tej chwili zrobić. Muszę teraz odegrać moją rolę Dalili. Jeżeli Mallory mi pozwoli, będę do ciebie przychodzić w dni odwiedzin.

Drzwi zamknęły się za nią i Chavasse przekręcił klucz. Nie miał teraz nic do roboty, poza czekaniem, aż po niego przyjdą. Umieścił automatyczny pistolet w zasięgu ręki na szafce pod oknem, zapalił papierosa i położył się na łóżku.

3. Więzienie

- Pisano o niej we wszystkich gazetach.

- Czterdzieści pięć tysięcy i prawie udało mu się z nimi uciec.

- Czy czasem ktoś nie doniósł na niego?

- Zgadza się, sir - anonimowa wiadomość do Yardu. On jednak już dużo wcześniej popadł w konflikt z prawem. Był kapitanem w Inżynierii Królewskiej - zdegradowany za defraudację siedem czy osiem lat temu. Od tego czasu tułał się po Ameryce Południowej, wyczyniając Bóg wie co. Komendant pokiwał głową.

- Niezbyt to piękny wizerunek. Mimo to jest człowiekiem dość inteligentnym. Mam zamiar ulokować go razem z Youngbloodem.

Atkinson nie mógł ukryć swego zdziwienia.

- Czy mógłbym zapytać, dlaczego, sir?

Komendant rozparł się wygodnie w fotelu, przechylając się lekko do tyłu.

- Mówiąc szczerze, niepokoję się ciągle o Youngblooda - od czasu tej historii z jego udarem. Wcześniej czy później będzie miał następny - zawsze tak jest - i bardzo szybko będzie potrzebował specjalistycznej pomocy lekarskiej. Może pan sobie wyobrazić, co by było, gdyby dostał takiego ataku w środku nocy i zmarł nam tutaj pod bokiem?

- To mało prawdopodobne, sir. Co godzinę jest sprawdzany.

- Wiele może się zdarzyć w ciągu godziny. Natomiast gdyby cały czas ktoś tam był... - Potrząsnął głową. - Jestem pewien, że z naszego punktu widzenia współwięzień jest najlepszym rozwiązaniem, a ten typek, Drummond, powinien akurat się do tego znakomicie nadawać. Obejrzyjmy go sobie. Dowódca straży więziennej otworzył drzwi, stając z boku.

- No dobra, zuchu - warknął. - Obudź się i ruszaj się. Stań na wycieracze i podaj swoje nazwisko i numer. Więzień wkroczył szybko do gabinetu.

- Osiemdziesiąt trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt osiem, Drummond, sir - powiedział Paul Chavasse i stał dalej na baczność na gumowym prostokącie, usytuowanym dokładnie w odległości metra od biurka komendanta.

Padające z tamtej strony światło podkreślało rysy jego twarzy. Przez ostatnie trzy miesiące wychudła ona trochę, a włosy, ostrzyżone prawie do gołej skóry, nadawały mu dziwnie średniowieczny wygląd. Sprawiał wrażenie niezwykle niebezpiecznego człowieka i komendant z pewnym zakłopotaniem utkwiał wzrok w swoich raportach. To nie było to, czego się spodziewał - nawet zupełnie nie to, czego się spodziewał.

Było to dość paradoksalne, ale komendant nie wiedział absolutnie nic o prawdziwym życiu więziennym - to, co widział każdego dnia, było tylko powierzchnią oceanu, który Chavasse, w trzy krótkie miesiące, zgłębił prawie do dna, przechodząc przez to, co w żargonie prawniczym określa się jako prawidłowe postępowanie karne.

W ciągu trzech miesięcy stawał kolejno siedem razy przed sądem i przeżył koszmar aż trzech różnych więzień. Spędził miesiąc w oczekiwaniu na rozprawę w

miejscu wyjątkowo prymitywnym, gdzie jedynym urządzeniem sanitarnym w celi był emaliowany kubek. Co rano stawał w długiej kolejce mężczyzn, którzy powłócząc nogami szli wzdłuż półpiętra, aby wylać nocne nieczystości do jedynej muszli klozetowej na końcu korytarza.

Strażnicy więzienni w obowiązującym tu żargonie byli teraz dla niego klawiszami. Jak wśród innych ludzi byli między nimi i dobrzy, i źli albo obojętni, mniej więcej w zwykłych proporcjach. Byli tacy, którzy traktowali go przyzwoicie i po ludzku, inni zaś każde polecenie znaczyli końcem pałki, boleśnie dźgającym w nerki.

Przekonał się, że w przestępczym procederze niewiele było romantyzmu, że większość współwięźniów stanowili notoryczni przestępcy, którzy zapewniliby sobie lepsze warunki życia, gdyby spędzili je pobierając zasiłek dla bezrobotnych. Przekonał się także, że mordercy i gwałciciele wyglądali zupełnie normalnie, że bardzo często ci, którzy robili wrażenie najbardziej męskich, byli zbrojeńcami seksualnymi.

Najważniejsze jednak, że jak każde zwierzę w dżungli, któremu zależy jedynie na przetrwaniu, szybko nabrał zwyczajów i nawyków charakterystycznych dla swego nowego otoczenia, co pozwoliło mu się w nie niemal całkowicie wtopić. Udało mu się. Nigdy nie miał już być zupełnie takim samym człowiekiem jak przedtem, ale przetrwał.

- Sześć lat. - Komendant spojrzał znad raportu. - To znaczy cztery, jeśli unikniesz wszelkich kłopotów i uda ci się uzyskać pełne złagodzenie kary.

- Tak jest, sir. Komendant odchylił się do tyłu wraz ze swoim fotelem.

- Naprawdę przykro jest widzieć upadek takiego człowieka jak ty, ale sądzę, że możemy ci pomóc. Jednak ty również musisz sam sobie pomóc. Czy chcesz spróbować?

Chavasse opanował silną pokusę, aby pochylić się nad biurkiem i grzotnąć pięścią w sam środek tej rumianej, dobrze odżywionej twarzy i zastanawiał się, czy jest możliwe, żeby komendant odgrywał przedstawienie. Wydawało mu się to jednak mało prawdopodobne - musiałoby to bowiem oznaczać, że z największą niechęcią jedynie wyraził zgodę na wprowadzenie ukrytego agenta do swojego zakładu.

- Tak czy owak, najlepiej możesz pomóc sobie pomagając mnie - powiedział komendant. - Mam zamiar umieścić cię w celi z człowiekiem o nazwisku Harry Youngblood. Jest to więzień mający wieloletni wyrok. Jakiś czas temu miał udar mózgu. Wszystko wskazuje na to, że może mieć następny, na przykład w nocy. Gdyby tak się stało, chcę, żebyś natychmiast zadzwonił po dyżurnego strażnika. Jak mi powiedziano, w takich przypadkach czas decyduje o życiu i śmierci. Rozumiesz?

- Doskonale, sir.

- Youngblood pracuje w warsztacie mechanicznym, tak, panie Atkinson?

- Tak jest, sir. Tablice rejestracyjne.

- Świetnie. - Komendant ponownie spojrzął na Chavasse'a. - Pójdiesz tam na przeszkolenie i zobaczymy, jak ci się to spodoba. Z zainteresowaniem będę śledził twoje postępy.

Wstał na znak, że rozmowa skończona, i przez ułamek sekundy jego oczy miały taki wyraz, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. W końcu szorstko skinął głową w stronę dowódcy straży więziennej, który wyprowadził więźnia na korytarz.

Zakłady karne, w których poprzednio przebywał Chavasse, zbudowane były w okresie reform więziennictwa, w połowie XIX wieku, według systemu powszechnie stosowanego w więzieniach Jej Królewskiej Mości, składały się na nie cztery trójpoziomowe bloki cel rozchodzące się promieniście z głównej klatki schodowej, jak szprychy koła. Fridaythorpe było jednak zbudowane dopiero dwa lata temu. Był to budynek z gładkiego i wyciszającego wszystkie odgłosy betonu, z klimatyzacją i centralnym ogrzewaniem, za to bez żadnego widocznego okna.

Atkinson i Chavasse dotarli do głównego hallu i wsiedli do żelaznej windy, która przejechała dziesięć pięter w górę, zanim się zatrzymała. Gdy wyszli na małe, betonowe półpiętro, Chavasse zobaczył po drugiej stronie metalowej kraty długi, biały, ciągnący się niemal bez końca korytarz. Stali przez chwilę w miejscu, po czym krata otworzyła się płynnie i cicho, a kiedy znaleźli się w środku, równie cicho zamknęła się ponownie.

- To robi wrażenie, co? - spytał Atkinson, gdy Chavasse odwrócił się, by ją obejrzeć. - I o to właśnie chodzi. Zdalnie sterowana. Człowiek, który nacisnął guzik, siedzi w centrum kontrolnym na parterze, w drugim końcu więzienia. Należy do jednego z pięcioosobowych zespołów, które, na zmianę, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kontrolują pięćdziesiąt trzy ekrany telewizyjne. Widzą cię przez cały czas od chwili, gdy opuściliśmy biuro komendanta.

- Wspaniałe postępy czyni dziś nauka - stwierdził Chavasse.

- Nikt nie ucieka z Fridaythorpe, pamiętaj o tym po prostu - powiedział Atkinson, gdy szli dalej korytarzem. - Zachowuj się poprawnie, to będziemy z tobą postępować przyzwoicie - spróbuj się stawiać, a polecisz prosto na pysk.

Najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi, toteż Chavasse nie starał mu się jej udzielać. Przystanęli na samym końcu korytarza przed jakimiś drzwiami, które Atkinson otworzył kluczem wyjętym z kieszeni.

Cela była większa, niż się spodziewał. Trzy małe, szczelinowe okienka były wypełnione zbrojonym szkłem i zdecydowanie zbyt wąskie, by człowiek mógł się przez nie przecisnąć. W jednym rogu znajdowała się umywalka i ubikacja, a pod każdą ze ścian stało jedno łóżko. Na jednym z nich leżał Youngblood, czytając jakiś ilustrowany magazyn. Spojrzął na nich niemal od niechcienia, nie zadając sobie nawet trudu, żeby wstać.

- Przyprowadziłem ci kolegę, Youngblood - odezwał się Atkinson. - Komendant obawia się, że mógłbyś nam pewnej nocy, bez ostrzeżenia, przenieść się na tamten świat i na wszelki wypadek chce, żeby ktoś dotrzymywał ci towarzystwa w celi.

- Cóż, to miło ze strony tego starego sukinsyna - stwierdził Youngblood. - Nie wiedziałem, że mu tak na mnie zależy.

- Trzymaj swój cholerny język za zębami.

- Ostrożnie, panie Atkinson. - Youngblood uśmiechnął się. - Ma pan troszeczkę piany na ustach. Niech pan uważa.

Atkinson zrobił w jego stronę jeden szybki krok, ale zatrzymał się, gdy więzień podniósł rękę do góry.

- Nie jestem zdrowy, niech pan o tym pamięta.

- Rzeczywiście, byłbym zapomniiał. - Atkinson roześmiał się cicho. - Może tu, w celi, jesteś ważny, Youngblood, ale z miejsca, w którym ja się znajduję, wyglądasz diabło żałośnie i jesteś bardzo malutki. Zaśmiewam się do rozpuku za każdym razem, kiedy zamykam te drzwi.

Coś błysnęło w oczach Harry'ego Youngblooda, a zwykły, drwiący uśmiech zniknął z jego twarzy, która przez chwilę wyglądała jak twarz gotowego na wszystko mordercy.

- Tak jest już lepiej - powiedział Atkinson. - O wiele lepiej - i wyszedł, a drzwi szczęknęły za nim z ponurą nieodwracalnością.

- Sukinsyn - stwierdził Youngblood i odwrócił się, by przyjrzeć się Chavasse'owi. - Więc to ty jesteś Drummond? Oczekujemy cię już od tygodnia.

- Wieści najwyraźniej roznoszą się tu szybko.

- To pudło w sam raz dla ciebie. Wszyscy jesteśmy tu jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Spodoba ci się tutaj - jest u nas wszystko: centralne ogrzewanie, klimatyzacja, telewizja - potrzeba nam było jedynie trochę stylu i teraz nareszcie mamy ciebie.

- Mów jaśniej, co to ma znaczyć?

- Przestań się zgrywać - byłeś przecież kapitanem inżynierii, zanim cię wykopali, Sandhurst i tak dalej. Czytałem o tobie w gazetach, kiedy siedziałeś w Bailey.

- Ja też o tobie czytałem. Youngblood usiadł na skraju łóżka zapalając papierosa.

- A niby gdzie?

- W książce pod tytułem „Wielkie przestępstwa stulecia”. Wyszła w zeszłym roku. Był tam cały rozdział opisujący wasz skok na lotnisko Peterfield. Została napisana przez niejakiego Tillotsona.

- A, ten pajac - Youngblood prychnął pogardliwie. - Prawie nic nie zrozumiał. Pojawił się u mnie ze specjalnym pozwoleniem z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami - bo czemu teraz miałbym tego nie zrobić - ale czy myślisz, że on to zrozumiał? Oczywiście nie. Wszystkie zasługi związane z zaplanowaniem akcji przypisał Benowi Hoffie, a ten nie umiał przecież odróżnić własnego tyłka od łokcia.

- Więc to był twój pomysł?

- Jasne. - Youngblood wzruszył ramionami. - Ben był mi potrzebny, nie przeczę. Umiał prowadzić dakotę - to było jego główne zadanie.

- A Saxton?

- Dobry chłopak, jeśli tylko ma kogoś, kto by nim kierował.

- Nie wiesz, gdzie mogą teraz być?

- Gdzieś na słoneczku, wydając całą tę śliczną forszę jeśli mają choć trochę rozumu.

- Nigdy nie wiadomo, co ci jest pisane - powiedział Chavasse. - Może właśnie robią starania, żebyś szybko do nich dołączył.

Youngblood spoglądał na niego beznamiętnie.

- To znaczy, żeby mnie stąd wydostać? Z Fridaythorpe? - wybuchnął głośnym śmiechem. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Nikt się stąd nie wydostaje, nie powiedzieli ci tego? Mają tu kamery telewizyjne i elektronicznie sterowane bramy, zbudowali nawet specjalne ściany z żelbetonu z fundamentami o głębokości sześciu metrów. To tak na wszelki wypadek, gdyby komuś kiedykolwiek przyszedł do głowy pomysł zrobienia podkopu. - Pokręcił przecząco głową. - To jest właśnie to - jedna wielka klatka - nie ma stąd żadnej drogi wyjścia.

- Zawsze jest jakiś sposób - zauważył Chavasse.

- Cóż my tu mamy? Czyżby mózg?

- Nawet dosyć duży.

- Nie przydał ci się zbytnio przy robocie w Lonsdale Metals. Wylądowałeś w końcu tutaj.

- Ty też.

- Tylko przez Bena Hoffę i tę jego cholerną panienkę. - Przez chwilę Youngblood był naprawdę wściekły. - Próbował ją rzucić, więc go zdradziła. To był już koniec dla nas wszystkich.

- Ale pieniędzy nie odzyskali.

- No właśnie, stary. - Youngblood uśmiechnął się szeroko. - A to znaczy więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

- Wiem - powiedział z uczuciem Chavasse. - Miałem ten sam kłopot, co Hoffa. Usiadł na brzegu łóżka i z przygnębieniem wpatrywał się w podłogę. Youngblood wyjął paczkę papierosów i poczęstował go.

- Nie pozwól, żeby cię to dręczyło. Między nami mówiąc, to była całkiem niezła robota, mimo że było w niej trochę amatorszczyzny. Szkoda, nieco więcej wprawy i mogło ci się udać uciec z tymi pieniędzmi.

- Wydaje się, że całkiem dobrze ci się tu powodzi - zmienił temat Chavasse, wskazując papierosy. Youngblood roześmiał się i rozwalił na poduszce.

- Nie narzekam. Dostaję tego, ile chcę i nie pytaj mnie skąd. Kiedy nasi chłopcy chcą zakurzyć, to przychodzą tylko - do mnie. Spadłeś na cztery łapy, podziękuj staremu Carterowi, że postanowił właśnie tu cię wsadzić.

- Powiedział mi, że chorowałeś. To coś poważnego?

- Miałem lekki udar mózgu, miesiąc czy dwa temu. Nic wielkiego. - Wzruszył ramionami. - Taki sobie drobiazg.

- Odniosłem wrażenie, że boi się, byś mu nie wykończył się którejs nocy. Jeśli tak się martwi, to czemu nie każe cię przenieść do Wormwood Scrubs? Youngblood zachichotał chrapliwie.

- Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nigdy by tego nie zniosło. Baliby się śmiertelnie, że któryś z londyńskich gangów mógłby próbować mnie wydostać, mając nadzieję położenia swych rozgorączkowanych rącek na forsie. - Pokręcił głową. - Nie, tutaj jestem i tu zostaję.

- Przez następne piętnaście lat?

Youngblood odwrócił ku niemu głowę, uśmiechając się łagodnie.

- To się jeszcze okaże, no nie? - Podsunął papierosy. - Weź jeszcze jednego.

Najwyraźniej miał ochotę wygadać się, więc Chavasse nie przeszkadzał mu. Leżał na swojej pryczy, palił i słuchał.

Opowiadał mu mniej więcej o wszystkim, co mu się kiedykolwiek zdarzyło, poczynając od lat spędzonych w sierocińcu w Cambarwell, a kończąc długim monologiem na temat okresu służby w marynarce. Nie był żonaty i najwyraźniej nie miał żadnych żyjących krewnych, poza siostrą.

- Musisz dbać o siebie, brachu - poradził Chavasse'owi. - Wcześniej się tego nauczyłem. Zawsze jakiś sukinsyn czeka na okazję, by zabrać ci, co twoje. Gdy byłem bosmanmatem na kutrach torpedowych, moim dowódcą był niejaki Johnson - młody podporucznik. Nie nadawał się, cholera, do niczego. Właściwie to ja musiałem nim kierować. Braliśmy udział w akcji komandosów w St. Laurent. Od razu go trafili, siedział więc bezradnie na swoim stanowisku dowodzenia, wykrwawiając się na śmierć. Nic nie mogliśmy dla niego zrobić. Przejąłem dowodzenie, doprowadziłem do zwycięstwa i władowałem dwie torpedy w nieprzyjacielski niszczyciel. A co się stało, kiedy wróciliśmy? Johnson oczywiście dostał pośmiertnie Krzyż Wiktorii - a ja jakąś cholerną wzmiankę w rozkazie.

Zabawne, jak różnie wygląda ta sama historia w zależności od punktu widzenia - pomyślał Chavasse. Wpatrywał się w sufit, przypominając sobie przebieg tej akcji z oficjalnego raportu umieszczonego w aktach ze szczegółowymi danymi o życiorysie Youngblooda, opracowanym dla potrzeb Biura przez S2. Pełna, nie zniekształcona prawda wyglądała tak, że Johnson podpisał sam na siebie wyrok śmierci, zostając, mimo odniesionych ran, na mostku i dowodząc dalej, czym niewątpliwie pogorszył swój i tak już bardzo ciężki stan. Youngblood walczył dobrze i mężnie zachowywał się pod ogniem przeciwnika - nie było wątpliwości co do jego osobistej odwagi - cały czas jednak działał pod bezpośrednimi rozkazami Johnsona.

Zastanawiał się teraz, czy sam Youngblood wierzy w swoją wersję wypadków, chociaż prawdopodobnie przez całe lata opowiadał ją tyle razy sobie i innym, że to, co tylko mogło mieć miejsce, stało się rzeczywistością. Jego fantastyczna historyjka dawała nawet pośrednio do zrozumienia, że Krzyż Wiktorii otrzymała niewłaściwa osoba, chociaż on sam, zapytany o to, pewnie zaprzeczyłby temu z oburzeniem.

- Według tego, co pisze Tillotson, najpierw zostałeś zatrzymany za przemyt.

- Zgadza się - Youngblood uśmiechnął się szeroko. - Przez kilka lat po wojnie pływałem przez kanał La Manche, na przerobionym kutrze torpedowym.

- Co przemycałeś? Brandy?

- Cokolwiek, co można było wtedy sprzedać, czyli prawie wszystko. Alkohol, pety, pończochy, zegarki.

- A prochy? Można chyba na tym nieźle zarobić.

- Za kogo ty mnie, do cholery, masz, co?! - wybuchnął Youngblood. - Nie brudziłbym sobie rąk takim świństwem.

Zabrzmiało to całkowicie szczerze, co zresztą zupełnie zgadzało się z informacjami zawartymi w jego aktach. Harry Youngblood nigdy nie zajmował się narkotykami ani prostytutką - dwoma najbardziej dochodowymi dziedzinami przestępczej działalności, jakie istnieją, co można chyba było uznać za pewien przejaw moralności. W czasie procesu gazety narobiły wokół tego sporo szumu, co spotkało się z przychylnością opinii publicznej. Dzięki temu łatwo i szybko zapomniano o pilocie porwanej na lotnisku Peterfield dakoty, który próbował stawiać opór i został tak bestialsko pobity przez Youngblooda, że doznał trwałego uszkodzenia wzroku.

Harry miał też inne sprawy na sumieniu. Policja zatrzymywała go wielokrotnie przez całe lata w związku z różnymi przestępstwami, głównie rabunkami, w trakcie których aż nazbyt często używał przemocy. Ani razu nie udało się jednak postawić go w stan oskarżenia, mimo że w jednym przypadku nawet pobity drągiem do nieprzytomności nocny stróż pewnego składu futer zmarł po kilku dniach.

Otrząsnąwszy się z tych rozważań, Chavasse zdał sobie nagle sprawę, że Youngblood jeszcze ciągle mówi.

- To były czasy, chłopie. Naprawdę zadawaliśmy gliniarzom bobu. Miałem najlepszą paczkę w Smoke. Jedna robota po drugiej, a wszystko tak dobrze zaplanowane, że szpicle nigdy nie mogli nam nic zrobić.

- To musiało wymagać ciężkiej pracy.

- Och, zatrzymywali mnie, a jakże, za każdym razem, i próbowali mnie zawsze wrobić, gdy tylko był jakiś większy skok. Ciągłe fotografowano mnie na schodach West End Central, gdzie spędziłem chyba pół życia, i bez przerwy pisano o mnie w tych cholernych gazetach.

- Aż do czasu, kiedy cię wsadzili.

- Poczekaj, brachu, tylko poczekaj. Jeszcze będę się znowu uśmiechał do tych sukinsynów z pierwszych stron gazet i nic na to nie będą mogli poradzić.

Chavasse leżał na swoim łóżku w celi, rozmyślając o całej tej sprawie. Cóż to takiego Tillotson napisał o Youngbloodzie w swojej książce? Że miał żądzę rozgłosu, równającą się nieomalże pragnieniu śmierci. W sytuacjach podniecających i niebezpiecznych czuł się jak ryba w wodzie. Bardzo mu się podobało odgrywanie roli gangstera, ciągłe zatrzymywanie i przesłuchiwanie przez policję, oglądanie swego zdjęcia w gazetach.

Jedno było pewne. To nie był żaden Robin Hood - lecz brutalny i pomysłowy przestępca, którego beztroski uśmiech maskował żelazną wolę i chorobliwą chęć posiadania wszystkiego czego zapragnął, bez względu na koszty. Chavasse zaczął rozwiązywać swoje buty.

- Chyba uderzę w kimono. To był długi dzień. Youngblood zerknął znad swego magazynu.

- Masz rację, brachu. - Uśmiechnął się. - I nie daj się zastraszyć tym sukinsynom.

Chavasse naciągnął koc na ramiona i zamknął oczy. Zastanawiał się, jak to będzie w warsztacie. Atkinson wspomniał o tablicach rejestracyjnych. No, to było stokroć lepsze, niż zarabianie na życie szyciem worków pocztowych. Gdyby tylko klawisze byli przyzwoici, życie tutaj mogłoby być całkiem znośne.

Zastanowił się nagle. Co za ironia losu. Zaczynał już nawet myśleć jak skazany. Mallory'emu spodobałoby się to z pewnością. Odwrócił się twarzą do ściany i zasnął.

4. Brutalna sprawiedliwość

- Resocjalizacja! - Youngblood przekrzykiwał hałas warsztatu. - Dobre, co? Tylko pomyśl o tych wszystkich cwanych sukinsynach, którzy siedzą w swoich prywatnych gabinetach w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, wmawiając sobie, że tylko dzięki nim, bo dali ci możliwość nauki zawodu, wyjdiesz ponownie na świat mądrzejszy i lepszy i będziesz prowadzić życie uczciwego ciułacza, robiącego tablice rejestracyjne za dychę tygodniowo.

Chavasse ostrożnie włożył trzymaną w rękę tablicę w maszynę do wytłaczania i pociągnął za dźwignię. Nastąpił lekki syk prasy hydraulicznej. Podniósł dzieło swoich rąk, aby przyrzeć się numerowi, trwale wytłoczonemu już teraz w stali przez prasę, po czym wziął do ręki pilnik i zaczął czyścić nierówne krawędzie metalu, myśląc o tym, co właśnie powiedział Youngblood.

Miał, niestety, rację i to właśnie było najgorsze. Po czterech tygodniach pracy w warsztacie Chavasse był już o tym całkowicie przekonany. Spojrzał na Charlie'ego Harkera, byłego biegłego księgowego, odsiadującego siedem lat za defraudację, i pracującego z nim przy maszynie Rodgersa, drobnego dyrektora szkoły o łagodnym obejściu, który dostał dożywocie za zamordowanie swojej żony po tym, jak zastał ją w łóżku z innym mężczyzną. Niby jak, u licha, miało się resocjalizować takich ludzi? Przyuczając ich do wykonywania jednej z najmniej płatnych półwykwalifikowanych prac w przemyśle?

Takie myśli były niebezpieczne, ale trudno ich tu uniknąć. Mimo wszystko stał się jednym z tych ludzi - traktowano go nawet z pewnym szacunkiem w tej społeczności, w której pozycję wyznaczał kaliber popełnionego przestępstwa. Jako Paul Drummond, odsiadujący sześć lat za napad z bronią w rękę i kradzież czterdziestu pięciu tysięcy funtów, Chavasse mógłby łatwo znaleźć się na najwyższym szczeblu tej drabiny, gdyby nie był on już zajęty przez Harry'ego Youngblooda.

Zbliżył się Rodgers, kładąc na warsztatowym stole kolejną partię czystych tablic.

- Wszystko dla ciebie, Drum - powiedział i odszedł.

Wyglądał na zmęczonego i miał spoconą twarz, tak że okulary ciągle zsuwały mu się z nosa. Patrząc na niego, Chavasse poczuł nagły przyływ współczucia. Ten człowiek nie nadawał się do tej roboty - czy klawisze tego nie dostrzegali, do cholery? Nie było tu jednak czasu na uwzględnianie indywidualnych potrzeb - życie zorganizowane było na zasadach cyklicznych zajęć wyznaczanych przez rozkład dnia, który za wszelką cenę musiał być przestrzegany.

Ale do diabła z tym. Nie był tu przecież po to, aby przeprowadzać badania dla Towarzystwa Reformowania Więziennictwa. Miał obserwować Harry'ego Youngblooda, aby wgryźć się, niczym robak, w duszę tego człowieka, zdobyć jego zaufanie i dowiedzieć się jak najwięcej o nim i jego zamiarach.

Co było dosyć zaskakujące - stali się dobrymi przyjaciółmi. Youngblood, jak większość wielkich przestępców, był niezwykle złożoną osobowością, człowiekiem

zepsutym do szpiku kości, niczym całkowicie skorodowany od wewnątrz i popękany dzwon, który wygląda wspaniale, dopóki się weń nie uderzy.

Nawet współwięźniowie mieli trudności ze zrozumieniem go. Posiadał, co było niesamowite, kapitalną zdolność przystosowywania się do środowiska, w którym się znalazł. We wszystkim, co robił, widoczna była brawura, połączona z przedziwnym pragnieniem śmierci, świadomym wystawianiem się na największe ryzyko, i to prawdopodobnie przyczyniło się do jego upadku bardziej niż cokolwiek innego. Opowiadano o nim, że pewnego razu, przeprowadzając rekonesans przed napadem na pewną rezydencję na Mayfair, przyszedł - nieproszony, rzecz jasna - na urządzone tam wieczorne przyjęcie, oczarowując wszystkich i wychodząc z portmonetką, wyjętą z torebki pani domu. Napotkanemu na chodniku przed tą rezydencją wykolejeńcowi, który opowiedział mu łzawą historyjkę o swoich nieszczęściach, dał w prezencie całą zawartość skradzionej portmonetki, czyli dwadzieścia pięć funtów, i w doskonałym nastroju poszedł swoją drogą.

Uprzejmy i delikatny, potrafił być hojny aż do przesady, zwłaszcza wtedy, jak zdążył już odkryć Chavasse, gdy nie groziło mu z tego tytułu zaistnienie jakiejś osobistej niedogodności. W gniewie bywał jednak twardy, brutalny i całkowicie bezwzględny, a w ostatecznym rachunku zainteresowany jedynie własną wygodą i interesem.

Taki oto człowiek uśmiechał się właśnie szeroko do Chavasse'a.

- Głowa do góry, Drum. Nie ma się co przejmować.

Chavasse odwzajemnił uśmiech, ledwo zdążywszy powstrzymać zmarszczenie brwi, towarzyszące jego rozmyśleniom. Wprawdzie Youngblood był zazwyczaj w dobrym humorze, ale przez ostatnie dwa dni aż promieniał pogodą ducha, a to musiało coś oznaczać.

Te rozmyślenia przerwało mu przybycie więźnia o nazwisku Brady, pchającego wózek załadowany gotowymi tablicami.

- Masz coś dla mnie? - zapytał.

Chavasse ostentacyjnie pokazał mu głową stos tablic na końcu jego stołu. Nie obchodził go Brady, którego twarz odpowiadała wyobrażeniu przeciętnego obywatela o złodziejskim plebsie, a jego głos był zachrypnięty od wieloletniej choroby - i nadużywania trunków. Odsiadywał dziesięć lat za włamanie, połączone ze zgwałceniem sześćdziesięcioletniej kobiety.

- Może dasz jakiegoś peta, Harry? - poprosił, załadowując tablice na wózek.

- Zalegasz mi już za trzy tygodnie - odparł Youngblood. - Nie dostaniesz więcej, dopóki nie zapłacisz jakiejś zaliczki.

- Harry, miej trochę serca! - Brady złapał go kurczowo za ramię. - Od dwóch dni nie miałem fajki. Zaczynam wariować.

- Już to dawno zrobiłeś - powiedział zimno Youngblood. - Nie rób teraz sam z siebie balona. Dawno temu powinni cię wziąć na leczenie. A teraz spadaj, nudzisz mnie.

Takiemu, jak Brady, nie trzeba było wiele. Chavasse przeszedł właśnie do końca stołu, by wziąć parę nitów i odwracając się dostrzegł kątem oka jego twarz,

wykrzywioną niepohamowaną wściekłością. Brady pochwyił długi pilnik o wąskim końcu, ostry jak sztylet i zamachnął się nim nad głową, gotowy ugodzić w nie osłonięte plecy Youngblooda.

Nie było czasu na żadne ostrzeżenia - Chavasse porwał młotek i cisnął nim z całej siły. Brady dostał prosto w klatkę piersiową, krzyknął z bólu i zataczając się do tyłu, upuścił pilnik.

Youngblood odwrócił się błyskawicznie, zauważył pilnik, młotek i wyraz twarzy Brady'ego, a gdy spojrział na Chavasse'a, jego oczy były zimne jak stal. Podniósł pilnik i wyciągnął do niego rękę.

- To twoje, Jack?

Brady stał, gapiąc się na niego, aż pot wystąpił mu na twarz. Nagle złapał wózek i odszedł, pchając go w pośpiechu.

Praca nie osłabła, hałas utrzymywał się nadal na tym samym poziomie, a jednak w tej części hali nie było ani jednego człowieka, którego uwagi uszedłby ten incydent. Chavasse dostrzegł dwie rzeczy: lekkie kiwnięcie głową Youngblooda do Nevinsona, wysokiego, potężnie zbudowanego Szkota po drugiej stronie hali, oraz nadejście Meadowsa, jednego z klawiszy.

- Co się tu dzieje? - zapytał strażnik.

- Nic, panie Meadows - odparł Youngblood. - Wszyscy pracujemy tu jak pszczołki.

Meadows był młody i niedawno wyszedł z wojska, a ciemny meszek nad górną wargą świadczył wyraźnie, że rozpaczliwie usiłował wyglądać na więcej lat, niż miał w rzeczywistości. Odwrócił się do Chavasse'a, który stał przy końcu warsztatowego stołu z rękami na biodrach. Meadows nigdy nie awansował powyżej stopnia kaprala i uwielbiał eks-kapitanów, którym powinięła się noga.

- A tobie, Drummond, wydaje się, że co masz robić, u diabła, co? - spytał. - Wiem, że nie podoba ci się wcale myśl, żeby pobrudzić sobie trochę te twoje bielutkie rączki, ale robota tutaj ma właśnie nauczyć cię pracy fizycznej.

Youngblood przysunął się bardzo blisko do strażnika i powiedział miękko:

- On pracuje, panie Meadows. Pracuje bardzo ciężko. A teraz, niech pan sobie pójdzie na drugi koniec hali jak grzeczny chłopiec, dobrze?

Meadows posłuchał - a jedynie to się w końcu liczyło. Jego wahanie było tylko chwilowe, twarz miał całkowicie białą i najwyraźniej po prostu bał się.

Nagle, z drugiego końca hali, doszedł do ich uszu krzyk przeraźliwego bólu. Meadows odwrócił się, zadowolony z pretekstu umożliwiającego mu odejście i oddalił się szybko. Wszyscy przerwali pracę, a hałas zamierał stopniowo, w miarę jak po kolei wyłączano maszyny.

Nagle pojawił się idący pod ścianą Nevinson, który równocześnie wycierał rękę w jakąś przetłuszczoną szmatę.

- Co się stało, Szkocie?! - zawołał Youngblood.

- Jack Brady miał właśnie paskudny wypadek - odparł spokojnie Nevinson. - Wylał sobie na nogi wiadro wrzącej wody w kuźni.

Youngblood spojrział na Chavasse'a kiwając głową.

- No cóż, to była duża nieostrożność z jego strony, co?

Chavasse nic nie odpowiedział, tylko podszedł wraz z innymi do miejsca wypadku. Brady cierpiał katusze jęcząc głośno przez cały czas, dopóki nie przybyli sanitariusze, żeby udzielić mu pierwszej pomocy i dopóki nie dostał zastrzyku. Leżał, wijąc się z bólu, a gdy brali go na nosze, jego brzydka twarz była cała złana potem. Kiedy go podnosili, jęknął jeszcze raz, po czym stracił przytomność. Trudno jednak było czuć dla niego litość - naruszył kodeks honorowy społeczności, w której żył i wymierzono mu sprawiedliwość wedle obowiązujących tu, swoistych reguł.

Zbiegło się więcej klawiszy, w tym również Atkinson, który walił pałką w stół.

- Wracajcie wszyscy do pracy! - odwrócił się do Meadowsa. - Za godzinę chcę mieć pański raport na biurku, panie Meadows. Przyślę tu kogoś, żeby pana zastąpił. - Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze. - Po drodze może pan wziąć ze sobą Drummonda - czeka na niego siostra.

Ostatni czwartek miesiąca był regulaminowym dniem odwiedzin, toteż kiedy dyżurny funkcjonariusz wprowadził Chavasse'a do głównego hallu, było tam już dość tłoczno. Wzdłuż ścian rozciągał się rząd kabin, a w każdej z nich siedzieli, naprzeciwko siebie, więźni i odwiedzający, rozmawiając przez mikrofony, oddzieleni szybą ze zbrojonego szkła.

Wprowadzono Chavasse'a do jednej z kabin, gdzie czekał niecierpliwie, słysząc po obu stronach niezrozumiałą mieszaninę głosów, aż w końcu drzwi naprzeciwko otworzyły się i weszła Jean Frazer. Miała na sobie białą bluzkę i gustowny dwuczęściowy kostium tweedowy z plisowaną spódnicą. Dziwne, ale nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, jak atrakcyjną była naprawdę kobietą.

Przygotowany starannie okolicznościowy uśmiech zbladł na jej twarzy, kiedy opadła na krzesło ustawione dokładnie naprzeciw niego.

- Paul, co oni ci zrobili?

Z powodu wzmacniacza jej głos był trochę zniekształcony Uśmiechnął się.

- Czy wyglądam aż tak źle?

- Nie uwierzyłabym, że to możliwe, gdybym nie widziała Narastająca wściekłość zmieniła mu głos, który stał się ostrzejszy niż zwykle. Wybuchnął.

- Na miłość boską, Jean, a ty myślisz, że jak tutaj jest? Nie jestem Paulem Chavasse, który w dzień gra swoją rolę, a na noc idzie do domu. Jestem Paulem Drummondem, odsiadującym sześć lat za napad z bronią w ręku. Przebywam tu już od czterech miesięcy. Myślę jak skazany, postępuję jak skazany, a co najważniejsze, jestem traktowany jak skazany - powiedz Grahamowi Mallory'emu, żeby wepchnął sobie to wszystko w tę swoją cholerną fajkę.

W jej oczach widać było prawdziwe cierpienie - zapominając o szybie, wyciągnęła rękę, by go dotknąć.

- Czuję się tak strasznie nie na miejscu. Uśmiechnął się nieco odprężony.

- To szkło między nami to dobra rzecz. Wyglądasz dość apetycznie, żeby cię zjeść, nie mówiąc o czymś innym. Zdobyła się wreszcie na uśmiech.

- Naprawdę?

- Tylko nie rób mi żadnych pochopnych obietnic. Mogły by cię tylko wpędzić w kłopoty. Mimo wszystko przewiduję, że kiedyś stąd jednak wyjdziesz. A przy okazji, jak tam się miewa Mallory?

- Jest czarujący, jak zwykle. Kazał ci powiedzieć, żebyś zaczął działać. Najwidoczniej pragnie cię skierować gdzie indziej i sądzi, że cała ta sprawa ciągnie się już wystarczająco długo.

- Odpowiedź, którą chciałem mu przesłać, absolutnie nie nadaje się do powtórzenia - stwierdził Chavasse. - Zresztą to nieważne. Lepiej przejdźmy do sedna sprawy, bo mamy tylko dziesięć minut.

- Jak ci się układa z Youngbloodem?

- Świetnie - właśnie dziś rano udało mi się powstrzymać kogoś przed wbiciem w niego pewnego ostrego narzędzia.

- Myślałam, że wsadza się ludzi do więzienia po to, żeby zapobiec takim historiom?

- To tylko teoria - wymyślona przez ludzi, którzy, jak zwykle, nie wiedzą, o czym mówią.

- Dowiedziałeś się czegoś o Baronie?

Pokręcił głową.

- Słyszałem, jak inni więźniowie wspominali o nim, ale on jest dla nich taką samą niewiadomą, jak dla mnie. Próbowałem porozmawiać o nim z Youngbloodem, powiedziałem mu, że słyszałem, iż to Baron wy dostał Saxtona i Hoffę. Sprawiał wrażenie, że uważa to za bajeczki dla grzecznych dzieci.

- Więc naprawdę tylko tracisz czas?

- Ależ skąd. Youngblood jest już w drodze do wyjścia stąd. Nigdy w życiu nie byłem jeszcze niczego tak pewien. Nie powiedział tego wprost, ale całe jego zachowanie, sposób bycia, uwagi, które robi, potwierdzają moje przypuszczenia.

- Nie domyślasz się, jak i kiedy?

Potrząsnął przecząco głową.

- Żadnych wskazówek. Tylko to, że właśnie teraz wydaje się nieco podekscytowany. Myślę, że coś wisi w powietrzu.

- To nie trzyma się kupy, Paul. Czytałam wszystkie dane o tym więzieniu. Nawet jemu nie uda się stąd wydostać - nikomu nie może się to udać.

- On się właśnie przygotowuje do ucieczki, nic bardziej pewnego, a ja chciałbym być przy tym, kiedy wyruszy.

- Zatrzymasz go oczywiście.

- Nigdy w życiu, złotko - Chavasse uśmiechnął się szeroko. - On o tym jeszcze nie wie, ale idę z nim razem.

W jej oczach pojawiło się natychmiast przerażenie, ale właśnie gdy otwierała usta, by mu odpowiedzieć, podszedł funkcjonariusz.

- Czas się skończył, panienko.

Podniosła się.

- Do widzenia, Paul. Uważaj na siebie.

- Ty też - odparł i odwróciwszy się, podążył za dyżurnym funkcjonariuszem.

Posiłki we Fridaythorpe wydawano w małej stołówce na drugim piętrze każdego bloku. Gdy Chavasse przyszedł, lunch już się rozpoczął.

Dyżurny strażnik skinął na niego, by podszedł do lady i szybko napełnił tacę. Siedzący przy pierwszym stole od ściany Youngblood pokiwał na niego ręką, wskazując wolne miejsce obok siebie.

- Siostrzyczka, co? - skomentował, gdy Chavasse siadał. - Ukrywałeś to przede mną.

- Nie byłem pewny, czy będzie chciała mnie jeszcze znać. I tak będzie mnie to jeszcze kosztowało sporo wysiłku.

- Dotarło do mnie, że jest całkiem niezła.

Chavasse już dawno przestał się dziwić najwyraźniej niewyczerpanym źródłom informacji Youngblooda.

- Czy jest cokolwiek, co do ciebie nie dociera?

- Jeśli jest, to znaczy, że nie warto o tym wiedzieć.

Przeszedł Atkinson, robiąc jedną ze swoich powtarzających się od czasu do czasu inspekcji. Po kilku minutach dzwonek obwieścił koniec posiłku. Stali w kolejce, by oddać talerze, a potem przeszli do windy, żeby w kilkuosobowych grupach powrócić do cel na czas odpoczynku przed popołudniową pracą w warsztatach.

W czasie oczekiwania na windę palenie było dozwolone i Youngblood wyjął papierosa, a włożywszy go do ust, zaczął bezskutecznie szukać zapalek. Atkinson zatrzymał się przy nim, wyciągnął z kieszeni pudełko i podał mu je.

- Możesz je zatrzymać, Youngblood, ale nie szastaj nimi. - Odchodząc, pokręcił głową. - Nie wiem, co niektórzy z was, chłopcy, zrobiliby beze mnie.

Gdzeniegdzie dał się słyszeć służalczy śmiech, zwłaszcza ze strony tych, którzy chcieli podtrzymać u niego swoją dobrą opinię. Po chwili winda nadjechała i gdy do niej wsiadali, Youngblood odrzucił papierosa, wsadzając zapaliki do kieszeni.

Chavasse poczuł nagłe podniecenie. Cały ten incydent był zupełnie nienaturalny. Atkinson i Youngblood nigdy nie kochali się zbyt, obaj dawali to zresztą jasno do zrozumienia, a jednak dowódca straży więziennej tym razem zachował się zupełnie inaczej, wyświadczając Youngbloodowi wyraźną uprzejmość. To się po prostu nie trzymało kupy.

W czasie odpoczynku drzwi cel były otwarte i część więźniów odwiedzała się wzajemnie, każdemu jednak było wolno zamknąć się, jeżeli nie czuł się usposobiony towarzysko.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zamknął drzwi? - zapytał Youngblood, gdy dotarli do swojej celi. - Nie jestem dziś w nastroju do bratania się.

- Nie ma sprawy - Chavasse wyciągnął się na łóżku. - Co ci jest? Nie czujesz się dobrze?

- Jestem niespokojny - odparł Youngblood. - Powiedz mi, iż czuję się tak, że chciałbym rozwalić te mury i nie mówmy o tym więcej.

Otworzywszy ilustrowany magazyn Chavasse czekał. Po chwili Youngblood wstał i podszedł do umywalki, stojąc do niego tyłem zapalił papierosa, po czym odłożył pudełko zapalek na bok.

Chavasse wyjął papierosa z kieszeni koszuli, wstał i podszedł do niego szybko, sięgając po zapalniczki. Youngblood wpatrywał się w swoją otwartą dłoń. Zamknął ją szybko, ale nie na tyle, by Chavasse nie dostrzegł w niej małej brązowej kapsułki.

- Mogę skorzystać z zapalniczki, Harry?

- Bierz.

Zapaliwszy papierosa Chavasse wrócił na łóżko. A więc to Atkinson był łącznikiem? Musieli mu pewnie zapłacić niezłą fortunę, ale stawka była wysoka. Położył się i słyszał tylko, jak stojący za nim Youngblood napełnia wodą plastikowy kubek i powoli pije.

Gdy siadał na skraju łóżka, jego twarz miała dziwnie nieruchomy wyraz.

- Jesteś pewien, że nic ci nie jest, Harry? - zapytał Chavasse. - Nie wyglądasz mi najlepiej. Może powinieneś wziąć zwolnienie?

- Czuję się świetnie - odparł Youngblood. - Po prostu świetnie. To pewnie wiosna i cały ten zgiełk. To już taka moja cygańska natura - zawsze o tej porze roku odczuwam jakiś niepokój.

- Kto by go nie czuł w takim burdelu - stwierdził Chavasse, ale Youngblood wydawał się już go nie słyszeć. Siedział, wpatrując się w ścianę dziwnym, dalekim wzrokiem.

Po południu w warsztacie było tego dnia goręcej niż zwykle, głównie z powodu awarii systemu wentylacyjnego, toteż większość mężczyzn rozebrała się do pasa.

Chavasse pracował przy końcu stołu, wycinając tablice za pomocą ręcznej gilotyny, a Youngblood na szybkobieżnym kole szlifował stalowe zaciski. Od jakiegoś czasu pocił się obficie, a jego oczy miały dziwnie oszołomiony wyraz.

- Dobrze się czujesz, Harry?! - zawołał Chavasse, ale Youngblood zdawał się go nie słyszeć.

Przestał na chwilę pracować, opierając się ciężko o stół i ocierając pot spływający mu na oczy, a gdy sięgał po następny zacisk ze sterty na stole, ręka mu wyraźnie drżała. Przez moment bezskutecznie szukał po omacku, aż zwałił cały stos na ziemię - jeden z zacisków w deszczu iskier odbił się od koła.

Po chwili Youngblood zaczął się trząść. Zatoczył się do tyłu i odbiwszy się plecami od stołu, poleciał głową naprzód na pracującą przed nim maszynę.

Chavasse doskoczył do niego w samą porę. Oczy Youngblooda zwęziły się, pot lał się z niego strumieniami, a kończyny drgały konwulsyjnie. Nie było wątpliwości, że ma autentyczny atak, czymkolwiek był on spowodowany - drugi udar mózgu, którego oczekiwał komendant i który załatwi mu szybką podróż karetką do Manningham General Hospital. A potem...?

Ze wszystkich stron warsztatu dały się słyszeć alarmujące okrzyki i pospieszny tupot nóg. Gdy ciałem Youngblooda wstrząsnął kolejny konwulsyjny skurcz, Chavasse zrobił jedyną możliwą w tej sytuacji rzecz - wciąż trzymając Harry'ego, poddając się jego ciężarowi, upadł tyłem na stół. Kiedy przeciągał

ramieniem wzdłuż szlifierki, jego ciało zostało rozcięte na długości około dwudziestu centymetrów i krew trysnęła wokoło szerokim strumieniem.

Zaczął osuwać się na ziemię, kurczowo chwytając się za ramię i puszczając Youngblooda, którego w ostatniej chwili złapał Nevinson. O dziwo, nie czuł bólu i całkiem świadomie przyciskał kciuk do tętnicy ramieniowej, aby zatamować tryskający strumień jasnej krwi.

Przez moment panowało niemałe zamieszanie, aż wreszcie nadszedł Atkinson, przepychając się przez tłum.

- Co się tu, do cholery, stało? - zażądał wyjaśnień od dyżurnego strażnika.

- Youngblood dostał kolejnego ataku. Poleciałby między maszyny, gdyby go nie złapał Drummond, który rozpruł sobie przy tym ramię na kole szlifierskim. Atkinson pokrótce zlustrował sytuację.

- Nie wygląda to najlepiej, co? - Zwrócił się do dyżurnego. - Chcę tu mieć zaraz dwie pary noszy z izby chorych i niech im pan każe zadzwonić do Manningham General. Niech powiedzą, że Youngblood miał kolejny udar i że jesteśmy w drodze.

- A co z Drummondem?

- On też, oczywiście. Nie myśli pan chyba, że tu na miejscu poradzimy sobie z taką raną, co? Będzie potrzebował tuzina szwów na tym ramieniu. No, ruszaj pan.

Ciekawe, że właśnie w tym momencie ramię Chavasse'a zaczęło boleć jak diabli.

5. Nocny dyżur

Kiedy otworzył oczy, zobaczył salę obwieszoną girlandami pajęczyn - ogromnych, szarych pajęczyn, które rozciągały się nad nim od jednej ściany do drugiej falując powoli. Zamknął oczy, usiłując pokonać narastającą panikę. Gdy otworzył je ponownie, pajęczyny prawie zniknęły.

Leżał na wąskim szpitalnym łóżku, czując, że jego lewe ramię jest dziwnie zdrętwiałe. Po chwili zauważył, że jest mocno zabandażowane i dopiero wtedy przypomniał sobie wszystko i zaczął rozglądać się dookoła.

Sala była mała - nie więcej niż sześć łóżek. Dwa z nich były zajęte - jedno przez Brady'ego, leżącego z klatką osłonową na poparzonych nogach; drugie przez Youngblooda. Obaj sprawiali wrażenie śpiących lub nieprzytomnych.

Przy małym stole obok drzwi siedzieli dwaj strażnicy więzienni i grali w karty. Gdy Chavasse poruszył się, spojrzeli na niego. Jeden z nich wstał i podszedł do łóżka.

- Jak się czujesz?

- Okropnie. - Chavasse próbował zwilżyć wyschnięte usta. - Co się stało?

- Dali ci środek znieczulający i pozszywali. - Odwrócił się do swego kompana.

- Lepiej wezwij doktora. Powiedział, żeby mu dać znać, gdy któryś z nich się ocknie.

Gdy drugi strażnik sięgał po telefon, Chavasse zamknął oczy. Usta miał suche jak pieprz, a w głowie dziwną pustkę, ale poza tym czuł się dobrze. Spojrzał na swoje ramię. Nie czuł na razie nic poza tym szczególnym zdrętwieniem, spowodowanym zastrzykami przeciwbólowymi. Zastanawiał się, jak paskudnie wygląda jego rana.

Wtedy w warsztacie miał jednak cholerne szczęście. Co by było, gdyby na przykład przeciął ścięgno? Pot zrosił mu czoło. Zamknął oczy, a gdy po chwili otworzył je ponownie, zobaczył, jak jeden z funkcjonariuszy odblokowuje drzwi.

Lekarz, który wszedł, był Afrykańczykiem - wysokim, pogodnym, stale uśmiechniętym Nigeryjczykiem. Na jednym z jego policzków widoczne były znamiona przynależności do jakiejś kasty plemiennej. Usiadł na brzegu łóżka i zmierzył Chavasse'owi puls.

- Jak się pan czuje?

- Trochę pustki w głowie, a w ustach bardzo sucho.

- To tylko skutki narkozy. Nie ma się czym przejmować. - Ze stojącego na szafce przy łóżku dzbanka nalał wody do szklanki. - Niech pan to wypije, poczuje się pan dużo lepiej. Chavasse wypełnił polecenie i położył się z powrotem.

- A co z moim ramieniem - czy to coś poważnego?

Nigeryjczyk pokręcił przecząco głową, uśmiechając się szeroko.

- Będzie pan mógł znowu grać na skrzypcach - czyż nie tak powiedziano by w telewizji? Trzymaście szwów - mam nadzieję, że nie jest pan przesądny, ale naprawdę nie mogłem znaleźć miejsca na jeszcze jeden.

- Od razu mnie odeślecie?

- Do Fridaythorpe? - Kiedy Nigeryjczyk odpowiadał, w jego oczach było coś, co przypominało współczucie. - Nie, myślę, że zatrzymamy pana jeszcze przez dzień lub dwa.

Chavasse bardzo starał się nie okazywać uczucia ulgi, ale w jego stanie okazało się to niemożliwe.

- A Youngblood? Czy jest bardzo chory?

Lekarz wzruszył ramionami.

- Drugi udar nigdy nie jest błahostką. Będziemy wiedzieć coś więcej jutro, kiedy otrzymamy wyniki badań. No, ale rozmawialiśmy już zbyt długo. Musi pan teraz znowu zasnąć.

Wyszedł, a dwaj klawisze, zamknawszy za nim drzwi na klucz, powrócili do swojej gry w karty. Chavasse obrócił głowę i spojrzał na Youngblooda, który spał spokojnie, a jego twarz wyglądała dziwnie niewinnie. Chavasse wziął głęboki oddech. A więc spektakl się rozpoczął? Zastanawiał się, jaki będzie następny akt i ciągle o tym myśląc, pogrążył się ponownie we śnie.

Kiedy się obudził, była już noc, deszcz bębnił o szyby, a sala była pełna cieni. Jeden ze strażników spał spokojnie na wolnym łóżku, drugi czytał przy stole jakiś magazyn. Spojrzał na Chavasse'a, gdy ten się poruszył.

- Dobrze się czujesz?

Zapytany skinął głową.

- Chyba się trochę przejdę.

Opuścił nogi na podłogę, siedział tak przez chwilę, potem wstał i podszedł do umywalki na drugim końcu sali. Kiedy wracał, uświadomił sobie, że czuje się dużo lepiej. Mogło być znacznie gorzej - pomyślał.

Gdy siadał z powrotem na łóżku, zdał sobie nagle sprawę, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, że oczy Youngblooda są szeroko otwarte. Lekko zmarszczywszy brwi wpatrywał się on właśnie w Chavasse'a, na co ten przysunął krzesło do łóżka i usiadł przy nim.

- Jak się czujesz, Harry?

- Gdzie ja jestem? - spytał Youngblood. - Co się dzieje?

- Jesteś w izolatce w Manningham General. Miałeś kolejny udar mózgu.

- A co ty tu robisz?

- Kiedy ci się to przytrafiło we Fridaythorpe, poleciałeś głową naprzód na maszyny. Zdażyłem złapać cię jeszcze w samą porę, ale przy tym zraniłem sobie ramię na kole szlifierskim.

- Czy to coś poważnego?

- Trzynaście szwów - mogło być gorzej. Zatrzymają mnie tu przez parę dni.

W czasie ich rozmowy strażnik porozumiał się z kimś przez telefon, po czym podszedł do nich.

- Wezwałem doktora. Jak się czujesz?

- Jestem głodny jak wilk - odparł Youngblood. - Są szansę na jakiś posiłek?

- Zobaczymy, co powie lekarz.

Chwilę później ktoś zapukał do drzwi i funkcjonariusz więzienny otworzył je, wpuszczając Nigeryjczyka. Ten podszedł do łóżka Youngblooda, usiadł i dokonał krótkich oględzin.

- Dobrze, bardzo dobrze. Będzie się panu lepiej spało.

- Tak naprawdę, to on potrzebuje czegoś do jedzenia - odezwał się Chavasse. - Ja zresztą też. Obaj umieramy z głodu.

Nigeryjczyk uśmiechnął się.

- Zobaczę, co się da zrobić, ale niech pan wraca do łóżka.

Odwrócił się do strażnika.

- Powiem w kuchni, żeby coś tu przysłali na górę, panie Carter. Ja kończę już swój dyżur. Przejmie go mój kolega. Gdyby było wam czegoś potrzeba, proszę dzwonić do siostry dyżurnej, ale tak czy owak doktor Mackenzie później sam do was zajrzy.

Carter zamknął za nim drzwi i z powrotem podszedł do łóżka. Był to człowiek w średnim wieku, dość łagodnego usposobienia, dzięki czemu przez większość kolegów uważany był za zbyt miękkiego.

- Mogę wam w czymś pomóc?

- Nigdy nie znosiłem tych przeklętych basenów. Chyba dam radę dojść do łazienki, jeśli razem z Drummondem mnie podtrzymacie? - powiedział Youngblood.

Wzięli go między siebie. Chavasse z lewej strony, tak aby mógł posługiwać się zdrowym ramieniem. Szedł bardzo powoli jak starzec i musieli utrzymywać prawie cały jego ciężar. Chavasse był z początku pewien, że to blef, ale pot, który wystąpił w powrotnej drodze na czoło Youngblooda, był autentyczny, a gdy dotarli do łóżka, Harry wyglądał na rzeczywiście wyczerpanego. Mogły to być jednak tylko uboczne skutki zażycia podanego mu środka...

Ktoś zapukał do drzwi, a gdy Carter otworzył, wszedł pielęgniarz, pchając przed sobą wózek. Podał im jajecznicę, grzanki i herbatę, po czym wyszedł.

Chavasse jadł niespiesznie, bacznie przez cały czas przyglądając się Youngbloodowi, który jadł również powoli i okazywał niewielką chęć do rozmowy. Był najwyraźniej jeszcze osłabiony, a jednak można było wyczuć u niego pewne napięcie, ponieważ bez przerwy zerkał na elektryczny zegar wiszący na ścianie.

Kiedy obaj skończyli, Carter zabrał tace z naczyniami i odstawił je na wózek, pozostawiony przy drzwiach przez pielęgniarza.

- Może byśmy tak mogli zakurzyć, panie Carter? - zaproponował Youngblood.

Carter spojrzał niezdecydowanie.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- Tylko jednego - to nas chyba nie zabije.

- Raczej nie.

Dał im po jednym papierosie, podał ogień, po czym wrócił do swojego pisma. Była za pięć dziewiąta i Chavasse'owi wydawało się, że napięcie panujące wokół nich stale wzrasta, że atmosfera w izolatce jest naelektryzowana. Czuł to prawie fizycznie. Youngblood oparł się na poduszce i wpatrując się w sufit, luźno trzymał

papierosa między palcami lewej ręki, która lekko drżała za każdym razem, gdy podnosił ją do ust, zdradzając jego wewnętrzne napięcie.

Gdy długa wskazówka zegara przesunęła się w kierunku godziny dziewiętej, zgniótł papierosa w popielniczkę i spojrzał na Chavasse'a.

- Póki jeszcze nam okazję, chciałbym ci podziękować za to, co zrobiłeś tam w warsztacie. Najpierw za Brady'ego, a potem za tę drugą sprawę.

- Nie ma za co.

- Szkoda, że nie mogę nic dla ciebie zrobić - nie lubię być niczym dłużnikiem - ale już teraz naprawdę nic nie mogę. Cokolwiek się stanie, chcę, żebyś to dobrze zrozumiał.

- O czym ty, u diabła, gadasz?

Zanim Youngblood zdążył odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi. Carter otworzył je, zostawiając założony łańcuch, i Chavasse usłyszał miły głos, który - sądząc z akcentu - z pewnością należał do osoby wykształconej.

- Doktor Mackenzie - przedstawił się. - Właśnie robię obchód.

Mężczyzna, który wszedł do sali, ubrany był w typowy biały fartuch lekarski, a z kieszeni wystawały mu słuchawki, niczym oznaka wykonywanego zawodu. Miał bladą, arystokratyczną twarz, na której stale gościł uśmiech.

Zwykłemu śmiertelnikowi mógłby się wydawać trochę zniewieściałym młodym człowiekiem z wyższych sfer. Chavasse jednak potrafił od razu rozpoznać w nim prawdziwego zawodowca, gdy tylko go zobaczył.

- No, jak tam? - zapytał wesoło, a jednocześnie, gdy tylko Carter odwrócił się, by zamknąć drzwi, wyjętą z kieszeni trzydziestką ósemką wymierzył mu ogłuszający cios w głowę.

Carter jęknął i ciężko upadł na podłogę. Drugi strażnik, który do tej pory spał na jednym z wolnych łóżek, rzucił się naprzód, lądując na plecach Mackenziego, zanim ten zdążył się odwrócić. Zaatakowany zachwiał się, a z ręki wypadł mu pistolet i potoczył się po wypolerowanej posadzce.

Przewrócili się razem - Mackenzie wylądował pod spodem. W tym momencie do akcji wkroczył błyskawicznie Youngblood. Złapał funkcjonariusza za kołnierz i potężnym chwytem odciągnął go w tył, odwracając go i pakując mu pięść w żołądek. Strażnik zgiał się wpół, a kolano Youngblooda odrzuciło go do tyłu na ścianę. Gdy nieprzytomny osunął się na ziemię, Mackenzie doskoczył do niego i z mistrzowską precyzją kopnął go w głowę.

- O mało nie zepsuł nam wszystkiego, co, stary? - zwrócił się do Youngblooda, gdy ciężko dysząc stali nad dwoma strażnikami.

- Nadzwyczajny powrót do zdrowia, Harry - odezwał się Chavasse. - Muszę powiedzieć, że tam u nas w warsztacie, dałeś całkiem niezłe przedstawienie.

Stał o trzy czy cztery metry od nich, trzymając jedną rękę za plecami. Youngblood odwrócił się do niego.

- Wyglądało to dość przekonująco dzięki nowemu środkowi, który nazywa się mabofina. Wywołując wszystkie typowe symptomy, nie daje żadnych ubocznych następstw.

- To musiało być niezłe zaplanowane.

- Czarująca pogawędka - przerwał im Mackenzie - ale jestem pewien, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebyśmy ją odłożyli na później i wynieśli się stąd do diabła.

- To mi najzupełniej odpowiada - stwierdził Chavasse. Mackenzie uśmiechnął się cierpliwie.

- Obawiam się, że akurat tym razem będziesz musiał odsiedzieć swoje, stary. Jesteśmy przygotowani tylko na jednego.

- To prawda, Drum - odezwał się Youngblood. - W tej podróży biorą udział tylko pasażerowie, którzy opłacili bilet.

Chavasse wyciągnął zza pleców rękę, w której tkwił pistolet Mackenziego.

- Ta zabawka mówi co innego - powiada, że idziemy wszyscy albo nikt.

Stały, zwykły uśmiezek zniknął na chwilę z twarzy Mackenziego. Wsunął do przodu jedną nogę.

- Nie radziłbym - powiedział poważnie Youngblood. - On nie żartuje.

Mackenzie wzruszył ramionami.

- Baronowi nie będzie się to podobało.

- Do diabła z Baronem. Może to doliczyć do rachunku, no nie? A teraz do rzeczy, jak się stąd wydostaniemy?

- Proszę bardzo. - Mackenzie otworzył drzwi, wciągając do środka, stojący dotąd na zewnątrz, wózek inwalidzki. - Odrobina szpitalnej inscenizacji, na wypadek, gdybyśmy kogoś spotkali. Przy końcu korytarza jest służbowa winda - zjedziemy nią na parter i wydostaniemy się przez wyjście dla personelu. O tej porze nikt się tu nie kręci. Czekają na nas transport i ubranie... dla jednego. - Zwrócił się do Chavasse'a. - Nie wiem, jak daleko masz zamiar dojść w szpitalnej pidżamie i szlafroku.

- Z tym nie ma problemu - Chavasse wskazał ręką w kierunku leżącego na podłodze Cartera. - On jest mniej więcej mojego wzrostu. Zdejmijcie z niego spodnie, koszulę i ten pulower, który ma pod mundurem.

Nie protestowali i po kilku chwilach Youngblood cisnął ubranie w stronę Chavasse'a, a ten cofnął się i położywszy pistolet w zasięgu ręki, ubrał się szybko.

- To nie dlatego, żebym ci nie ufał, Harry - wyjaśnił. - Ale po prostu wiem, że poderżnąłbyś mi gardło, gdyby istniało choćby najmniejsze ryzyko, że mógłbym zaprzepaścić twoją szansę.

Youngblood zachichotał i pokiwał głową ze szczerym podziwem.

- Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej, Drum. Moglibyśmy razem nabrać każdego i załatwić wszystkich.

Usiadł na wózku, przykrywając nogi kocem, a Mackenzie zdjął fartuch i rzucił go Chavasse'owi.

- Załóż to i pchaj wózek - ja będę wywijał słuchawkami.

- Nie zwiążemy tych dwóch?

- Nie ma czasu. Prawdziwy Mackenzie może zjawić się tu w każdej chwili. No, ruszajmy. Mamy bardzo napięty rozkład jazdy.

Na korytarzu było spokojnie. Winda pojawiła się natychmiast po naciśnięciu guzika. Kiedy drzwi otworzyły się na dole, Mackenzie wyszedł z nich bez wahania, a za nim Chavasse, pchając wózek.

Nie licząc dwóch karetek, stojących przy podjeździe szpitalnym, było zupełnie pusto, toteż bez kłopotów przeszli przez drzwi służbowe i pograżyli się w ciemnościach nocy.

W świetle lampy, umieszczonej nad dachem podjazdu do szpitala, skrzyła się delikatna mgiełka deszczu. Pod schodami zaparkowana była stara furgonetka marki Commer. Mackenzie wyjrzał ostrożnie - dwie pielęgniarzki szły w kierunku głównej bramy, deszcz uderzał o ich czepki, ale poza tym podjazd był całkiem opustoszały.

Mackenzie zszedł po schodach, otworzył tylne drzwi furgonetki, odwrócił się i skinął głową. Chavasse i Youngblood poszli za nim. Trzask zamykanych drzwi złał się z odgłosem uruchamianego silnika i furgonetka szybko ruszyła.

Po chwili zapaliła się wewnętrzna lampka i Youngblood zauważył w kącie stos rzeczy. Było tam wszystko, czego potrzebował, od butów do płaszcza nieprzemakalnego, dokładnie dobrane na jego miarę.

Furgonetka nie jechała zbyt szybko, więc nie miał kłopotu z przebraniem się. Gdy tylko skończył, zatrzymali się. Silnik został wyłączony. Mackenzie wyskoczył i otworzył tylne drzwi samochodu.

- Wyłaźcie.

Znajdowali się na dużym, otoczonym budynkami parkingu w centrum miasta.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Youngblood. - W Manningham?

- Nieważne. Zmieniamy tylko pojazd. - Mackenzie podał Chavasse'owi elegancki trencz burberry i jedwabny szalik. - Bardzo żałuję, że się tego pozbywam, ale lepiej to weź. Czy myślisz, że mógłbym teraz dostać z powrotem mój pistolet?

- Uczciwa wymiana. - Chavasse wręczył mu broń i założył płaszczyk.

Mackenzie sprawdził magazynek, następnie zamknął go ponownie ze złowieszczym traskiem.

- Strasznie mnie ręka świerzbi, stary, mówię ci.

- Wierzę - odparł Chavasse. - Jednak, z drugiej strony, moje ciało, leżące tu gdzieś w rynsztoku, mogłoby cholernie pokrzyżować twoje plany. Wtedy dopiero miałbyś na karku sforę gliniarzy z całego kraju, węszących wszędzie w poszukiwaniu sprawcy.

- Muszę przyznać, że nie wiadomo dlaczego spodziewałem się, że właśnie to powiesz - stwierdził Mackenzie. - Może innym razem tobą się zajmę. Idziemy?

Samochód - vauxhall - czekał w cieniu, w odległej części parkingu. Mackenzie ruszył od razu pełnym gazem, kierując się na drogę, która w ciągu dziesięciu minut wyprowadziła ich z Manningham. Prowadząc samochód włączył radio, a gdy popłynęła z niego muzyka, rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu, patrząc na szosę.

- Teraz możemy przejść już do interesu, panie Youngblood.

- Zastanawiałem się, kiedy pan sobie o tym przypomni. Mackenzie zaśmiał się lekko.

- Wie pan co? Dokładnie tak samo powiedział Ben Hoffa.

Youngblood spojrział na niego.

- Zajmował się pan wydostaniem Bena?

- No jasne. Baron zawsze powierza mi większe sprawy.

- Gdzie on teraz jest?

- Hoffa? - Mackenzie zachichotał. - Daleko, daleko stąd, panie Youngblood.

Nie dostaną go z powrotem, mogę pana o tym zapewnić. To wszystko mieści się w ramach naszych gwarantowanych usług. Ale załatwmy najpierw sprawę pozbycia się brudnych pieniędzy. Zna pan nasze warunki, zostały panu dokładnie wyjaśnione. Dotrzyliśmy naszej części umowy - wyciągnęliśmy pana. Powie nam pan teraz, gdzie jest gotówka, i na tym kończy się Pierwsza Faza operacji.

- Nie ma w ogóle gotówki - spokojnie stwierdził Youngblood.

Samochód gwałtownie skręcił i Mackenzie z trudem odzyskał nad nim kontrolę.

- Oczywiście żartuje pan.

- Wcale nie. Zrobiłem interes z pewnymi holenderskimi właścicielami kantorów w Amsterdamie i wymieniłem mój udział na diamenty wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów.

- To nieźle, wcale nieźle. W ciągu pięciu lat ceny diamentów poważnie wzrosły. Gdzie one są?

- W depozycie na nazwisko Alfreda Bonnera, w banku przy Jermyn Street w Londynie. To jedno z tych miejsc, gdzie dyrektor ma jeden klucz, a klient drugi. Potrzeba obu, żeby otworzyć sejf.

- A kto ma twój klucz?

- Moja siostra. Mieszka przy Wheeler Court 15, w Benthall Green. Przekaze go bez kłopotu. Wprowadziłem ją w arkana naszej transakcji, kiedy ostatnio mnie odwiedziła, trzy miesiące temu.

- Brzmi to zupełnie prosto i jasno - stwierdził Mackenzie. - Przekażę te informacje w odpowiednie miejsce.

- A co będzie z nami?

- Dobrze się wami zaopiekujemy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i Baron dostanie diamenty, zacznę Drugą Fazę. Powinienem przy okazji zaznaczyć, że obecny tu pan Drummond będzie musiał bez wątpienia zapłacić osobno.

- A kiedy spotkamy się z Baronem? - spytał Chavasse.

- Nie wcześniej, niż on sam uzna to za stosowne. W naszym systemie będziecie przekazywani kolejno przez łączników z rąk do rąk. Uważamy, że tak jest o wiele bezpieczniej dla wszystkich zainteresowanych.

- A na końcu czeka Baron z moją forszą, mam nadzieję? - spytał Youngblood.

- I z nową tożsamością, nowym życiem i paszportem ważnym na wszystkie kraje świata. Myślę, że to całkiem niezły interes, stary.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo, w spokojną boczną drogę i po przejechaniu jeszcze pół kilometra, zatrzymał się. Nie padało już i zza ciężkiej

chmury wyrzał jasny księżyc w pełni, toteż całkiem wyraźnie widzieli żelazną bramę, a za nią zrujnowaną farmę.

- Wysiadać! - powiedział Mackenzie. - Tutaj was zostawiam.

Youngblood i Chavasse stanęli na skraju trawnika i rozejrzeli się dookoła.

- Co to jest? - zapytał Youngblood.

Mackenzie ściągnął ze swej ręki zegarek i podał mu go przez okno wozu.

- Teraz jest dziewiąta trzydzieści pięć. Za mniej więcej dziesięć minut ktoś was stąd zabierze.

- Czym będzie jechał? - zapytał Chavasse.

- Nie mam pojęcia. Odezwie się do was słowami: „Czy chcielibyście, żebym was podwiózł w jakieś określone miejsce?” Musicie odpowiedzieć: „Babilon”. Powie wam, że Babilon to dla niego za daleko, ale zaproponuje, że podwiezie was kawałek drogi. Rozumiecie? Youngblood patrzył na niego wyraźnie zaskoczony.

- Czyś ty zwariował?

- Jeśli tak, to zrobiłeś cholernie kiepski interes, stary - odparł Mackenzie i zwolniwszy ręczny hamulec, odjechał szybko.

Stali tak, wsłuchując się w zanikający w oddali odgłos silnika, a gdy w końcu ucichł zupełnie, Youngblood, ze zbielełą nagle w świetle księżyca twarzą, odwrócił się do Chavasse'a.

- Co o tym sądzisz? Czy oni nas po prostu czasem nie nabierają?

- Myślę, że raczej nie. Mają zbyt wiele do stracenia.

- Chyba masz rację. Lepiej zapalmy i bądźmy dobrej myśli. Chavasse pierwszy usłyszał zbliżający się pojazd i wyszedł na drogę. Spoglądał w ciemność u stóp wzgórza, skąd błyskały światła reflektorów.

- Czy to ktoś od nich? - zapytał Youngblood. Chavasse patrzył przez chwilę mrużąc oczy przed światłem, po czym potrząsnął głową przecząco.

- Nie przypuszczam. To mi wygląda na cysterne.

6. Na odludziu

Mężczyzna, który podawał się za Mackenziego, wjechał na Great North Road. Zatrzymał się przy pierwszej napotkanej przydrożnej kawiarni i wszedł do budki telefonicznej. Przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne, z czego pierwszą najwyraźniej łączono przez ręczną centralę, bo długo czekał. Zaczął rozmawiać dopiero po pięciu minutach, gdy po drugiej stronie odezwał się jakiś przytłumiony głos z wyraźnym akcentem z Yorkshire. Powiedział szybko:

- To pan, panie Crowther? Proszę posłuchać, mamy mały kłopot. Chodzi o tę paczkę, na którą pan czeka... dostanie pan zamiast jednej, dwie. Myśli pan, że poradzi pan sobie z nimi? Naturalnie podwoimy wynagrodzenie.

Crowther mógłby równie dobrze dyskutować z nim o cenie bydła, tak chłodny i rzeczowy był jego głos, gdy odpowiadał.

- Czemu nie? Może to najwyżej potrwać trochę dłużej. Będziemy musieli uważać. Jeszcze jedno - wczoraj umarła moja żona.

- Przykro mi to słyszeć.

- To nam, niestety, nie pomoże. Chowamy ją jutro rano. Ale tak czy siak, niech pan zostawi to mnie. Na pewno damy sobie radę.

- Będę w kontakcie.

Odłożył słuchawkę i znalazł jeszcze trochę drobnych. Tym razem wykrcił jakiś londyński numer. Słuchawka po drugiej stronie została natychmiast podniesiona i odezwał się kobiecy głos.

- Worldwide Exports.

- Cześć, złotko! Z drogiego, starego hrabstwa Durham mówi Simon Vaughan.

- Co się stało? Właśnie oglądałam wiadomości w telewizji. Wygląda na to, że dwa ptaszki wyleciały z klatki, a nie jeden.

- Nic na to nie można było poradzić, niestety. Ta dodatkowa przesyłka nie cieszy mnie zbytnio. Ten facet wydaje mi się jakiś podejrzany. To zresztą nieważne - Crowther zgodził się zająć obydwoma - za podwójną stawkę.

- Przekażę to. A co z towarem?

- Jest w depozycie bankowym na Jermyn Street, na nazwisko Alfred Bonner. Nawiasem mówiąc to nie to, czego się spodziewaliśmy, ale równie dobre.

- A klucz?

- Jest u jego siostry, która mieszka przy Wheeler Court 15 w Benthall Green. Nie powinno z nią być żadnych kłopotów - oczekuje odwiedzin.

- Dobra - odbierzemy go zaraz. Simon... Tak, złotko?

- Na twoim miejscu sprawdziłabym jutro jakość usług Crowthera.

- Właśnie miałem taki zamiar. Do zobaczenia w kościele. Gdy wracał do samochodu, gwizdał lekko, uśmiechając się przy tym.

Nie padało już, kiedy Chavasse wydostał się z ukrytego w cysternie schowka i drżąc lekko na przejmującym wietrze czekał, aż dołączy do niego Youngblood. Kierowca opuścił pokrywę na miejsce i spojrzął na nich z drabinki.

- Po drugiej stronie drogi jest ścieżka. Wyjdą po was. Powodzenia!

Wspiął się z powrotem do szoferki, z sykiem powietrza zwolnił hamulce i po chwili cysterna zniknęła w ciemnościach nocy. Chavasse przyglądał się znikającym gdzieś daleko tylnym światłom samochodu, potem odwrócił się do Youngblooda.

- Która godzina?

- Dochodzi wpół do drugiej.

- To znaczy, że spędziliśmy w tej puszczy sardynek prawie cztery godziny. Musieliśmy przejechać ze dwieście czterdzieści kilometrów.

- Ja wiem tylko jedno - stwierdził z irytacją Youngblood. - Ta puszcza na pewno nie była przeznaczona dla dwóch.

Gdzieś w oddali głucho zabrzmiało ujadanie psa. Nagle księżyc wyszedł zza chmur, zalewając całą okolicę mocnym białym światłem. Rozgwieżdżone aż po linię horyzontu niebo wyglądało niewiarygodnie pięknie, a wzgórza, które rozciągały się wszędzie wokół, zdawały się niezgrabnie poruszać w poświacie księżyca.

- Gdzie my, u diabła, jesteśmy? - spytał Youngblood. Po drugiej stronie drogi zachrzącił pod czyjąś stopą żwir i jakaś młoda kobieta wynurzyła się z cienia.

- Czy chcielibyście, żebym zaprowadziła was w jakieś określone miejsce?

Chavasse natychmiast rozpoznał jej akcent.

- Jesteśmy gdzieś w Yorkshire, to pewne - oznajmił towarzyszowi.

Dziewczyna, ubrana w stary nieprzemakalny płaszcz, czekała cierpliwie ze spokojną twarzą, która w jasnym świetle księżyca była niesamowicie piękna.

- Babilon - odpowiedział Youngblood.

- To dla mnie za daleko, ale mogę was podprowadzić kawałek drogi - odezwała się dziwnym, zmartwiałym głosem.

Poszła w górę ścieżką, a Youngblood odwrócił się z irytacją do Chavasse'a.

- Cała ta cholerna historia z każdą minutą przypomina coraz bardziej przygody żywcem wyjęte z „Alicji w krainie czarów”. Zaraz spotkamy zapewne Białego Królika.

- Albo Szalonego Kapelusznika - odpowiedział z uśmiechem Chavasse i szybko ruszył za dziewczyną.

Sam Crowther ze strychu swojej stodoły obserwował oświetloną przez księżyc drogę, którą zbliżali się do farmy,

- Oto i oni - powiedział miękko.

W ciemności obok niego coś się poruszyło - to Billy pochylił się do przodu. Ślina ciekła mu z kącika ust, co było u niego oznaką podniecenia.

- Tym razem dwa orzechy do rozłupania, Billy - odezwał się Crowther. - Ale damy sobie z tym jakoś radę, no nie? Wszystko w odpowiednim czasie.

Klepnął Billy'ego po ramieniu i zszedł po drabinie. Kiedy wychodził ze stodoły, dziewczyna właśnie mijiała furtkę, a za nią Chavasse i Youngblood.

- Bądź grzeczną dziewczynką - odezwał się. - Idź i zrób im jajecznicę na szynce, Molly.

Dziewczyna odeszła bez słowa, a Crowther uśmiechając się szeroko, odwrócił się i wyciągnął rękę na powitanie.

- Pan Youngblood i pan Drummond, jak sędzę. W wiadomościach o jedenastej mówiono o was obu tak dużo, że wydaje mi się, jakbym znał was przez całe życie. Jestem Sam Crowther. Youngblood udawał, że nie zauważył jego wyciągniętej ręki.

- A to co? - skinął głową w kierunku Billy'ego, który powłócząc nogami wyszedł właśnie z ciemnego wnętrza stodoły.

- To tylko Billy, panie Youngblood. Tylko Billy. - Crowther zachichotał i znacząco puknął się w czoło. - Trochę mu głowa szwankuje, ale na farmie robi za dwóch. Ale po co my tu właściwie sterczymy? Wejźmy do środka, pokażę panom pokój. Zanim się umyjecie, Molly na pewno będzie już miała posiłek na stole.

- To pańska córka? - zapytał Chavasse, gdy wchodzili na ganek.

- Zgadza się, panie Drummond. Dobra dziewczyna z tej naszej Molly.

- Nie wydaje się zbyt rozmowna.

- Nic dziwnego - stwierdził poważnie Crowther. - Jej matka jeszcze nie ostygła, odeszła od nas ledwo dwadzieścia cztery godziny temu. - Otworzył drzwi po lewej stronie, ukazując stojącą na stole tanią, sosnową trumnę z pozłocanymi uchwytami. - Chowamy ją w podziemiach tutejszego wiejskiego kościoła o dziesiątej rano. To piętnaście kilometrów stąd, karawan będzie tu więc o dziewiątej. Nie będziecie mogli, panowie, pokazywać się, zanim nie odjedzie.

Po zamknięciu drzwi wejściowych, poprowadził ich na górę po wąskich, drewnianych schodach, pokrytych tanim, wytartym przez lata używania linoleum. Otworzył drzwi znajdujące się na końcu długiego, wąskiego półpiętra i zapalił światło.

- Myślę, że będzie tu panom wystarczająco wygodnie. Było tam stare, dwuosobowe łóżko z mosiężną ramą, malowana szafa z toaletką w stylu wiktoriańskim i marmurowa umywalka.

Youngblood rozpiął swój nieprzemakalny płaszcz i zwałił się na łóżko.

- A jak długo mamy tu zostać?

- Aż dostanę odpowiedni telefon. Może jutro. Najpóźniej pojutrze. Ale niech się panowie nie martwią - tu wam nic nie grozi. Jesteśmy oddaleni o wiele kilometrów od czegokolwiek.

- A dokładnie biorąc, to gdzie właściwie jesteśmy? - zapytał Chavasse.

Crowther udowodnił, że umie się przebiegle uśmiechać.

- To by już chyba było niepotrzebne gadulstwo, co, panie Drummond? Nie, nie mogę tego, niestety, zrobić. Muszę się także sam chronić. Zejdźcie, panowie, jak będziecie gotowi. Na stole już będzie czekało jedzenie.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Youngblood zdjął marynarkę i powiesił ją na krześle.

- Co o tym myślisz?

- Wolałbym raczej nie spuszczać go na dłużej z oczu. - Chavasse podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. - Całe to miejsce jest jak kiepska scenografia planu filmowego, przygotowanego do kręcenia „Wichrowych Wzgórz”.

Youngblood z dużego dzbana nalał wody do popękanej miednicy i umył sobie twarz i szyję.

- Wiem jedno - powiedział, wycierając się mocno ręcznikiem - niech tylko spróbuje zrobić jeden niewłaściwy ruch, a złamię mu ten jego cholerny kark. Chavasse zdjął swój płaszcz i podszedł do miednicy.

- Czuję, że to może nie być wcale takie łatwe, biorąc pod uwagę tego chłopczyka Billy'ego.

- Tu masz rację, ale po co martwić się na zapas? - Youngblood uśmiechnął się szeroko. - Póki co, bardziej interesuje mnie jajecznicza na szynce. Spotkamy się na dole.

Drzwi zamknęły się za nim cicho, a Chavasse, pełen wątpliwości, stał wpatrzony z krzywym uśmiechem w porysowane lustro nad umywalką. Coś tu było nie tak, niczego w życiu nie był bardziej pewien. Było to można wyraźnie wyczytać z milczenia dziewczyny, z przebiegłych, uciekających ciągle w bok oczu Crowthera i z zachowania chodzącego za nim jak cień wielkiego, ociężałego imbecyla. Jeśli jednak rzeczywiście planowano tu coś zagrażającego im, to cóż to mogło być? Crowther nie był głupcem, to było oczywiste, i musiał zdawać sobie sprawę, że on i Youngblood stanowili razem znakomity tandem. Z drugiej jednak strony rozdzieleni... Z nagłym okrzykiem cisnął ręcznik, gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i zbiegł na dół.

Gdy Youngblood zszedł do salonu, nie było tam nikogo, więc poszedł do kuchni. Przy piecu stała Molly, ubrana w starą, bawełnianą sukienkę, która była na nią nieco za mała, tak że szwy w dolnej części puściły w wielu miejscach. Była bez pończoch. Kiedy odwróciła się do niego, z niemą dozą rozczarowania zdał sobie sprawę, że blask księżyca oszukiwał. Mówiąc delikatnie była pozbawiona urody, chociaż wielu bardziej dosadnych ludzi, widząc jej wystające kości policzkowe, oliwkową skórę i zbyt pełne usta, uznałoby ją za brzydką.

- Prawie gotowe - powiedziała tym swoim dziwnym, zmartwiałym głosem, przeciągając dłońmi po udach. - Wyskoczę tylko do szopy po drewno do pieca.

Z haka nad piecem zdjęła lampę, zapaliła ją i ruszyła w kierunku tylnych drzwi, ale Youngblood był tam przed nią.

- Daj, wezmę to - powiedział. - Przyda ci się pomoc. Wpatrywała się w niego z dziwnym wyrazem oczu, a po chwili niepewności i wahania podała mu lampę.

- Dobrze, to po drugiej stronie podwórza. Brukowce, którymi wyłożono podwórze, były wilgotne, zdradziecko śliskie, nierówne, a wokół pełno dziur, których nie widać w nocy, toteż Youngblood z wielką ostrożnością wybierał drogę, a gdy wdepnął w kałużę i woda wlała mu się do buta, zaklął głośno. Kiedy dziewczyna otworzyła drzwi szopy, poczuł zapach spleśniałego siana, starej skóry, wiórów drewna i wilgoci. Przez dziurę w dachu widać było gwiazdy.

- Tutaj - powiedziała.

Podszedł do niej z podniesioną lampą i przystanął. Wiedział, że to złudzenie spowodowane światłem, ale przez chwilę wyglądała tak, jak wtedy na drodze w blasku księżyca - piękniej nawet niż jego marzenia więzienne o kobietach.

Odwróciła się i z wysuniętym do przodu kolanem pochyliła się nad stosem drewna tak, że stara bawełniana sukienka przylgnęła do jej ud jak druga skóra. „Pięć lat, pięć długich lat”. Youngblood zrobił krok do przodu, a gdy odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz, wyciągnął rękę, by jej dotknąć. W jej oczach dostrzegł nagły szok, olśnienie. Stali tak przez chwilę, a potem dziewczyna zaczęła pochyłać się powoli w jego stronę. Gdzieś z oddali doszedł ich głos Chavasse’a.

- Harry, gdzie jesteś?

Youngblood uśmiechnął się, wierzchem dłoni lekko dotykając jej twarzy.

- Może innym razem? Weź lampę, a ja poniosę drewno.

Cofnęła się, ściskając lampę obydwoma rękami tak kurczowo, że aż pobiełały jej kostki dłoni, w której ją trzymała, zdradzając ogromne wewnętrzne napięcie. Youngblood wziął spore naręcze szczap drewna i wyszedł pierwszy.

Gdy przechodzili przez podwórze, w drzwiach kuchni ukazał się Chavasse.

- Ach, tu jesteście? Wyglądało, jakbyście zupełnie zniknęli. Zacząłem się niepokoić.

- Pomagałem tylko w robocie. - Youngblood odwrócił się do Molly. - A gdzie się podział twój ojciec?

- Tu jestem, panie Youngblood. - Crowther wysunął się z cienia pokrywającego drugą stronę podwórza. - Byłem przy zwierzętach.

- A gdzie Billy?

- Niech się pan o niego nie martwi. Śpi w stodole. To dla niego najlepsze miejsce. Jesteśmy gotowi? - Odwrócił się do dziewczyny, zacierając ręce i odezwał się jowialnie. - A niech to, nie wiem, co tam dla nas masz, mała, ale zjadłbym konia z kopytami.

Dobłą godzinę później Billy wysunął się z ciemności podwórka i zbliżył do tylnych drzwi. Otworzył je ostrożnie i wszedł do środka.

Crowther siedział przy kuchennym stole, paląc fajkę i czytając gazetę. Spojrzał w górę na niego i spokojnie skinął głową

- A, jesteś, Billy.

Podszedł do szafki nad zlewem i wrócił z pięciokilogramowym młotem.

- Wiesz, co masz zrobić?

Billy mocno chwycił młot w prawą rękę i ochoczo pokiwał głową, strącając przy tym ślinę błyszczącą na jego podbródku.

- Dobry z ciebie chłopak. Najlepiej bierz się od razu do roboty.

Crowther otworzył drzwi, ruszył przodem wzdłuż korytarza i wszedł po schodach na półpiętro. Z palcem na ustach zatrzymał się przy drzwiach na końcu korytarza i delikatnie spróbował przekreślić gałkę. Drzwi nie ustąpiły, więc odwrócił się i popchnął Billy’ego z powrotem przez korytarz.

U stóp schodów przystanął, kładąc rękę na ramieniu olbrzyma.

- Nie przejmuj się, Billy, zawsze jest jeszcze jutro - powiedział.

W pokoju Chavasse i Youngblood stali w ciszy, patrząc, jak gałka u drzwi przekręca się. Gdy ciche kroki w korytarzu oddaliły się, po ciele Youngblooda przeszedł dreszcz. Westchnął głęboko.

- O rany, naprawdę cieszę się, że tu jesteś - powiedział do Chavasse'a. - Czuję się jak dziesięcioletni smarkacz, który w każdym zakamarku dopatruje się strachów.

- W tym domu pewnie byś niejednego naprawdę znalazł. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jest w tym wszystkim przynajmniej jeden zdecydowanie pozytywny element.

- Niby jaki? Chavasse uśmiechnął się szeroko.

- Miło wiedzieć, że jestem komuś potrzebny.

7. Coś paskudnego w drewnitni

Za oknem rozpadał się deszcz, ponuro bębniąc o szyby. Chavasse z posepnym wyrazem twarzy wyglądał przez okno na podwórze. W szarym świetle wczesnego poranka był to niezbyt ładny obrazek: wielkie wyboje wśród kocich łbów, wypełnione stojącą wodą, wiekowe rdzewiejące maszyny, a wszędzie pełno śmieci.

- Widziałeś kiedyś coś takiego? - zapytał z odrazą Youngblood. - I co tu mówić o Ulicy Nadbrzeżnej.

Chavasse podszedł do stołu i nalał sobie kolejną filiżankę herbaty.

- Która godzina?

- Dochodzi dziewiąta czterdzieści pięć.

- A Crowther mówił, że pogrzeb jest o dziesiątej. Za trzy kwadransy powinni być z powrotem. - Skinął głową w kierunku stołu. - Najadłeś się?

- Tak - umiesz nieźle przyrządzać sadzone jajka. Chavasse otworzył kuchenne drzwi i spojrzał na wzgórze, wznoszące się po drugiej stronie podwórza. Na jego szczycie stał mały szałas z szarego kamienia, przy którym pasła się gromadka brudnych owiec.

- Chyba pójde się nieco rozejrzeć.

Youngblood spojrzał z wyraźną niechęcią na deszcz za oknem.

- Dobra, idź, jeśli masz ochotę. Ja tymczasem przeszukam dom - może tu gdzieś być schowana jakaś broń.

- Musiałbyś mieć wielkie szczęście - stwierdził Chavasse. - Crowther jest może prymitywny, ale przebiegły jak lis.

Zdjął wiszący za drzwiami stary, ceratowy płaszcz i wyszedł na zewnątrz, zapinając go pod szyją. Kopnął przez całą szerokość podwórza jakąś blaszaną, rdzewiejącą puszkę ze stosu nagromadzonego przez całe lata pod ścianą domu i poszedł jej śladami do stodoły, która była w takim samym stanie, jak reszta gospodarstwa. W drzwiach brakowało desek, deszcz przeciekał przez liczne dziury w dachu. Wewnątrz panował nieopisany bałagan i całkowity rozkład. Przy tylnych drzwiach stała stara, choć wyglądająca na jeszcze sprawną, ciężarówka do przewożenia bydła, a obok traktor, który wyglądał, jakby od lat już nie działał, ponieważ jego metalowe części zrudziały całkiem od rdzy, wśród stale otaczającej je wilgoci.

Chavasse niedbałym kopnięciem usunął puszkę ze swej drogi. Wylądowała w rogu stodoły, na kupie spleśniałego siana, z którego wyskoczyła para brązowych szcurków. Zamarły w bezruchu na środku klepiska, obserwując go. „Dziwne, jak trudno w życiu pozbyć się pewnych okropności”. Miał naprawdę dość szcurków po pobycie w więzieniu. Skrzywił się z obrzydzeniem, podniósł kamień i rzucił nim z całej siły, na co szcury zareagowały ucieczką w głąb ciemnej części stodoły.

Wyszedł na dwór przez drugie drzwi, przedarł się przez gąszcz zdziczałych jeżyn i pokrzyw, rosnących w miejscu, które kiedyś było przydomowym ogródkiem, i za rozwalającym się murem granicznym znalazł początek jakiejś ścieżki.

Prowadziła łagodnym wzniesieniem przez kępę olch, a dalej stromo wspiwała się zboczem na szczyt wzgórza. Nagle stwierdził, że mu się tu właściwie podoba. Deszcz nadał powietrzu delikatny, świeży zapach, a po długich, nużących miesiącach więziennego życia, wysiłek wspinaczki sprawiał mu także autentyczną przyjemność.

Pokonał wysoką ścianę będącą rumowiskiem kamiennych bloków, wdrapując się po oryginalnym kamiennym przełazie i znalazł się na ostatniej pochyłości. Wśród gmatwaniny wielkich otoczków i wystających kamieni, którym lata nadały tysiące przedziwnych kształtów, pasły się swobodnie owce. Nad nim, aż do tylnej strony szałas, ciągnęła się kępa ciernistych krzewów o gałęziach nienaturalnie powyginanych, niczym palce jakiejś wielkiej zdeformowanej ręki. Siła wiejących tu wiatrów wygięła je wszystkie w jedną stronę, co potęgowało niesamowite wrażenie.

Szałas był w nie najgorszym stanie i okazał się większy, niż wydawało się z podwórza farmy. W środku leżało świeże siano, suche i pachnące, a także worki z paszą, prawdopodobnie dla owiec. Chavasse zapalił papierosa, wyszedł znowu na dwór i skierował się do skupiska skał, tworzących grzbiet wzgórza. Miał stamtąd wyraźny widok na, położoną w okrytej mgłą dolinie, główną drogę, za którą migotała powierzchnia jakiegoś zbiornika wody. „Może jakieś jezioro?” Odwrócił się i z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że przypatruje mu się stojąca za nim Molly Crowther.

W starym, czarnym płaszczu z wywatowanymi ramionami, co było modne w czasie wojny, doskonale pasowała do tego martwego krajobrazu. Chłopska twarz dziewczyny przewiązana była mocno chustką, co nadawało jej dziwnie melancholijny wygląd.

- A, witam - odezwał się Chavasse, podchodząc do niej. - Już po pogrzebie? Skinęła głową z zaskakującą obojętnością.

- Ksiądz nie tracił czasu. Zaczynał przemakać na deszczu.

- A gdzie twój ojciec?

- Pojechał z Billym do sąsiedniej wsi. Wysadził mnie tam w dole, na drodze. Szybciej jest, jak się idzie przez wzgórze, a poza tym chciałam zajrzeć do owiec.

- Opiekujesz się nimi?

- Prawie przez cały czas. Billy pomaga mi, kiedy jest w dobrym nastroju. Kłopot w tym, że on nie zdaje sobie sprawy ze swej własnej siły. W jednej minucie pieszczotliwie głaszcze jagnię, a w drugiej łamie mu niechący kark. Nie można na nim za bardzo polegać.

- Ach, tak - Chavasse zastanowił się przez chwilę, potem mówił dalej. - Przykro mi z powodu twojej matki.

- A mnie wcale nie - stwierdziła z brutalną szczerością. - Przez ostatni rok życia miała raka żołądka i odmawiała pójścia do szpitala. Musiałam się nią opiekować. Dla żadnej z nas nie było to zbyt przyjemne. Lepiej jej tam, gdzie jest teraz.

- Nie lubisz tego miejsca?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- A kto mógłby lubić takie miejsce? - Zatoczyła łuk ręką, jakby chciała ogarnąć nią cały ten wyrzeźbiony przez wiatry krajobraz. - Nawet drzewa rosną tu krzywo. To martwy świat. Czasem myślę, że jedynymi żywymi istotami w nim są owce, ale one są jak Billy - bezmyślne.

- Dlaczego stąd nie wyjedziesz?

- Przedtem nie mogłam - ze względu na matkę. A teraz już za późno. Jestem zupełnie bezsilna. Nie wiedziałabym, dokąd pójść. W jej głosie był prawdziwy ból i Chavasse szczerze jej współczuł.

- Może ojciec mógłby ci pomóc, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już matki.

- Jest tylko jedna rzecz, którą chciałby mi zrobić. Bóg jeden wie, jak często już tego próbował. - Zaśmiała się chrapliwie. - Mój prawdziwy ojciec umarł, gdy miałam trzy lata. Był Cyganem, tak jak moja matka. A ona dziesięć lat temu spotkała Sama Crowthera na targu w Shipton i wyszła za niego za mąż w ciągu tygodnia. To była najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiła w tak krótkim czasie.

- Mówisz tak, jakbyś go nienawidziła.

- Tak samo jak i tego miejsca - zawsze chciałam jedynie stąd uciec.

- Dokąd chciałabyś pójść?

- Nigdy tak naprawdę nad tym się nie zastanawiałam. - Wzruszyła ramionami. - Gdzieś, gdzie mogłabym dostać przyzwoitą pracę, ładnie się ubierać; spotykać ludzi - może do Londynu.

W jej położeniu musiało się to wydawać równie dalekie jak księżyc i mniej więcej tak samo romantyczne.

- Odległość dodaje uroku - powiedział jej Chavasse łagodnie. - Londyn może być także najbardziej samotnym miejscem na ziemi.

- Zaryzykowałabym. - Założywszy ręce na piersiach, oparła się o mur graniczny, do którego właśnie doszli. - To musi być cudownie, tak móc jeździć wszędzie, robić ciekawe rzeczy - jak pan Youngblood, na przykład.

- Pięć lat w więzieniu - rzucił Chavasse. - I następne piętnaście do odsiedzenia - teraz może nawet więcej, jeśli go złapią. Nie ma w tym nic specjalnie romantycznego.

- Mówię o tym, co było przedtem - powiedziała z widocznym lekkim zniecierpliwieniem. - Był przecież przemytnikiem, wie pan.

- Między innymi.

Ruszyła do przodu, wyraźnie ożywiona i poruszona po raz pierwszy, odkąd ją zobaczył.

- W zeszłym roku czytałam o nim artykuł w jednej z niedzielnych gazet. Napisali, że jest współczesnym Robin Hoodem.

- Sądzę, że to tylko jedna z wielu opinii na jego temat. Zależy od punktu widzenia. Ważne jest tylko, jaki jest naprawdę. Ale to prawda - nalegała. - Wydrukowali wywiad z pewną starą damą, która dostała nakaz eksmisji, bo nie była w stanie płacić czynszu. Ktoś powiedział o tym panu Youngbloodowi. Dał jej sto funtów, chociaż jej nigdy przedtem nie widział.

Chavasse mógł jej powiedzieć, że to wydarzenie miało miejsce zaraz po udanym rabunku pieniędzy na wypłatę w Essex, gdzie Youngblood i jego wspólnicy wsławili się tym, że zarobili na czysto trzydzieści dwa tysiące funtów i że dwóch uzbrojonych strażników znalazło się w szpitalu, w tym jeden z rozbitą czaszką, wiedział jednak, że tym razem traciłby tylko czas próbując jej coś wytłumaczyć. Uśmiechnął się nieszczercze.

- Na pewno wspaniały z niego mężczyzna. Skinęła głową.

- Mam nadzieję, że mu się uda uciec, że wydestanie się z kraju. Mam nadzieję, że obu wam się uda.

- Czy wielu ludzi przechodzi tak przez wasze ręce jak my? - zapytał.

- W tym roku koło sześciu.

- A George Saxton i Ben Hoffa, przyjaciele Harry'ego? Wiesz coś o nich?

Jej reakcja była zaskakująca, jakby nagle zatrzasnęły się wokół nich jakieś niewidzialne okiennice i zrobiło się całkiem ciemno. Gdy spojrzała na niego, jej oczy były całkiem puste, a twarz zupełnie pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Tak, byli tutaj.

- Jak długo? Zawahała się, po czym odpowiedziała powoli:

- Nie wiem. Nie widziałam, żeby odjeżdżali. Chavasse poczuł nagły chłód, ucisk w dołku i suchość w gardle.

- Czy było w tym coś dziwnego?

- Tak... tak, było - powiedziała z wahaniem. - Inni byli tu po dwa, trzy dni. Zawsze widziałam, jak wyjeżdżali. Mój ojczym brał ich do samochodu.

- Ustalmy to dokładnie. Spotkałaś Saxtona i Hoffę tam na drodze w nocy, tak samo jak nas, i przyprowadziłaś ich na farmę?

- Zgadza się.

- Czy później widziałaś jeszcze któregoś z nich?

- Nigdy.

Stali na deszczu, wpatrując się w siebie bez słowa, a jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę było nieustanne zawodzenie wiatru.

- Co się z nimi stało, Molly?

- Nie wiem, przysięgam na Boga, nie wiem! - krzyknęła.

- To znaczy nie chcesz wiedzieć, prawda?

Wzdrygnęła się gwałtownie, jakby ogarnięta nagle jakimś złowieszczym, groźnym przeczuciem. Chwycił ją za ramiona, starając się okiełznać narastający w niej niepokój, podobny do zachowania młodej, spłoszonej klaczy.

- W porządku, Molly - nie ma się czym przejmować. Ja się tym zajmę.

Odszedł kilka kroków, ale dziewczyna nie poruszyła się. Odwrócił się więc do niej i łagodnie zapytał:

- Schodzisz?

- Muszę zajrzeć do owiec. - Ręce trzęsły się jej tak mocno, że aby opanować ich drżenie, musiała je spleść. - Później, przyjdę później.

Nie zawracał już sobie dalej głowy perswazjami i w ponurym nastroju zbiegł ze wzgórza. To, co można było wywnioskować z jej słów, było potworne. On sam był

jednak na to przygotowany, gdyż pewne podejrzenia zaczęły się pojawiać gdzieś w głębi jego umysłu już od pierwszej chwili, gdy tylko poznał Sama Crowthera i jego przerażającego pomocnika. Skóra mu ścierpła na wspomnienie przekraczającej się w nocy gałki u drzwi.

Przedostał się przez rumowisko kamieni, przeskoczył murek i niemal zderzył się ze stojącym tam Youngbloodem.

- Znalazłeś coś?

Youngblood przecząco pokręcił głową.

- Nawet jednej strzelby. Wiem za to, gdzie jesteśmy. Znalazłem adres na starej kopercie. To jest Farma Wykehead, niedaleko Settle. - Zmarszczył nagle brwi. - Wyglądasz na wzburzonego. Coś się stało?

- Nie jestem całkiem pewien - odparł Chavasse. - Ale właśnie miałem pogawędkę z Molly i mam przecucie, że w drewnutni możemy odkryć coś bardzo paskudnego.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Nie mam teraz czasu na dyskusje. Zapytaj Molly o Saxtona i Hoffę, a zobaczymy, do jakiego wniosku dojdiesz. Wejź na szczyt, skąd będziesz miał dokładny widok na główną drogę. Jak tylko zobaczysz samochód Crowthera, zejdź i daj mi znać. Będziesz miał na to jeszcze mnóstwo czasu.

Ruszył szybko w dół, nie zwracając już uwagi na zdziwienie Youngblooda, który po chwili odwrócił się i pnąc się po kamieniach ruszył w kierunku szczytu wzgórza.

Harry Youngblood naprawdę dobrze czuł się tylko w mieście, chociaż w czasie służby w marynarce zapalał prawdziwą miłością do morza. Nic też dziwnego, że krajobraz, który ujrzał, wydał mu się dziwaczny, nienaturalny i ani trochę nie pociągający.

Wspiął się jednak na sam szczyt skalistego grzbietu i rozejrzał się dookoła z niechęcią. Drogą w dolinie jechała jakaś ciężarówka wielkości pudełka zapalek, ale nie było ani śladu starego, czarnego forda, którym rano wyjechał Crowther.

Odwrócił się ponownie i zaczął iść w stronę szałas. Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś patrzy na niego. Była to dziewczyna, która stała przed szałasem i trzymała jagnię na rękach. Zniknęła w środku, a kiedy dotarł do drzwi, zobaczył, jak miesza w misce mleko z otrębami.

- Hej, jak się masz - odezwał się. - Co się stało z twoim ojcem?

- Pojechał z Billym do sąsiedniej wioski - odparła, nie odwracając się - a ja przyszedłam tu, żeby zobaczyć, co z owcami.

Gdy zapalił papierosa, poczuł nieznośny ucisk w piersiach, tak gwałtowny, że omal się nie udusił. Dziewczyna nie miała na sobie płaszcza, a jej czarna, wełniana sukienka - podobnie jak bawelniana, którą nosiła poprzedniego wieczoru - była o numer za mała na nią i mocno opinała jej pośladki i uda.

Dotarło do nich z zewnątrz słabe echo grzmotu, a deszcz nagle mocniej zaczął padać.

Spojrzała na niego przez ramię, krótko, prawie ukradkiem, a wtedy wydała mu się nawet piękna, dzięki grze światła i cieni, które ukryły jej brzydotę i złagodziły toporne rysy twarzy.

Wstała, aby sięgnąć do żłobu zawieszzonego na ścianie. W tym momencie Youngblood poczuł dziwną suchość w gardle. Rzucił papierosa i podszedł do dziewczyny, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Stała sztywno, z twarzą bez wyrazu, nie czyniąc żadnego ruchu, aby go powstrzymać, gdy jego ręce przesuwają się po jej ciele. „Pięć lat, pięć długich, ciężkich lat”. Zapominając o Saxtonie, Hoffie i dziwnym zachowaniu Chavasse'a, Youngblood, zaślepiony pożądaniem, odrzucił od siebie wszelkie inne myśli i popchnął ją na stos siana w rogu.

Kiedy w nią wszedł, dziewczyna otrząsnęła się z odrętwienia. Z całej siły zacisnęła dłonie na jego włosach i przywarła do jego ust, całując je mocno z wielką, nagle rozbudzoną, dziką namiętnością, tak szaloną, że mogła właściwie przerazić partnera.

Na widocznej u stóp wzgórza drodze, biegnącej przez dolinę, pojawił się stary ford Sama Crowthera i skręcił na polny trakt prowadzący do farmy.

Youngblood z twarzą zroszoną potem przewrócił się na plecy i zaczął wpatrywać się w dach szałas. W tym, co się stało, nie było nic łagodnego, nic delikatnego. Skończyło się to nagle, jak coś nieważnego. Leżała obok niego z zamkniętymi oczami, szybko oddychając. Na górnej wardze zastygły jej kropelki potu, co napełniło go nieoczekiwane czymś bardzo bliskim obrzydzenia. Była brzydka - psiakrew, wszystko było w niej brzydkie, począwszy od rozczochranych włosów i żółtawej twarzy, aż po ohydny czarny sukienkę i pocerowane pończochy.

Odsunął się od niej, więc natychmiast odwróciła się w jego stronę, otwierając oczy. Zmusił się do uśmiechu.

- W porządku, mała?

- Och, Harry, kocham cię. Tak bardzo cię kocham. - Kurczowo schwyciła jego rękę i ukryła twarz w jego ramionach. Był to spontaniczny okrzyk, który mógł się wydobyć tylko z głębi serca kogoś bardzo nieszczęśliwego, kto nigdy przedtem nie zaznał miłości, dobroci ani w ogóle żadnego uczucia. Youngblood jednak nie posiadał ani zdolności postrzegania, ani potrzebnej wrażliwości, aby zrozumieć, że stał się dla niej jedyną realną wartością w świecie iluzji, w którym dotąd żyła.

Niezgrabnie poklepał ją po ramieniu i odsunął, aby wyjąć i zapalić papierosa. Zastanawiał się, jak zmienić temat, i na szczęście przypomniał sobie, o czym mówił Chavasse.

- Co zaszło między tobą a Paulem? Kiedy minął mnie zbiegając ze wzgórza po rozmowie z tobą, wyglądał, jakby go coś bardzo poruszyło.

Wstała, wyjęła grzebień z kieszeni płaszcza i przejechała nim po włosach.

- Pytał mnie o innych ludzi, którzy tu byli, to wszystko.

- Takich, jak George Saxton i Ben Hoffa?

- Tak.

- A co chciał wiedzieć?

- Czy widziałam, jak odjeżdżali.

Youngblood zmarszczył brwi.

- A widziałaś?

Pokręciła przecząco głową.

- Inni, którzy przyjeżdżali, zostawali tu zazwyczaj dwa albo trzy dni, ale nigdy nie widziałam już żadnego z twoich przyjaciół po tym, jak ich tu przyprowadziłam.

Youngblood wpatrywał się w nią z przerażeniem, gdy stopniowo docierało do niego pełne znaczenie tych słów.

- Jezus Maria! - wyszeptał.

W tej samej chwili usłyszeli zaraz po sobie następujące dwa wystrzały z obu luf dubeltówki. Huk zniekształcony echem dotarł do nich, mimo padającego w dolinie deszczu.

Chciał ruszyć ku drzwiom, ale dziewczyna złapała go za ramię.

- Nie idź, Harry, nie idź! - krzyknęła.

Otwartą dłonią uderzył ją na odlew w twarz, aż upadła z powrotem na siano.

- Ty suko! - powiedział. - Ty parszywa, mała suko! Sprzedałaś nas!

Odwrócił się i wybiegł. Dziewczyna wstała i potykając się pobiegła za nim, zanosząc się histerycznym płaczem.

Kiedy Chavasse dotarł do podwórka, zatrzymał się, gdyż uświadomił sobie nagle, że właściwie nie wie dokładnie, czego szuka. Nie miał przecież żadnej pewności. Jeśli jego podejrzenia były słuszne, jeśli Saxton i Hoffa nigdy nie opuścili tego miejsca żywi, ich ciała mogły być ukryte wszędzie. Ciśnięte w torfowe bagno lub po prostu zakopane pół metra pod ziemią gdzieś na wrzosowiskach, gdzie mogły sobie spokojnie leżeć przez pięćset lat, z małym prawdopodobieństwem, że zostaną kiedykolwiek przez kogoś odnalezione.

Wszedł do domu i zatrzymał się na chwilę w wyłożonym kamieniami korytarzu, zastanawiając się, co robić. Panowała tu niesamowita cisza. Drzwi po prawej stronie prowadziły do salonu, a po lewej do pokoju dziennego, na samym zaś końcu była kuchnia. Nagle zauważył jeszcze jedne drzwi pod schodami.

Gdy je otworzył, poczuł dochodzący z piwnicznych ciemności na dole nieprzyjemny, przejmująco wilgotny odór. Po omacku odnalazł wyłącznik światła i nacisnął go. W świetle żarówki dostrzegł kamienne schody. Ostrożnie zszedł po nich na dół i znalazł się w wąskim, pobielonym korytarzyku, który przechodził w następny, z różnymi magazynami po obu stronach. Było tam zwykle składowisko rupieci, jakie można znaleźć w piwnicy każdego starego domu, a wiele pomieszczeń najwyraźniej służyło kiedyś do przechowywania zapasów. Zrozumiał wkrótce, że traci czas, zawrócił więc do wyjścia.

- Małe poszukiwanko, co? - zapytał Sam Crowther ze szczytu schodów.

Stał w drzwiach, trzymając pod pachą dubeltówkę, Chavasse zatrzymał się na ułamek sekundy u stóp schodów, potem zaczął na nie wolno wchodzić.

- Zgadza się. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ani trochę. - Crowther cofnął się do korytarza, a jego twarz rozjaśnił jowialny uśmiech. - A gdzie pan Youngblood?

- Gdzieś w pobliżu.

- A Molly? - Crowther zachichotał lekko i nawet ten chichot udało mu się uczynić sprośnym. - Tak jakby byli razem, co? - Wbił łokieć w żebra Chavasse'a.

- Nic o tym nie wiem.

Obłudny uśmiech Crowthera zapowiadał jakieś bliżej nie określone niebezpieczeństwo, które dosłownie wisiało w naelektryzowanym powietrzu. Chavasse czekał, napięty i gotowy na wszystko. Nieprzyjemny, tępy ból pod szwami na zranionej ręce uświadamiał mu, że właściwie mógłby równie dobrze być jednoręki. Crowther nachylił się nad nim, mrugając porozumiewawczo.

- Tam, za domem jest takie małe cosik, co mogłoby pana naprawdę bardzo zainteresować, takie małe cosik, czego nie pokazałbym nigdy byle komu. A że właśnie jesteśmy, jak widzę, sami, może to akurat odpowiednia pora, żeby to panu pokazać.

Odwrócił się i poszedł do kuchennych drzwi, a Chavasse za nim. Przeszedł przez obejście i otworzył furtkę, wiodącą na małe podwórko. Wyglądało na to, że jest tam jedynie stara studnia, otoczona ceglany, metrowej wysokości murem. Stał przy niej Billy ze swoim stałym głupekowatym uśmiechem na twarzy, a jego wielkie łapy były lekko zgięte, jakby na coś czekały.

- No, załatwmy się z tym, Billy, mój chłopcze. - Crowther zachichotał i zwrócił się do Chavasse'a. - Najlepszy do rozdzielenia przeciwników jest kawałek kobiecego ciała. Zapewniam pana, że moja Molly nie jest może żadną pięknoscią z obrazu, ale ma wszystko co trzeba na swoim miejscu, a po pięciu latach w zamknięciu pan Youngblood nie będzie chyba zbyt wybredny, no nie?

Gdy pokrywa studni z łoskotem spadła na ziemię, Chavasse poczuł silne szturchnięcie lufą strzelby w plecy. Obrócił się wtedy gwałtownie, lewą ręką przytrzymał lufę przy swoim boku, a krawędzią prawej dłoni walnął Crowthera z boku w szyję, aż stary krzyknął z bólu, zatoczył się i upadł bezwładnie w tył. Chavasse wyciągnął prawą ręką dubeltówkę spod lewego ramienia, niezdarnie odciągnął kciukiem kurki i rzucił się w kierunku furtki. Kiedy zwrócił się w jej stronę, Billy wydał okrzyk wściekłości i chwiejnym krokiem ruszył do przodu.

Wyglądał jak jakaś przedpotopowa bestia, posuwająca się ciężkimi krokami, ze swą odrażającą twarzą, wykrzywioną dziką wściekłością. Wielkie łapy, jakby stworzone do rozszarpywania i mordowania, wyciągnięte były przed siebie. Chavasse nie dał mu podejść bliżej. Uniósł strzelbę jedną ręką, oparł ją na lewym ramieniu i wystrzelił. Pierwsza kula trafiła Billy'ego prosto w klatkę piersiową, zabijając go na miejscu, druga oderwała mu pół twarzy, rozbryzgując krew i kawałki mózgu na kamienie. Jego ciało, odrzucone siłą pocisku z powrotem pod studnię, zawisło przez chwilę na jej krawędzi i nagle zniknęło w środku bez żadnego dźwięku. W studni dał się słyszeć tylko głośny plusk, a potem wszystko ucichło.

Chavasse przyklęknął na jedno kolano przy Crowtherze, który leżał z twarzą przyciśniętą do ziemi i cicho jęczał. W jego kieszeniach znalazł garść naboju, którymi ponownie załadował dubeltówkę, po czym kopnął Crowthera w żebra i cofnął się.

- Wstawaj.

Crowther z trudnością podniósł się i oparł o mur, który otaczał podwórko. Chavasse podszedł i brutalnie przyłożył koniec lufy do podbródka Crowthera.

- Saxton i Hoffa są tam na dole, tak czy nie? Crowther milczał, więc lufa boleśnie wgniotła mu się w ciało.

- Tak, czy nie?

Skinął lekliwie potakująco głową.

- Tak.

- Ilu jeszcze? Znowu się zawahał i Chavasse odciągnął kurki strzelby.

- Na miłość boską, niech pan nie strzela! - wrzasnął Crowther. - Czterech - to wszystko.

- To wszystko - powtórzył z odrazą Chavasse, przewyciężając ogarniającą go pokusę pociągnięcia za spust. - A więc inni byli bezpiecznie przekazywani dalej?

- Zgadza się. Ja tylko słuchałem rozkazów.

- I to jeszcze jak słuchałeś. A ci, których przekazywałeś dalej? Dokąd się udawali od ciebie?

- Nie wiem. - Krzyknął z przestraczem, gdy lufa strzelby uniosła się groźnie. - Naprawdę nie wiem, mówię panu. Zostawiałem ich na skrzyżowaniu, piętnaście kilometrów stąd, a stamtąd zabierał ich ktoś inny.

Usłyszeli odgłos szybkich kroków i dochodzące od strony domu wołanie Youngblooda, który usiłował przekrzyczeć deszcz.

- Drum, gdzie jesteś?

- Tutaj - odkrzyknął Chavasse. Nadbiegł po chwili, zatrzymując się przy furtce.

- Co tu się stało?

- Pomyśleli, że mogłoby mi być wygodniej na dnie studni, ale w końcu Billy postanowił mnie w niej zastąpić. Zaciekawi cię pewnie, że tam właśnie są też Saxton i Ben Hoffa. Youngblood podszedł do Crowthera.

- Ty parszywy sukinsynu.

Z zimnym, złowróżbnym spokojem, bardzo powoli przeszukał starego, niedbale wytrząsając na kamienie całą zawartość jego kieszeni. Znalazł portfel, w którym było około sześćdziesięciu funtów, i kiwnął głową do Chavasse'a.

- To powinno się przydać. Co on ci powiedział?

- Nie każdy kończył w studni. Większość klientów była przekazywana dalej.

- Dokąd?

- Tego nie wie. Mówi, że zostawiał ich zawsze na skrzyżowaniu jakies piętnaście kilometrów od farmy, skąd byli zabierani.

Youngblood odwrócił się do Crowthera i zaśmiał się chrapliwie.

- Chcesz mi wmówić, że nigdy nie kręciłeś się jeszcze trochę w pobliżu, żeby zobaczyć, co się potem z nimi dzieje, nigdy nikogo nie śledziłeś? Akurat, ucho od śledzia!

Wskazującym palcem dotknął znaczącym gestem swego oka, po czym walnął Crowthera w dołek z całej siły, aż ten krzyknął, zgiął się wpół i upadł na kolana. Kolejne uderzenie nogą zwaliło go na plecy.

- Spróbuj teraz z nim znowu porozmawiać - rzucił Youngblood.

Chavasse przyklęknął przy Crowtherze na jednym kolanie, podnosząc mu nieco głowę.

- On nie żartuje - na twoim miejscu gadałbym.

Crowther z przerażeniem w oczach skinął głową i starł krew z policzka.

- Dobra, powiem wam. Dwa razy śledziłem klientów.

- I co się stało?

- Zabierał ich meblowóz i wysadzał na przedmieściu Shrewsbury.

- A potem?

- Czekali tam na jednej z ławek i za każdym razem przychodziła po nich ta sama osoba - ślepa kobieta z psem - przewodnikiem. Nazywa się Hartman - Rosa Hartman i mieszka w Alma Cottage w Bampton. Jest podobno jakąś wróżką.

W tym momencie na małe podwórko wpadła bez tchu dziewczyna, z wypiekami na twarzy. Zastygła w prześwicie furtki ciężko dysząc i z przestachem rozglądała się gwałtownie dokoła.

- Nic ci się nie stało, Harry?

Youngblood odwrócił się i podszedł do niej.

- Jeśli nie, to na pewno nie dzięki tobie, ty mała parszywa dziwko. Do wieczora mógłbym już leżeć na dnie tej studni i tyle byś mnie widziała.

Zaczęła płakać, czepiając się go rękami, a jej twarz wyglądała jeszcze brzydziej niż kiedykolwiek.

- Ja nie wiedziałam, Harry. Ja nie wiedziałam.

- Ty myślisz, że ja z byka spadłem, czy co? - Youngblood złapał ją ze złością za włosy, szarpiąc jej głowę do tyłu.

Trzema szybkimi, wielkimi krokami Chavasse przeskoczył podwórko i odciągnął go od niej.

- Zostaw ją w spokoju, Harry. Ona nie miała z tym nic wspólnego. Podejrzewała coś, a gdyby o tym nie wspomniała, pewnie by mnie tu teraz nie było.

Spuszczony na chwilę z oka Crowther dostrzegł szansę dla siebie i ruszył biegiem w kierunku dziurawego muru, w którym brakowało wielu cegieł. Youngblood odwrócił się z ostrzegawczym okrzykiem, ale było już za późno, więc Chavasse przytrzymał go za ramię, podczas gdy Crowther salwował się ucieczką, pędząc na złamanie karku po drugiej stronie muru.

- Nie przejmuj się nim - musimy myśleć o sobie i jak najszybciej się stąd wynosić.

Kiedy wychodzili na główne podwórze farmy, dziewczyna złapała Youngblooda za rękaw i zaczęła go szarpać.

- Weźmiesz mnie ze sobą, Harry?
- Bądź tak dobra i odczep się - rzucił, odpychając ją brutalnie.
- Ale przecież nie możesz mnie zostawić - błagała. - Nie teraz.
- O czym ona mówi? - zapytał Chavasse.
- A skąd, u diabła, mam wiedzieć? - niecierpliwie warknął Youngblood. -

Wyniosę trochę żarcia z domu, załaduję to do forda i ruszajmy!

- Harry, proszę cię!

Dziewczyna płakała gorzko i Chavasse spojrzał na nią, marszcząc brwi. Nie podobał mu się pomysł zostawienia jej, choćby tylko dlatego, że Crowther mógł wrócić. Jednak z drugiej strony zawadzałaby tylko w czasie ucieczki. A może jednak nie...? Położył jej rękę na ramieniu.

- Molly, umiesz prowadzić?

Spojrzała na niego z gwałtowną nadzieją.

- Jasne, że umiem.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Youngblood.

- Tak tylko myślałem - odparł Chavasse. - Co będzie, jeśli natkniemy się gdzieś na blokadę drogową? To jest zawsze możliwe. Gdyby dziewczyna jechała jakiś kilometr przed nami fordem, a my za nią w ciężarówce do przewożenia bydła, miałyby dość czasu, by zawrócić i ostrzec nas. Youngblood powoli pokiwał głową.

- Wiesz, myślę, że coś w tym rzeczywiście jest. - Odwrócił się do Molly, kładąc jej rękę na ramieniu. - Zrobisz to, mała?

Wpatrywała się w niego z wyrazem niczym nie zmaconej radości w oczach.

- No jasne, jeśli mi tylko pozwolisz, Harry. Jeśli tylko pozwolisz.

Pięć minut po tym, jak ciężarówka zjechała ze wzgórza w dół polnym traktem, Sam Crowther wynurzył się spomiędzy drzew na tyłach farmy i pokuśtykał przez podwórze. Usta miał mocno spuchnięte, a klatka piersiowa bolała go tak, że ledwo mógł oddychać.

Oparł się o zlew, wkładając głowę pod kran z zimną wodą, a kiedy się wyprostował i sięgnął po ręcznik, ujrzał Simona Vaughana, który stał w otwartych drzwiach.

- Witam, panie Smith - odezwał się niepewnie. - Nie spodziewałem się tu pana zobaczyć.

- Pomyślałem sobie, że wpadnę sprawdzić, czy wszystko poszło gładko - powiedział Vaughan. - Wyglądasz, jakbyś wracał z wojny, stary.

- Ciężko było, ale poradziłem sobie - umysł Crowthera pracował gorączkowo. - Przywiózł pan ze sobą pieniądze, mam nadzieję.

- Już ich zlikwidowałeś? - spytał Vaughan. - Muszę przyznać, że bardzo sprawnie pracujesz. Gdzie są?

- W studni z tyłu.

- Mogę rzucić okiem?

Crowther zawahał się.

- Nie zobaczy pan wiele. Ale proszę bardzo.

Ciągle padało, kiedy weszli na małe podwórko i zbliżyli się do studni. W środku cuchnęło potwornie, ale głębokość cembrowiny nie pozwalała dojrzeć, co leżało na dnie.

- Więc wrzuciłeś ich tam, tak? - spytał Vaughan.

- Zgadza się. Vaughan westchnął.

- Wiesz co, naprawdę jesteś najbardziej paskudnym łgarzem, jakiego znam. Właśnie przechodziłem przez wzgórza, stary. Widziałem Youngblooda i Drummonda, jak odjeżdżali tą twoją ciężarówką do przewozu bydła.

Była to prawda, tyle że niecała, gdyż przyszedł o pięć minut za późno i nic nie wiedział o wyjeździe Molly w fordzie.

- Masz córkę, nie? Gdzie ona jest?

- Chyba się zmyła - wyszeptał Crowther.

- Rozumiem. Czy powiedziałaś naszym przyjaciołom o Alma Cottage w Bampton i o Rosie Hartman? - Wyraz twarzy Crowthera był dla niego jednoznaczną odpowiedzią. Łagodnie pokręcił głową. - Nie powinieneś być tego zrobić, przyjacielu. Nie powinieneś.

W wyjętej z kieszeni ręce błysnęło ostrze sprężynowego noża. Zadał cios od dołu, uderzając w podbródek Crowthera, stal noża przeszła przez podniebienie aż do mózgu. Śmierć nastąpiła natychmiast, a Vaughan wyciągnął nóż, wytarł starannie jego ostrze o marynarkę Crowthera, po czym przerzucił ciało przez krawędź studni i wepchnął je do środka. Odwrócił się i odszedł w deszcz, pogwizdując fałszywie.

8. Daleki grzmot zapowiada burzę

Vaughan jechał szybko zielonym triumphem spitfire'em i po przejechaniu około trzydziestu kilometrów minął ciężarówkę do przewożenia bydła. Po kolejnych dwóch kilometrach wyprzedził starego czarnego forda, za kierownicą którego siedziała Molly, ale nie zwrócił na to uwagi. Nigdy nie spotkał pasierbicy Crowthera, a poza tym nie miał powodu sądzić, że była ona w jakikolwiek sposób związana z uciekinierami.

Za Blackburn zatrzymał się przy przydrożnej kawiarni, znalazł budkę telefoniczną i zadzwonił do Worldwide Exports w Londynie.

- Cześć, złotko. Pomyślałem sobie, że powinienem dać ci znać o wizycie u naszego przyjaciela. Niestety, nie potrafił stanąć na wysokości zadania. Obawiam się, że obie przesyłki są w drodze do Bampton.

- To wielka szkoda. Co w związku z tym zamierzasz robić?

- Zamknąłem ostatecznie nasze rachunki z tą filią firmy - nie było sensu tego dłużej ciągnąć. Mogę być w Bampton przed towarem, więc zadbam, żeby został odpowiednio przyjęty.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Lepiej, żebym to uzgodniła z kim trzeba. Podaj mi swój numer, to oddzwonię za piętnaście minut..

Vaughan wyszedł z budki telefonicznej, usiadł na wysokim stolku przy barze i zamówił kawę. Młoda kelnerka podała mu ją z uśmiechem - dobrze ubrany, przystojny nieznajomy wywarł na niej z początku korzystne wrażenie. Vaughan jednak wpatrywał się w nią zbyt nachalnie, więc wycofała się szybko, wyraźnie rozczarowana jego zachowaniem. Przypalając papierosa spojrzął z niechęcią na swe odbicie w lustrze za barem. Nie martwił się tym, co zdarzyło się na farmie - wymazał to już z pamięci jako nieistotne. Nurtowała go tylko najbliższa przyszłość - czy Baron będzie chciał, żeby osobiście pozbył się Youngblooda i Drummonda.

Trzydziestotrzyletni Simon Vaughan był synem oficera armii zawodowej w randze pułkownika, którego żona opuściła, gdy chłopiec miał osiem miesięcy. Od tej pory jego życie było długą wędrówką po obcych domach, internatach, z krótkimi przerwami na odwiedziny u ojca w zagranicznych bazach wojskowych. Wyrósł na przystojnego, roześmianego młodzieńca, lubianego przez wszystkich, mimo że w swoim postępowaniu kierował się przede wszystkim zimnym wyrachowaniem i nie przejawiał żadnych uczuć.

Po ukończeniu Sandhurst dostał przydział oficerski do pułku spadochroniarzy i tam zdarzył się pierwszy, raczej nieprzyjemny incydent. Chorobliwe wręcz egzekwowanie przez porucznika Vaughana dyscypliny i sadyzm w trakcie szkolenia przejawiały się między innymi w stosowaniu karnych ćwiczeń w pełnym rynsztunku bojowym wobec tych, którzy nie byli w stanie sprostać jego wymaganiom. Doprowadziło to wkrótce do fizycznego załamania się czterech ludzi, co spowodowało bardzo krytyczny raport lekarza batalionu, a mimo to porucznik otrzymał jedynie nagane.

Na Cyprze został odznaczony Military Cross za osobiste unieszkodliwienie dwóch członków EOKA, którzy ukryli się w wiejskim domku w górach Troodos i odpierali skutecznie wszelkie próby wydobycia ich stamtąd. Przedostał się do nich przez dach i zakończył sprawę strzałami z bliska, w sposób, który od początku nie pozostawiał wątpliwości co do jego osobistej odwagi. Chociaż późniejsze odkrycie, że dwaj powstańcy mieli tylko jeden karabin, spowodowało w pewnych kręgach poważne wątpliwości odnośnie jego postawy. Wątpliwości te potwierdziły się, gdy awansowany do stopnia kapitana Vaughan ponownie postawił swoich przełożonych w dwuznacznej sytuacji. Tym razem podczas akcji w górach Radfan w Jemenie Południowym prowadził bezlitosną zabawę w chowanego z partyzantami arabskimi. Chcąc wydobyć informacje z pewnego Beduina, Vaughan w pełnym słońcu przymocował go kołkami do ziemi i zastosował metody znacznie bardziej popularne wśród tubylców niż wśród Brytyjczyków. Torturowany przez niego jeniec zmarł, a Vaughana pozbawiono dowództwa i po cichu, aby uniknąć skandalu, przeniesiono w stan spoczynku.

Jego ojciec, idąc za radą lekarzy wojskowych, nakłonił go do pobytu w prywatnej instytucji wypoczynkowo-leczniczej. Jednak już po dwóch tygodniach Vaughan wyszedł stamtąd i wszelki ślad po nim zaginął, w każdym razie rodzina nie miała o nim żadnych wiadomości.

Psychiatrzy nie mieli większych trudności z postawieniem diagnozy. Simon Vaughan był psychopata - człowiekiem umysłowo chorym, niezdolnym do ludzkich uczuć, pozbawionym wszelkich norm moralnych. Odebranie życia człowiekowi nie wywierało na nim większego wrażenia, niż na przeciętnym osobniku wywiera przypadkowe rozdeptanie mrówki. Był perfekcyjnym, całkowicie nieczułym narzędziem zbrodni o genialnym, niezwykle sprawnym umyśle, toteż robota, którą wykonywał dla swego obecnego mocodawcy, wspaniale odpowiadała jego talentom.

Do kawiarni weszła jakaś kobieta w średnim wieku i zamówiła kawę, po czym skierowała się w stronę budki telefonicznej. Vaughan uprzedził ją jednak, zdejmując kapelusz i posyłając jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

- Czy bardzo by pani przeszkadzało, gdybym poprosił panią o wstrzymanie się minutę lub dwie? Czekam na telefon.

Kobieta uśmiechnęła się, poprawiając włosy, a serce jej zaczęło nagle kołatać z bliżej nie określonych powodów.

- Ani trochę.

- Jak to miło z pani strony.

Ciągle jeszcze uśmiechał się do niej przez szybę budki, kiedy zadzwonił telefon. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Cześć, złotko. Co dobrego?

- Jedź do Bampton i dopilnuj, żeby towar został przesłany dalej do naszego łącznika w Gloucester. Zadzwoni tam wcześniej i uprzedź go.

- Kompletna usługa?

- Jak najbardziej. I Simon, on nie chce, żebyś był w cokolwiek osobiście zamieszany, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Jeśli sytuacja będzie tego

wymagała, masz wolną rękę, ale na razie miej tylko oko na wszystko i informuj o rozwoju sytuacji.

- Zrobi się, złotko.

Wyszedł z budki, uśmiechając się pogodnie do pani w średnim wieku.

- Okropnie mi przykro, że panią chwilę zatrzymałem. Musi mi pani pozwolić doliczyć swoją kawę do mojego rachunku.

Zaczerwieniła się jak młoda dziewczyna.

- To nie jest konieczne, naprawdę.

- A jednak nalegam.

Zostawił hojny napiwek i wyszedł gwizdząc cicho, a kobieta westchnęła i odezwała się do dziewczyny za barem.

- Nieczęsto w dzisiejszych czasach można spotkać młodzieńca z takimi manierami.

Kelnerka skinęła głową.

- Tak, to prawdziwy džentelmen, prawda? Każdy to przyzna.

W tym czasie Vaughan uruchomił silnik swego spitfire'a i szybko odjechał.

Wskazówka szybkościomierza starej ciężarówki uparcie odmawiała przekroczenia na podziałce pięćdziesięciu pięciu kilometrów i kiedy dojeżdżali do Bampton, dochodziło już w poł do czwartej.

Chavasse klepnął Youngblooda w ramię, zwracając uwagę na Molly, która stała przy czarnym fordzie w zatoczce nie opodal. Zatrzymali się obok niej. Padało intensywnie i było chłodno, ale policzki miała zaróżowione i wyglądała na wesołą i podekscytowaną, kiedy Youngblood wyskoczył z szoferki obok niej.

- Jak poszło, mała?

- Świetnie - odparła. - Żadnych kłopotów. Odwrócił się do Chavasse'a, który właśnie wyłonił się zza maski ciężarówki, obchodząc przód samochodu.

- Jaki był ten adres?

- Alma Cottage.

- To może być wszędzie.

- Racja - niech lepiej Molly sprawdzi to sama. My nie powinniśmy za bardzo wchodzić ludziom w oczy.

Youngblood skinął głową, wyciągnął portfel Crowthera i wyjął z niego pięć funtów.

- Pewnie zaczyna ci brakować benzyny. Zatankuj do pełna i znajdź chwilę czasu, aby kupić mi jakieś papierosy i gazetę, jeśli możesz.

Odjechała szybko i zniknęła w deszczu, a dwaj mężczyźni wskoczyli z powrotem do szoferki ciężarówki.

- Udało się nam na razie przynajmniej jedno, jak dotąd nie ma blokad drogowych - odezwał się Youngblood. Chavasse wzruszył ramionami.

- Jesteśmy teraz o ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Fridaythorpe. Nie szukają nas z pewnością tutaj, przynajmniej na razie.

- Wobec tego zupełnie niepotrzebnie wlekleśmy się tym starym pudłem. Mogliśmy pozbyć się dziewczyny i wziąć forda. Chavasse'owi z trudem udało się opanować gniew.

- Może ty wolałbyś błąkać się sam po Bampton i afiszować się wszędzie ze swoją twarzą, próbując znaleźć Alma Cottage? - warknął. - Bo ja nie. Jeśli jeszcze naszych podobizn nie ma na pierwszych stronach gazet, to powinny się tam niedługo znaleźć. - Potrząsnął głową. - Nie wiem jak ty, ale ja uważam, że ona jest nam naprawdę potrzebna i warto ją zabrać z nami.

- Może i masz rację - przyznał niechętnie Youngblood.

- Nawet na pewno.

Chavasse rozwalił się na siedzeniu obok kierowcy i paląc jeden z ostatnich papierosów, rozważał w myślach ich aktualną sytuację. Jak na razie była niezła. Fakt, że Crowther oszukał swoich pracodawców, śledząc przekazywanych uciekinierów aż do Bampton, był dla nich prawdziwym zrzędzeniem losu. Bez tego nie mieliby żadnych szans i cała ta jego maskarada - długie, nużące miesiące w więzieniu - nie zdałaby się zupełnie na nic.

Ale to, co działo się teraz, było chyba nawet jeszcze ważniejsze. Zastanawiał się, co będzie miała im do powiedzenia Rosa Hartman, niewidoma kobieta, o której wspomniał Crowther. Możliwe, że bardzo niewiele.

Na zakręcie drogi ukazał się ford i po chwili zatrzymał się przy nich. Molly wysiadła z niego, niosąc karton papierosów i gazetę.

- Alma Cottage jest po tej stronie wioski - powiedziała. - Właśnie przejeżdżałam obok niego. Po prawej stronie szosy jest wąska uliczka. Jakieś dwieście metrów za zakrętem. Ten dom stoi mniej więcej w jej połowie. Bardzo ładny.

Youngblood otworzył gazetę i jego podobizna prawie wyskoczyła mu na spotkanie. Nie było to zdjęcie z więzienia, ale zrobione w czasie procesu na schodach sądu. Uśmiechał się na nim do tłumu, wznosząc rękę w beztróskim pozdrowieniu.

Znając go tylko z tego zdjęcia, tysiące zwykłych obywateli w całym kraju doszło zapewne wtedy do wniosku, że potraktowano go zbyt surowo. Podobnie jak dzisiaj muszą mieć w głębi serca nadzieję, że uda mu się uciec.

- Nieźle, co? - odezwał się, a w jego głosie zabrzmiała nuta dumy, której nie udało mu się ukryć. - Dajemy tym sukinsynom popalić.

Ciągle to samo. Stała potrzeba rozgłosu za wszelką cenę, to samo podświadome dążenie do samounicestwienia. Chavasse nic jednak nie powiedział. Pod zdjęciem Youngblooda było też jego zdjęcie, ale dużo mniejsze. Harry zachichotał.

- Prawie o tobie zapomnieli, Drum. To nawet nie jest do ciebie podobne.

Chavasse pokręcił głową.

- Zostawiam ci całą popularność, którą uwielbiasz. Natomiast jeśli o mnie chodzi, nie zaznam spokoju, dopóki o nas obu nie będzie najwyżej trzy linijkowej wzmianki na końcu ósmej szpalty, na dwunastej stronie.

- A to nie nastąpi wcześniej niż za tydzień. Ci chłopcy z gazet umieją wyczuć dobry temat, gdy na niego trafią. - Youngblood złożył gazetę i cisnął ją do szoferki ciężarówki. - Tak czy siak, ruszajmy.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem - powiedział Chavasse. - Moglibyśmy wpaść w niezłe tarapaty. Nie ma sensu, żebyśmy obaj tam szli.

- To nawet nie najgorszy pomysł. - Youngblood uśmiechnął się szeroko i otoczył dziewczynę ramieniem. - Ja zostanę tutaj i popilnuję Molly.

- W porządku - spokojnie stwierdził Chavasse. - Jeśli nie wrócę za godzinę, lepiej pojaw się i sprawdź, co się ze mną dzieje.

- Jeśli jeszcze tu będę - zauważył sardonicznie Youngblood.

Chavasse skinął głową. jeśli się nad tym zastanowić, to rzeczywiście nie jest to niemożliwe.

- W takim razie wezmę połowę naszej forsy - na wypadek, gdybym miał radzić sobie dalej sam.

Youngblood wyraźnie się zawahał, wyjął jednak portfel Crowthera.

- Czemu nie? - Odliczył dwadzieścia pięć funtów, dając je Chavasse'owi razem z garścią drobnych. - A skąd ja mam mieć pewność, że nie postanowisz zwać na własną rękę?

- Nie będziesz miał tej pewności - stwierdził Chavasse, odwrócił się szybko i odszedł w mokrą od deszczu ciemność.

Youngblood spojrzał na dziewczynę, która wpatrywała się w niego nieśmiało. Oczy jej błyszczały, a twarz miała mokrą od deszczu i, o dziwo, nie wyglądała wcale tak brzydko. Objął ją w pasie, ściskając delikatnie. Chodź, mała, mamy przed sobą pewnie dość długie oczekiwanie. Możemy równie dobrze wejść na tył ciężarówki i usadowić się tam wygodnie.

- Dobrze, Harry.

Poszła pierwsza, a kiedy pomagał jej przejść przez klapę z tyłu, ręce trzęsły mu się z podniecenia.

Alma Cottage okazała się starym budynkiem z szarego kamienia w połowie pokrytym bluszczem - stojącym dość daleko od uliczki. Długi, wąski ogród był mokry od deszczu, a jedynymi kwiatami, jakie w nim rosły - wczesne żonkile. Wyłożoną płytami chodnikowymi ogrodową drogą Chavasse doszedł do ganku i przeczytał napis na mosiężnej tabliczce przy drzwiach: „Madame Rosa Hartman - konsultacje tylko w czasie umówionych wcześniej spotkań”.

Zapukał. Wewnątrz domu usłyszał najpierw dziwne od głośy jakby szybki tupot czyichś kroków, tak lekki, że podobny do szelestu suchych liści poruszanych wiatrem, następnie niskie warknięcie potężnego psa, a potem zapadła znowu całkowita cisza. Po chwili dobiegł go rytmiczny stukot laski, drzwi domu zostały gwałtownie otwarte i stanęła w nich jakaś kobieta.

Miała co najmniej siedemdziesiąt lat, twarz koloru pożółkłego pergaminu i włosy związane z tyłu w staromodny kok. Ubrana była w tweedowy kostium, którego długa spódnica sięgała jej prawie do kostek. W lewej ręce trzymała

hebanową laskę. Prawą dłoń pewnie zaciskała na obroży psa, należącego z pewnością do najwspanialszych przedstawicieli tego gatunku, jakich Chavasse widział w życiu - podpalanego ciemnobrązowego dobermana.

Z głębi gardła psa zaczęło wydobywać się ostrzegawcze, niskie warczenie, przypominające narastanie dalekiego grzmotu zapowiadającego burzę, ale kobieta szarpnęła mocno obrożę i pies ucichł.

- Spokojnie, Karl. Kto tam?

Mówiła z lekkim austriackim akcentem, a kiedy pochyliła się do przodu, mógł się dobrze przyjrzeć jej zamglonym, opalizującym oczom.

- Zastanawiałem się, idąc tutaj, czy zechciałaby mi pani poświęcić kilka chwil swojego czasu?

- Czy życzy pan sobie konsultacji zawodowej?

- Tak jest.

- Przyjmuję tylko umówionych wcześniej klientów. Muszę być bardzo ostrożna. Prawo jest niezwykle surowe w tych sprawach.

- Jestem tu tylko przejazdem - powiedział. - Byłbym naprawdę niesłychanie zobowiązany. Bardzo mi panią polecano.

- Rozumiem. - Najwyraźniej wahała się. - Pańskie nazwisko?

- Nie ma znaczenia. Ważne jest tylko miejsce, do którego się udaję.

- A jak brzmi jego nazwa?

- Babilon!

Nastąpiła chwila milczenia, następnie kobieta cofnęła się nieznacznie i powiedziała:

- Myślę, że będzie lepiej, jak pan jednak wejdzie, młody człowieku.

Hall, wyłożony dębową boazerią, był bardzo przytulny; na błyszczącym stole, przed dużym złożonym lustrem, rosły w doniczce hiacynty. Zamknęła drzwi, puszczając dobermana, który natychmiast podszedł do Chavasse'a.

- Tędy - powiedziała, idąc do drzwi na drugim końcu hallu.

Był to najwyraźniej gabinet, bo ściany pokryte były książkami, ale na palenisku kominka wesoło płonął ogień, a przez okno z romboidalnymi szybami widać było drzewa w deszczu i rzekę za nimi.

Kobieta usiadła przy małym, okrągłym stole i wskazała mu wolne krzesło naprzeciwko. Chavasse usiadł, a doberman ułożył się na podłodze i utkwiał baczny wzrok w jego oczach.

- Kim pan jest, młody człowieku? - zapytała Rosa Hartman.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Wzruszyła ramionami.

- Może i nie. Proszę mi dać rękę.

Wprawilo to Chavasse'a w chwilowe zakłopotanie.

- Mogę zapytać, po co?

- W moim fachu jest to zawsze konieczne. Zajmuję się przepowiadaniem przyszłości, zapewne wie pan o tym?

Położył lekko rękę na jej dłoni, która była zimna i nieco zwiotczała. Z niewiadomego powodu przypomniał sobie niespodzianie swoją bretońską babkę, czyste lniane prześcieradła, rozmaryn i lawendę. Gwałtownie wzmocniła uścisk dłoni i poczuł nagle mrowienie, jakby pod wpływem niewielkiego wstrząsu elektrycznego. Nieco dziwnie i zupełnie niespodziewanie jej oczy rozszerzyły się, a wyciągniętą szybko przed siebie wolną ręką dotknęła jego twarzy i przebiegła po niej delikatnie palcami.

- Czy coś jest nie w porządku?

Pokręciła głową, ciągle marszcząc brwi.

- Spodziewałam się czegoś nieco innego, to wszystko.

Potrzymała jego rękę jeszcze przez chwilę, po czym puściła ją.

- Kto pana tu przysłał?

- Czy to ważne?

- Nie, zna pan hasło, ale nie spodziewałam się pana.

- Więc nie może mi pani pomóc?

Rozłożyła ręce w geście całkowitej bezradności typowym dla mieszkańców kontynentu, tutaj niewiele lub nawet nic nie znaczącym.

- Nie poczyniono żadnych kroków, by zabrać pana do następnego punktu kontaktowego. Nie ma przygotowanego transportu.

- Mam transport.

- Rozumiem. Jest pan sam?

Zawahał się.

- Tak. Jej dziwne, kremowe oczy zdawały się przewiercać go na wylot, tak że od razu domyślił się, iż wie o jego kłamstwie. - Czy może mi pani jednak jakoś pomóc?

- Tak, myślę, że tak. Przynajmniej mogę panu wskazać dalszą drogę. Czy znajdzie pan tam to, czego pan szuka, to już zupełnie inna sprawa.

Uśmiechnął się - brzmiało to prawie tak, jakby w jakiś dziwny sposób próbowała go ostrzec.

- Zaryzykuję.

- W takim razie niech pan podejdzie do biurka, które stoi za panem, i otworzy prawą górną szufladę pod przegródkami na listy. Znajdzie pan tam kilkanaście identycznych wizytówek - proszę wziąć jedną z nich. Zaznaczam jednak, że nie wiem i nie chcę wiedzieć, co jest na niej napisane.

Chavasse wstał, na co pies poruszył się niespokojnie. Nie zwracając jednak na niego uwagi, podszedł do biurka i otworzył wskazaną szufladę. Wizytówka miała czarne obwódki i napis wydrukowany ozdobną gotycką czcionką: Krematorium i Dom Wiecznego Spoczynku „Długi Kurhan” - Hugo Pentecost - Dyrektor. Podano także numer telefonu - Phenge.

- Teraz proszę już iść, młody człowieku - odezwała się Rosa Hartman.

Chavasse przystanął ze zmarszczonymi brwiami, obracając tę szokującą wizytówkę w palcach. Coś tu było wyraźnie nie w porządku - i to nawet bardzo wyraźnie. Wyczuwał to z całą pewnością, ale nie wiedział co. Nie było jednak czasu

na dalsze pytania, zwłaszcza że pies wstał i zawarczał cicho - Chavasse zrobił ostrożnie krok do tyłu. Jeśli istnieje na ziemi jakaś rasa psów, które są w stanie z łatwością zabić człowieka, to jest nią właśnie doberman pinczer - jeśli poszczuje się go na kogoś lub na coś, może zatrzymać go jedynie karabin maszynowy.

- Może pan wyjść sam - powiedziała. - Karl od prowadzi pana do drzwi.

Chavasse zrozumiał tę przejrzystą aluzję, a doberman natychmiast ruszył naprzód, jakby pojmował każde jej słowo.

- Chciałbym pani podziękować, madame Hartman. Na prawdę bardzo mi pani pomogła.

- To się jeszcze okaże, młody człowieku - powiedziała cicho. - Niech pan już idzie.

Na końcu uliczki stała budka telefoniczna - wszedł do niej i szybko nakręcił numer centrali Biura w Londynie. W kilka sekund uzyskał połączenie i poprosił Mallory'ego. Po chwili usłyszał głos Jean Frazer.

- Niestety, pan Mallory jest nieobecny. Mówi jego sekretarka. Czy mogę w czymś pomóc?

- Jean, tu Paul. - Po drugiej stronie usłyszał gwałtowny głęboki wdech. - Gdzie on jest?

- W Ministerstwie Spraw Zagranicznych na konferencji wywiadu państw NATO. A gdzie ty jesteś?

- W Shrewsbury i znalazłem świeży trop. Słyszałaś kiedyś o miejscu zwanym Phenge?

- Nie, ale mogę go szybko dla ciebie poszukać. - Wróciła w ciągu kilku minut. - Zaraz za Gloucester.

- Tam właśnie teraz jedziemy. Jak na razie wszystko idzie doskonale. Od tej pory muszę mieć jednak Mallory'ego w pogotowiu. Następnym razem zadzwonię już może po to, by przekazać mu wiadomości, na które czeka, a prawdopodobnie będę dysponował tylko sekundami.

- Powiem mu.

- Jesteś grzeczną dziewczynką. Będę musiał kończyć.

- Uważaj na siebie.

- Nie martw się o mnie. Rzucę wyzwanie bogom i umówię się z tobą na randkę w następną środę. Pokażemy się wszystkim, a potem pójdziemy do Saddle Room.

- Będę na to niecierpliwie czekać.

Odłożył słuchawkę i wśród ciągle padającego ulewnego deszczu ruszył w powrotną drogę. Kiedy dotarł do zatoczki, dziewczyna siedziała w furgonetce, a Youngblood stał przy ciężarówce i palił papierosa. Wyszedł szybko na spotkanie nadchodzącego Chavasse'a.

- No i co?

- Niewiele. Dała mi tę wizytówkę.

Youngblood przeczytał i szybko spojrzął na niego.

- Była szczerą?
- A skąd, u diabła, miałbym to wiedzieć?
- Więc być może pakujemy się w jakieś kłopoty?
- Bardzo możliwe.

Youngblood pokiwał w zamyśleniu głową.

- Z drugiej strony nie będą chyba wzywać gliniarzy na pomoc, nie? To chyba ostatnia rzecz, jaką chcieliby zrobić.

- Właśnie - stwierdził Chavasse. - Co zapowiada, że zmieni się to w miłą, prywatną wojnę.

Youngblood znalazł w fordzie stary atlas Związku Automobilowego i przekartkował go szybko.

- Phenge jest zaraz za Gloucester - oznajmił. - To jakieś sto dwadzieścia kilometrów stąd. Gdybyśmy wzięli forda, moglibyśmy tam być za kilka godzin.

- Wpadłem na ten sam pomysł - powiedział Chavasse. - Kilka kilometrów wstecz przy drodze, którą jechaliśmy, zauważyłem szlaban, zagradzający wjazd na leśny trakt. Gdybyśmy zostawili tam ciężarówkę, mogłabyostać dzień czy dwa, zanimby ją ktokolwiek odkrył, zwłaszcza przy takiej pogodzie.

- Świetnie - stwierdził Youngblood. - Ja się tym zajmę. Ty jedź za mną fordem.

Zrobił się nagle wesoły i uśmiechnięty, jak dzieciak na wycieczce. Wgramolił się do ciężarówki i odjechał.

- Najwyraźniej jest zadowolony z życia, co? - rzucił Chavasse, siadając za kierownicą forda.

Dziewczyna zaczerwieniła się, dzięki czemu przez chwilę wyglądała prawie ładnie, a on nagle przypomniał sobie stare bretońskie przysłowie: „Miłość nawet brzydką kobietę czyni piękną...”

O Boże, jeszcze to, jakby cała sprawa nie była wystarczająco skomplikowana. Zwolnił hamulec, westchnął ciężko i odjechał.

Kiedy frontowe drzwi zamknęły się za Chavasse'em, Simon Vaughan wyszedł z za długiej, sięgającej do podłogi, aksamitnej zasłony przy oknie i podszedł do stołu.

- Cieszę się, że była pani rozsądna, staruszek. Myślę, że wszystko poszło bardzo dobrze, a pani?

- To zależy całkowicie od punktu widzenia.

- Kłamał oczywiście - to znaczy, kiedy mówił, że jest sam. To było jasne. Przypuszczam, że Youngblood został przy końcu tej uliczki, czekając na to, co się tu stanie. Czy mógłbym skorzystać z telefonu?

- Przecież już pan mnie samą wykorzystał. Jak mogę więc pana powstrzymać od korzystania z mojego telefonu?

- Niech już pani nie będzie taka. - Posługując się znanym sobie numerem kierunkowym, połączył się z jakimś zamiejscowym rozmówcą. Odezwał się natychmiast, gdy tylko usłyszał głos po drugiej stronie. - Hugo? Chciałem tylko potwierdzić, że twoje dwie przesyłki są już w drodze. Tak, kompletna usługa. Do zobaczenia. Odłożył słuchawkę, po czym wyjął rękawiczki i założył je.

- Muszę już lecieć. Jeszcze się spotkamy, Roso. Doberman przemknął obok niego jak czarny cień, podbiegł do swojej pani i zaczął obwąchiwać jej rękę. Pokręciła przecząco głową.

- Wątpię.

- Niech pani nie będzie głupia - powiedział. - Żyje tu pani od czterdziestego szóstego roku z fałszywym paszportem i z fałszywą tożsamością - a to jeszcze gorzej. Słówko w odpowiednim miejscu i...

- Źle mnie pan rozumie - odpowiedziała spokojnie. - Wcale nie stałam się nagle odważniejsza i zdolna wam się przeciwstawić. Jestem za stara, żeby móc wykazać się takim rodzajem odwagi, którego by do tego było trzeba. Chciałam po prostu powiedzieć, że to pan nie zobaczy mnie już nigdy więcej. Był wyraźnie zaintrygowany.

- Mogę zapytać, dlaczego?

- Ponieważ wkrótce pan umrze - stwierdziła krótko. Wpatrywał się w nią z tym swoim lekkim, stale przyklejonym do twarzy, charakterystycznym uśmiechem.

- Naprawdę tak pani sądzi?

- Umiem patrzeć inaczej niż ci, którzy mają wzrok, panie Smith, czy jak tam się pan nazywa. Śmierć już pana naznaczyła. Czuję to.

I, o dziwo, uwierzył jej. Zupełnie nagle zdała sobie sprawę, że uwierzył jej całkowicie i gdy zaczął się śmiać, dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Przynosisz nieszczęście, stara wiedźmo. Dlaczego nie miałbym posłać cię na tamten świat przed sobą?

Wyciągnął sprężynowy nóż, którym zamordował Crowthera, a jego ostrze otworzyło się natychmiast z ledwo dosłyszalnym trzaskiem.

Doberman zawarczał i sierść zjeżyła mu się na karku, ale uspokoił się, gdy poklepała go łagodnie.

- Bo Karl najpierw zabiłby pana.

- Od razu wypełniając w ten sposób twoją przepowiednię? Cóż za przemiły piesek. - Vaughan zachichotał, złożył nóż i wrzucił go z powrotem do kieszeni. - Nie, Roso, nie wolno mi za bardzo ci tego ułatwiać. Śmierć musi mnie znaleźć - ja sam nie pójde jej szukać. Ale spotkaliśmy się już przedtem. Ona zna dobrze moją twarz.

Słyszała, jak wychodzi przez korytarz, a potem trzaska drzwiami, przez cały czas pogwizdując pod nosem fałszywie. Gdzieś w pobliżu schwyty w pułapkę lekki podmuch wiatru okrążył pokój, próbując się z niego wydostać, po czym zamarł w rogu.

9. Popioły do popiołów

W pomieszczeniu służącym do balsamowania zwłok było bardzo cicho. Hugo Pentecost pracował sam, ubrany w gumowy fartuch umazany krwią. Nie było żadnej potrzeby, by angażował się osobiście w wykonywanie takich prac w swojej firmie, ale lubił na wszelki wypadek trzymać rękę na pulsie, a poza tym zawsze znajdował prawdziwą przyjemność w starannym wykonywaniu takiej pracy.

Zajmował się właśnie zwłokami młodej kobiety i był w trakcie usuwania jej wewnętrznych organów. Zwykle przy tym zajęciu zakłada się gumowe rękawiczki, Pentecost jednak nigdy nie umiał zmusić się do tego, ze względu na większą wrażliwość i precyzję gołych rąk.

Udało mu się już usunąć zawartość jamy brzusznej i zabierał się właśnie z lekkim pogwizdywaniem do gardła. Z rękoma aż do łokci unurzany w krwi wyglądał jak rzeźnik.

Znajdujące się za nim drzwi otworzyły się i wszedł wysoki, wychudzony mężczyzna o zapadniętych policzkach i matowych oczach. Podobnie jak Pentecost, miał na sobie ciężki, gumowy fartuch.

- Mogę w czymś pomóc, panie Pentecost?

- Właśnie skończyłem na dzisiaj, George - odparł Pentecost. - Jej czaszka będzie musiała poczekać do jutra. Mam jeszcze sporo papierkowej roboty. Pomóż mi wsadzić ją do zbiornika, dobrze?

Szybko polał ciało wodą z węża, splukując krew, po czym podnieśli je razem, trzymając między sobą, i włożyli do dużego, szklanego zbiornika z formaliną. Z cichym pluskiem ciało zanurzyło się w cuchnącym płynie, obracając się kilkakrotnie, zanim znieruchomiło pod jego powierzchnią, o jakieś pół metra od dna, a jej włosy rozsypały się w tył na kształt wachlarza, zupełnie jak u żywego człowieka.

- Szkoda, prawda, panie Pentecost? - odezwał się George. - Była naprawdę piękna.

- Piękni czy brzydki, młodzi czy starzy, oto jak wszyscy oni kończą, George - wesoło rzucił Pentecost. - Czy wszyscy pozostali pracownicy już wyszli?

- Tak, proszę pana.

- Nie musisz się więc już tu także kręcić. Jak powiedziałem, zostanę tu jeszcze nieco dłużej.

- W takim razie rzeczywiście już pójdę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Pentecost. Obiecałem żonie, że wybierzemy się gdzieś na kolację.

- Polecam Złotego Smoka na Michener Street - poradził Pentecost. - Robią naprawdę wspaniałe *chow mein*.

- Dziękuję panu. Chyba tak zrobimy.

George wycofał się, a Pentecost podszedł do umywalki i zmył krew z rąk. Następnie zdjął gumowy fartuch, przeszedł do łazienki na drugim końcu sali, rozebrał się i wziął prysznic. Ciepła woda dała mu poczucie przyjemnego odprężenia i po chwili, stojąc przed lustrem, nucił cicho. Włożył miękką, białą koszulę, czarny krawat i pięknie uszyty garnitur z ciemnego samodziału.

Ze swymi śnieżnobiałymi włosami i okularami w złotej oprawce wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać dyrektor Krematorium i Domu Wiecznego Spoczynku „Długi Kurhan”. Na pewno zaś nie przypominał w niczym Harry’ego Marksa podrzędnego kryminalisty, który odsiedział w młodości trzy wyroki, zanim nauczył się nieco życia. Teraz sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Przez pomieszczenie do balsamowania zwłok doszedł do korytarza i ruszył nim dalej. Na grubych dywanach jego kroki były całkowicie bezszelestne. Bez wątplenia w całym zakładzie panowała specyficzna, trudna do określenia aura żałobnej powagi i dystygnowanej elegancji. Wszędzie dostrzec można było polerowane drewno, mosiądz i kwiaty, a kryształy migotały w delikatnym świetle przyćmionych lamp.

Tego właśnie zapewne oczekiwali jego klienci. Dla wielu ludzi było to przecież ostatnie miejsce ziemskiego spoczynku. Sprzeczne z ogólnie przyjętymi zasadami moralnymi było to jedynie, że środki na bogaty wystrój i urządzenie zakładu zostały zdobyte w wyniku morderstwa, chociaż każdy zwykły sąd prawdopodobnie stwierdziłby, że nie ma podstaw, by pociągnąć kogokolwiek do odpowiedzialności karnej.

Biedna Alice Tisdale myślałaby jednak zapewne zupełnie inaczej. Samotna, siedemdziesięcioletnia wdowa, posiadająca niezłą emeryturę i trzynaście tysięcy funtów odłożone na koncie w banku, została urzeczona przez miłego nieznanego, który zaoferował jej swój parasol pewnego deszczowego poranka w Brighton.

Kiedy tylko urządził się jako szofer i majster do wszystkiego w domu na Forest Hill, Harry Marks przystąpił do realizacji swojego precyzyjnie obmyślonemu planu, którego celem było doprowadzenie najpierw do psychicznego załamania się staruszki, a potem do ostatecznego podkopania jej stanu zdrowia. Umarła w końcu, częściowo w wyniku niedożywienia, a częściowo na skutek przyspieszonego procesu starzenia się, zostawiając wiernemu Harry’emu wszystko, co posiadała.

A próby podważenia testamentu podjęte przez jej dwóch kuzynów i siostrzeńca spełzły na niczym.

Ale Harry Marks należał już do innego, minionego świata. Teraz jest już tylko Hugo Pentecost i „Długi Kurhan”, a przynajmniej był - aż do ubiegłego roku, gdy pojawił się u niego Smith ze swym cichym, kulturalnym głosem i niepokojąco dokładną znajomością dawnych wyczynów Harry’ego Marksa. Tak więc, musiał teraz tańczyć tak, jak mu zagrano. Z drugiej strony, starał się jednak podchodzić do zaistniałej sytuacji filozoficznie. Wiedział dobrze z własnego doświadczenia, że fortuna kołem się toczy. Był przekonany, że jego szansa jeszcze nadejdzie, a wtedy...

Schodząc po pięknych marmurowych schodach, myślał o zainstalowanym w zakładzie w ubiegłym tygodniu nowym piecu krematoryjnym, który mógł spopielić całkowicie ludzkie ciało w piętnaście minut. Nie tak jak stare piece, w których trwało to do półtorej godziny i które pracowały tak nieskutecznie, że zazwyczaj trzeba było później jeszcze dodatkowo kruszyć czaszkę i miednicę. Pomyślał przy okazji także o tym, że Smith nie był właściwie szczególnie potężnej budowy. W jego przypadku palenie zwłok nie trwałoby zapewne dłużej niż dziesięć minut.

Kiedy przechodził przez foyer znajdujące się u stóp schodów, kierując się w stronę swego biura, wyczuł nagle czyjąś obecność - przy recepcyjnym biurku stała młoda kobieta. Odwróciła się w jego stronę z wyraźnym zakłopotaniem.

- Szukam pana Pentecosta.

- To ja. Czym mogę pani służyć?

Łagodny zazwyczaj ton głosu Pentecosta był tym razem trochę ostrzejszy. Młoda kobieta była niezbyt piękna, właściwie nawet brzydka. To mógłby jej jeszcze darować, ale zniszczony płaszcz, kiepskiej jakości buty i chustka, po chłopsku zawiązana wokół głowy, burzyły jego wewnętrzny spokój, budząc zbyt wiele wspomnień z dzieciństwa spędzonego wśród nędzy Whitechappel. I do tego jeszcze ten jej północny akcent, z charakterystycznym przeciąganiem samogłosek, który zawsze go raził.

- Tak naprawdę to chciałam się z panem zobaczyć w sprawie krewnej. Mojej ciotecznej babki.

- Właśnie umarła?

- Dziś rano. Chciałabym prosić, żeby się nią zajęto. Pan jest samym panem Hugo Pentecostem?

- Tak, to ja. Już mówiłem. - Pentecost westchnął. - Moje drogie dziecko, bardzo głęboko ci współczuję, ale muszę zaznaczyć, że usługi, które tutaj oferujemy, są bardzo specjalistyczne i raczej drogie.

Rozpaczliwie szukając odpowiedzi, aby tylko podtrzymać rozmowę, Molly przypomniała sobie niedawną śmierć matki i coś, o czym wspominał Crowther.

- Była ubezpieczona.

- Mogę zapytać, na jaką kwotę?

- Dwieście funtów. Czy to by wystarczyło?

Pentecost od razu poczuł przyływ wyraźnej sympatii do niej, co dało się poznać po głosie, który natychmiast stał się znacznie cieplejszy i głębszy. Objął dziewczynę ramieniem.

- Na pewno coś się da zrobić. Może mogłabyś przyjść ponownie jutro rano?

- Miałam nadzieję, że uda mi się załatwić sprawę jeszcze dziś wieczorem. Czy jest już zbyt późno?

- Wszyscy moi pracownicy poszli już do domu. Zostałem tu zupełnie sam. - Zawahał się, chciwość jednak zwyciężyła. - Ale właściwie czemu nie? Ustalenie najważniejszych szczegółów nie zajmie nam wiele czasu. Chodź do mojego biura.

Otworzył drzwi, wprowadzając ją do pokoju umeblowanego ze znakomitym, choć dość ponurym smakiem. Wskazał jej krzesło, a sam usiadł za swym biurkiem.

Otworzył duży notatnik leżący na biurku i wyjął czarno - złote wieczne pióro.

- Tylko kilka szczegółów - twoje nazwisko?

- Crowther - Molly Crowther.

- Adres.

- Nie jestem pewna. - Patrząc na nią, zmarszczył brwi i Molly odpowiedziała z wahaniem. - To jest na drodze, która prowadzi do Babilonu.

Zapadła cisza. Właściciel zakładu wpatrywał się w Molly bez słowa, a lekki, uprzejmy uśmiech powoli zniknął z jego twarzy.

- Rozumiem.

Zamknął notatnik, otworzył szufladę i schował go do niej. Jednocześnie drugą ręką wyjął z tej samej szuflady rewolwer kalibru trzydzieści osiem i wsunął go do kieszeni, co całkowicie uszło uwagi dziewczyny. Wstał.

- Czy zechciałabyś pójść za mną?

Molly podniosła się - zaczęła ją ogarniać panika. Nie miała najmniejszego pojęcia, co dalej robić i bezwiednie wyciągnęła ku niemu rękę, nieśmiało dotykając jego ramienia, kiedy przechodził obok niej.

- Nie ma powodów do niepokoju - powiedział uspokajająco Pentecost. - Porozmawiamy na górze.

Poszła za nim na górę po schodach i dalej zupełnie cichym, tłumiącym odgłos kroków korytarzem. Zatrzymał się przed jakimiś obitymi skórą drzwiami i otworzył je, przepuszczając ją przed sobą.

Niepewnie weszła do słabo oświetlonego pomieszczenia. Najpierw poczuła silny zapach formaliny, a potem zobaczyła ciało pływające w zbiorniku, które w słabym świetle nabrało zielonkawego odcienia, z włosami unoszącymi się w cieczy jak wodorosty. Poczwała nagłą suchość w gardle, a kiedy drzwi się zatrzasnęły, odwróciła się, gwałtownie chwytając oddech.

Pentecost zatrzymał się przy stole, aby otworzyć stojącą za nim dużą mahoniową skrzynkę, zawierającą narzędzia chirurgiczne. Wybrał ostry jak brzytwa skalpel i obejrzał go pod światło. Lekko marszcząc brwi, zbadał dokładnie stan jego ostrza. Zupełnie nagle wyciągnął rękę przed siebie, łapiąc dziewczynę za płaszcz i przyciągając tak blisko, że ich twarze były od siebie oddalone zaledwie o jakieś trzy lub cztery centymetry. Cała jego elegancja i uprzejmość zniknęły - nawet głos mu się zmienił, kiedy przyłożył jej ostrze noża do gardła.

- Nie wiem, w co ty się, u diabła, próbujesz bawić ze mną, ale powinno was być dwoje, tyle wiem z całą pewnością. Gdzie twój przyjaciel? Gadaj zaraz albo poderżnę ci gardło.

Molly nie wytrzymała, odepchnęła go od siebie gwałtownie i zaczęła głośno krzyczeć.

Ford stał w cieniu kępy buków, o jakieś sto metrów od głównej bramy posiadłości „Długi Kurhan”.

Youngblood widział między drzewami niewyraźne kontury domu i zapalone światło na podjeździe. Był to ten typ neogotyckiej budowli, jaki postawił sobie zapewne któryś z nowobogackich filarów imperium brytyjskiego w okresie jego najpełniejszego rozkwitu, za panowania królowej Wiktorii. W ciemności i deszczu granice posiadłości były niewidoczne, ale, sądząc po rozmiarach domu, była ona także bardzo rozległa. Usłyszał czyjeś kroki i po chwili stanął przed nim Chavasse.

- Według wywieszki na bramie zamykają tę budę o szóstej. Która jest teraz?

Youngblood spojrzął na nafosforyzowaną tarczę swego zegarka.

- Piętnaście po szóstej.

- Kiedy tam byłem, ktoś wyjechał, ale jeszcze jeden samochód ciągle stoi przed domem. Widziałem go już z daleka od bramy - wygląda mi na mercedesa.

- Tylko szef firmy może mieć taki wóz - stwierdził Youngblood.

- To brzmi logicznie. - Chavasse zmarszczył brwi. - Nadal jednak coś mi się nie podoba w tej całej sprawie.

- Może masz i rację - powiedział Youngblood z niecierpliwością - ale co z tego? Musimy zaryzykować - nie mamy wyboru.

- Być może, ale ja zawsze wolę się zabezpieczyć. - Chavasse oparł rękę o otwartą szybę fordą i zwrócił się do dziewczyny. - Mogłabyś tu sporo pomóc, Molly. Chcesz spróbować?

- Cokolwiek zechcecie - odparła, wychodząc na deszcz. - Powiedzcie mi tylko, co mam robić.

- Podejź prosto do frontowych drzwi i zapytaj o Hugo Pentecosta. Jak będziesz z nim sama, wciśnij mu jakiś kit. Powiedz, że zmarła właśnie twoja cioteczna babka i chcesz jej załatwić kremację. W którymś momencie rozmowy użyj słowa Babilon. Nieważne, jak to zrobisz, bylebyś tylko je wypowiedziała. Jego reakcja powinna być dla nas bardzo interesująca.

- A my? - spytał Youngblood.

- My rozejrzemy się tymczasem od innych stron. Ja spróbuję dostać się na tyły domu, a ty spróbuj od frontu albo gdzieś z boku. - Chavasse odwrócił się do Molly. - Będziemy trzymali się blisko ciebie, Molly. Myślisz, że dasz radę? Skinęła głową, a Youngblood podszedł do niej.

- Nie martw się, mała. Jeśli tylko tknie cię palcem, złamię mu kark.

Były to puste słowa, zuchwałe i butne, a jednak dziewczyna natychmiast schwyciła go mocno za ramię.

- Wiem, że mogę na tobie polegać, Harry.

Nawet Youngblood musiał zrozumieć, co naprawdę kryło się za tą uwagą i kiedy jej odpowiadał, poklepując dziewczynę niezdarnie po ramieniu, w jego głosie można było wyczuć pewne skrepowanie.

- Krzyknij tylko głośno, gdy będziesz mnie potrzebowała, a zaraz przybiegnę.

Gdyby cała ta sytuacja nie była aż tak piekielnie dramatyczna, Chavasse wybuchnąłby zapewne śmiechem. Nie było jednak czasu na melodramatyczne sceny, toteż z udaną stanowczością przejął inicjatywę, mówiąc rozkazującym tonem:

- No, jazda. Idź prosto aleją w kierunku frontowych drzwi, Molly, i pamiętaj, co ci powiedziałem - będziemy trzymali się blisko ciebie.

Deszcz z wielkim szumem spływał między drzewami. Chavasse i Youngblood stali w cieniu przy bramie, patrząc, jak dziewczyna wchodzi na schody przy wejściu. Za oszkloną ścianą widać było puste foyer, toteż pchnęła drzwi i podeszła do biurka recepcjonisty. Chavasse szybko odwrócił się do Youngblooda.

- Dobra. Ja obejdem dom od tyłu. Ty obserwuj z tej strony, co się tam będzie działo.

Zniknął między drzewami, a Youngblood ruszył w kierunku domu, kryjąc się wśród krzewów rododendronów, którymi bardzo gęsto obsadzona była jedna strona alei.

Ciągle widział przeszklony całkowicie od frontu hali, w którym nagle na prowadzących z góry schodach pojawił się jakiś mężczyzna, w ciemnym garniturze, o całkowicie siwych włosach.

Przez moment stał rozmawiając z Molly, a Youngblood przykucnął tymczasem w cieniu, czekając. Gdy po chwili zobaczył, że weszli gdzieś przez drzwi po lewej stronie hallu, wstał i podszedł bliżej.

Ukrył się w cieniu na dole schodów, za jedną z kolumn. Po kilku minutach drzwi zostały otwarte i Molly wraz z siwowłosym mężczyzną poszli po schodach na górę.

Youngblood pozostał w ukryciu, marszcząc brwi i zastanawiając się, co robić, po czym po raz pierwszy - z pewnym zdziwieniem - zdał sobie sprawę, że aż do tej pory wszystkie decyzje podejmował najwyraźniej Drummond. Podjął wreszcie decyzję pod wpływem tak prozaicznego czynnika, jakim było nagłe nasilenie ulewy. Szybko wbiegł po schodach, pchnął ciężkie, szklane drzwi i wszedł do środka.

Było tu cicho jak w grobie i przez moment zawahał się i stanął, ale zaraz przeszedł szybko przez foyer i zaczął wchodzić na górę po marmurowych schodach. Dotarł już do półpiętra i zdążył jeszcze zrobić tylko kilka kroków, kiedy usłyszał głośny krzyk Molly.

Zareagował instynktownie i zaczął biec. Molly krzyknęła znowu, tym razem wołając go po imieniu. Być może to, co się później stało, było swoistym sprzężeniem zwrotnym - reakcją na krzyk dziewczyny. A może był to przejaw jego dumy czy nawet wstydu, albo ogromnej próżności, nie pozwalającej mu zawieść oczekiwania dziewczyny. Może po prostu nie chciał, by uznała go za słabego. Nie wiadomo.

Gwałtownym ruchem otworzył obite skórą drzwi i wpadł w nie skulony, tylko przelotnie obejmując wzrokiem makabryczną scenerię, w której się znalazł. Pentecost stał przy ławce z groźnie uniesionym skalpelem, trzymając Molly za gardło.

Gdy krzyknęła ponownie, Youngblood złapał Pentecosta za ramię, odwrócił jednym ruchem i grzmotnął nim o stół. Dziewczyna rzuciła się w jego ramiona z twarzą nagle pobrzydłą i wykrzywioną strachem, ale kiedy głaskał ją uspokajająco, Pentecost podniósł się na nogi i wyciągnął z kieszeni rewolwer.

Pierwszym wyraźnym uczuciem, jakie ogarnęło gwałtownie Youngblooda, był gniew na własną głupotę - że dał się w to wciągnąć. Jednak już w tej samej chwili jakiś nadrzędny instynkt samozachowawczy, który należał do najbardziej charakterystycznych cech jego osobowości, sprawił, że odepchnął od siebie dziewczynę i rzucił się do drzwi.

Pentecost strzelił - pocisk wywiercił równy otwór w grubej szklanej tafli zbiornika i formalina trysnęła z niego jasnym strumieniem. Youngblood stanął i prostował się powoli.

- Tak już lepiej - odezwał się Pentecost. - Ręce na głowę. - Mocno pchnął dziewczynę do przodu. - Teraz ruszajcie, oboje. Chciałbym powiedzieć: „róbcie, co każe, a nic się wam nie stanie”, ale moja stara poczciwa babcia uczyła mnie zawsze mówić prawdę.

Youngblood ruszył korytarzem z śmiertelnie pobladłą dziewczyną przy boku. Nie ma ani śladu Drummonda, ale właściwie tylko tego można się było po nim spodziewać - pomyślał z goryczą. Sam odgłos strzału wystarczył, by każdy uciekał i szukał dla siebie schronienia.

Pod eskortą Pentecosta zeszli po schodach i przeszli przez szerokie, zakratowane drzwi z tyłu hallu. Po zapaleniu światła Youngblood stwierdził, że stoi na podeście schodów, prowadzących do pomieszczenia, które kiedyś najwyraźniej było piwnicą na wino. Teraz było starannie pomalowane na biało i czarno. Na jednej ścianie znajdowała się jakaś skomplikowana tablica rozdzielcza, a na drugiej kilka par stalowych drzwi do pieców.

Youngblood nie potrzebował już żadnych dodatkowych wyjaśnień. To było bez wątplenia właśnie krematorium i pomimo panującego tu z oczywistych powodów ciepła zrobiło mu się nagle zimno, gdy schodził tam po schodach.

- To dopiero będzie przyjemność - odezwał się Pentecost, który ostrożnie przeszedł obok swoich więźniów i zatrzymał się przed nimi z lekkim uśmiechem na ustach. - Czy wiecie, gdzie jesteście?

- Nie potrzebuję instrukcji - rzucił Youngblood. Pentecost sięgnął do przełącznika na ścianie. Nastąpił nagły huk, a kiedy ciężkie drzwi jednego z pieców zostały odciągnięte, dojrzeli wewnątrz płomienie, wystrzelające ze wszystkich stron wokół paleniska z cegieł, widocznego za grubą przegrodą ze zbrojonego szkła.

- Dziesięć minut - powiedział. - Tylko tyle to trwa, a potem... garść popiołu.

Dziewczyna zanosła się nagle rozpaczliwym płaczem i prawie przewróciła się na Youngblooda, tak że musiał ją podtrzymać. Pentecost ponownie obszedł ich ostrożnie i stanął plecami do schodów.

- To właśnie nazywam kompletną usługą - powiedział. - Dla większości moich klientów skorzystanie z niej jest luksusem, który kosztuje dwieście gwinei. Wy skorzystacie z niej za darmo.

W tym samym momencie za jego plecami Chavasse przeskoczył przez poręcz schodów, lądując na posadzce z głuchym łoskotem. Pentecost zaczął się odwracać, ale było już za późno. Chavasse błyskawicznie zacisnął ramię na jego szyi, wytrącając mu jednocześnie rewolwer z ręki.

Pentecost zatoczył się do przodu, gdy Chavasse uwolnił go z uchwytu i popchnął mocno. Próbował właśnie ponownie złapać oddech, kiedy dopadł do niego Youngblood z twarzą bladą z wściekłości i strachu. Ty sukinsynu! - krzyknął. - Ty parszywy sukinsynu!

Złapał Pentecosta za koszulę i uderzał go raz za razem w twarz mocnymi ciosami prawej pięści, dopóki tamten nie padł na kolana.

Chavasse siłą rozdzielił ich, odpychając Youngblooda pod ścianę zdecydowanym ruchem.

- W porządku - na razie wystarczy. Musimy jeszcze z nim sobie porozmawiać!
- Nie spieszyło ci się tu zbyttnio, co? - rzucił wściekle Youngblood.

Chavasse zignorował go. Postawił Pentecosta na nogi i pchnął go na krzesło, stojące przy małym stoliku. Właściciel zakładu wyglądał na kompletnie oszołomionego i wierzchem dłoni mechanicznie starł krew z ust.

- Nazywam się Drummond, a to jest Harry Youngblood - odezwał się Chavasse. - Może o nas słyszałeś?

Pentecost skinął głową.

- Jesteście tymi dwoma, którzy uciekli wczoraj ze szpitala w Manningham. Czytałem o tym w gazecie.

- Spodziewałeś się nas?

Pentecost zawahał się i Youngblood wystąpił krok naprzód z zaciśniętą pięścią.

- Może ja z nim pogadam.

Pentecost skurczył się ze strachu, zasłaniając się ręką obronnym gestem.

- Nie ma potrzeby. Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

Chavasse skinął na Youngblooda.

- Dobra, daj mu szansę. - Powtórzył pytanie. - Spodziewałeś się nas?

Pentecost przecząco pokręcił głową.

- Miałem dziś po południu telefon, więc kogoś oczekiwałem. Nie wiedziałem, że to będziecie wy dwaj.

- Kto dał ci polecenie?

- Nazywa siebie Smith. To wszystko, co o nim wiem.

- Możesz go opisać.

- Elegancki i wygadany. - Wzruszył ramionami. - Dopóki nie zabierze się do roboty, ma się wrażenie, że to ktoś z wyższych sfer.

Youngblood spojrział na Chavasse'a tak, jakby starał się coś sobie usilnie przypomnieć.

- Mackenzie?

- Na to wygląda. - Chavasse ponownie popatrzył na Pentecosta. - Spodziewasz się go?

- Nie powiedział nic konkretnego.

Youngblood obejrzał sobie właśnie pieczę i teraz odwrócił się.

- Czy wszystkich, których przysła ci Smith, traktujesz w ten sposób?

Pentecost zaprzeczył ruchem głowy.

- Większość z nich od razu przekazuję dalej. Youngblood wpatrywał się w niego z prawdziwym przerażeniem.

- Większość z nich!! - odwrócił się do Chavasse'a. - Na miłość boską, wyciągnij z niego, co nam potrzeba, i wynośmy się stąd. Ten typ wywołuje we mnie dreszcze.

- A ci ludzie, których przekazywałeś dalej - odezwał się Chavasse. - Dokąd ich kierowałeś? Pentecost nawet się nie zawahał.

- Zostawiałem ich na skrzyżowaniu dróg osiem kilometrów stąd. Zazwyczaj zabierała ich ta sama furgonetka.

- Zostawaleś, żeby podpatrzeć?

Skinął potakująco głową.

- Nie wiedziałem i miałem nie wiedzieć, dokąd jada, ale zapisałem numer rejestracyjny wozu i poprosiłem przyjaciela, który ma odpowiednie kontakty, żeby sprawdził go dla mnie. Furgonetka należy do faceta nazwiskiem Bragg. Prowadzi małą przystań we wsi zwanej Upton Magna, niedaleko Lulworth, na wybrzeżu Dorset. To jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Youngblood obrócił się do Chavasse'a podniecony.

- To brzmi obiecująco, Drum. Może to już koniec trasy.

Chavasse wolno pokiwał głową, nie odwracając wzroku od twarzy Pentecosta. Nagle obrotowym magazynkiem rewolweru walnął go w głowę i odciągnął kurek.

- Ty cholerny łgarzu!

Pentecosta ogarnęła panika, co było widać na jego poszarzałej ze strachu twarzy.

- To prawda, przysięgam! Na grób mojej matki, przy sięgam!

- Nigdy nie miałeś matki - powiedział z odrazą Youngblood i zahaczył stopą o krzesło, pociągając je jednocześnie, tak że Pentecost runął na podłogę.

Leżał tam, trzęsąc się ze strachu, a Chavasse patrzył na niego zimno. Rachunek z tym typem nie został jeszcze do końca wyrównany, ale trzeba z tym będzie poczekać do bardziej odpowiedniej chwili. Wsunął rewolwer do kieszeni i chwycił Molly za ramię.

- Dalej, wynosimy się stąd.

- A co z tym? - spytał Youngblood trącając Pentecosta nogą.

- Nic nie może nam zrobić - odparł Chavasse. - Jeśli będzie próbował ich ostrzec, że jesteśmy w drodze do nich, to przede wszystkim będą chcieli wiedzieć, skąd dowiedzieliśmy się, dokąd jechać. Jak myślisz, jak długo pożyłby po tym?

Pentecost spojrział na niego przez ramię, a jego oczy rozszerzyły się ze strachu, co świadczyło, że znaczenie słów Chavasse'a dotarło do niego z przerażającą jasnością. Youngblood zaśmiał się ochryple.

- Tu masz rację. Nie ma jednak powodu, dla którego nie miałby jeszcze trochę odpocząć. - I kopnął go z całej siły w bok głowy.

Pentecost przekoziołkował i zatrzymał się pod ścianą. Uderzenie odebrało mu oddech. Z trudem chwytając powietrze, usłyszał jeszcze tylko trzask zamykanych drzwi nad schodami i zapadł w głęboką ciemność.

Ból spowodowany kilkakrotnymi uderzeniami w twarz spowodował reakcję łańcuchową. Najpierw wyrwał go z ciemności, a potem stopniowo przywracał do przytomności. Ktoś walił go nadal po twarzy i powtarzał w kółko jego nazwisko. Kiedy otworzył oczy, ujrzał bladą twarz Simona Vaughana.

- Nie wyglądasz najlepiej, stary. Przypuszczalnie byli już tu i odjechali?

Pentecost podźwignął się na łokciu.

- Było ich troje - poskarżył się. - Nie dwóch, jak pan mówił. Dwóch facetów i dziewczyna.

- A więc tu się znalazła! A niech mnie, byłem nieostrożny. Miałem niestety mały kłopot z samochodem po drugiej stronie Worcester. Spóźniłem się przez to prawie godzinę. - Pomógł Pentecostowi wstać i posadził go na krzesło. - Kiedy wyjechali?

Pentecost spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest prawie siódma. Nie więcej niż pół godziny temu. - Aha. Powiedziałeś im, dokąd jechać, prawda? Przystań Bragga w Upton Magna? - Pentecost wpatrywał się w niego, nie wiedząc co powiedzieć. Otępiający ból w głowie nie pozwalał mu myśleć. Vaughan westchnął. - Nie powinienesz być tego robić, wiesz o tym.

- Nic na to nie mogłem poradzić - bronił się znużonym głosem Pentecost. - Zabiliby mnie, gdybym im nie powiedział. Zresztą pewnie zdąży ich pan jeszcze złapać.

- Na pewno zdążę - spokojnie stwierdził Vaughan. - Mam dwa poważne atuty: bardzo szybki samochód i to, że dokładnie wiem, dokąd jadę. Oni natomiast będą musieli trzymać się bocznych dróg i sprawdzać każdy drogowskaz, a w Dorset bardzo trudno się w nocy zorientować w terenie.

Pentecost poruszył się niespokojnie, gdy Vaughan obszedł go dookoła.

- Czy wiesz, na czym polega twój największy problem, stary? Wydaje ci się, że masz rozum, ale go niestety nie masz - tylko pewną ilość nędznego sprytu krętacza. Nie mogę więc powiedzieć, że miałem przyjemność cię znać.

Jego zaciśnięta prawa pięść uniosła się i opadła z potężną siłą, zadając cios, który rozłupał kość podstawy czaszki Pentecosta. Właściciel zakładu pogrzebowego wydal z siebie nienaturalny, zdławiony okrzyk i zsunąłby się z pewnością z krzesła, gdyby Vaughan go nie podtrzymał.

Obszedłszy szybko krzesło od przodu, Vaughan przyklęknął na jedno kolano, a potem wyprostował się unosząc ciało Pentecosta strażackim chwytem przewieszony na jego prawej ręce.

Podszedł do pieca, uruchomionego przez Pentecosta i wyłączył go. Gdy płomienie zniknęły powoli, otworzył szklaną przegrodę i uruchomił dwumetrową płytę, przesuwającą się automatycznie na rolkach. Zrzucił na nią ciało Pentecosta, starannie układając jego kończyny, a następnie cofnął płytę wraz z jej ładunkiem do środka pieca i zamknął szklaną przegrodę.

Przerwał na chwilę, by zapalić papierosa, po czym przekręcił przełącznik. Wydawało się, że ciało mężczyzny wyskakuje z ciemności, gdy wielkie języki ognia wysunęły się ze wszystkich stron ceglanego paleniska, aby je objąć. Jego ubranie zajęło się natychmiast i nagle - zupełnie nie do wiary - jedno ramię uniosło się, płonąc jak pochodnia, a całe ciało poruszyło się.

Vaughan przez kilka minut przyglądał się temu z ciekawością, a potem zamknął zewnętrzne, stalowe drzwi, przekręcił tarczę przełącznika na maksimum i szybko wszedł po schodach.

Kilometr za Gloucester zatrzymał się przy budce telefonicznej i nakręcił numer Worldwide Exports w Londynie.

- Cześć, złotko. Niestety, sprawy wcale nie potoczyły się tu zgodnie z planem. Nasi przyjaciele są teraz w drodze do Dorset.

- To wielka szkoda. Co zamierzasz wobec tego robić dalej?

- Chyba zajmę się już tym wszystkim osobiście. Dopilnuję, aby dostali zwykły transport, ale jakoś nie wydaje mi się, żeby mogło im się udać przybić do brzegu.

- To brzmi obiecująco. Przekażę tę wiadomość.

- Zrób to. Popłynę za nimi w innej łodzi, żeby osobiście zdać później relację. Powinienem tam być w porze śniadania.

- Dam mu znać.

Połączenie zostało przerwane i Vaughan wyszedł pogwizdując cicho. Wsiadł do spitfire'a i odjechał szybko.

10. Trzy do czterech, nawałnice

Upton Magna była wsią rybacką, która w dawnych czasach miała nawet pewne znaczenie, ale obecnie liczba jej mieszkańców zmniejszyła się do niewielu ponad dwustu osób i w zatoczce mało było łodzi.

Bragg miał swoją przystań na cyplu przy starym kamiennym molo, a był to przedziwny zespół walących się budynków z desek, bezładnych stert starzejącego się drewna i łodzi wyciągniętych z wody, które wyglądały, jakby już nigdy nie miały żeglować.

Minęło właśnie wpół do dziesiątej, gdy Vaughan wjechał na główną ulicę wsi. Mniej więcej w połowie tej ulicy stał mały, pobielany bar, z parkingiem z tyłu. Vaughan zostawił tam swego spitflre'a, ukrywając go starannie w cieniu i resztę drogi przebył piechotą.

Światło paliło się tylko w jednym oknie budynku, znajdującym się na prawo od frontowych drzwi, dokładnie pod wyblakłym szyldem z napisem: „George Bragg - Budowniczy łodzi - Jachty do wynajęcia”. Wszedł po stopniach na rozklekotany ganek i zajrzał przez okno do środka.

Pokój, który zobaczył, był w połowie biurem, w połowie pomieszczeniem mieszkalnym, do tego beznadziejnie zabałaganionym i brudnym. Za drewnianą barierką przy wejściu George Bragg czytał gazetę, siedząc przy stole, który pokrywała chyba co najmniej tygodniowa sterta brudnych naczyń.

Przekroczył już dawno sześćdziesiątkę, miał posturę wielkiego niedźwiedzia, a twarz okalała mu niechlujna, siwa broda. Wstał i - ku zdziwieniu Vaughana - sięgnął po kulę. Wziął do ręki emaliowany kubek i pokuśtykał do stojącego na piecu dzbanka z kawą, wlokąc za sobą niezgrabnie prawą stopę w gipsie.

Vaughan pchnął drzwi i wszedł. Zdumiony Bragg odwrócił się szybko, ciągle trzymając kubek w jednej ręce, a dzbanek w drugiej.

- Nie spodziewałem się pana, panie Smith.

- Co się panu stało w nogę? - zapytał Vaughan. Bragg wzruszył ramionami.

- Idiotyczna sprawa, cholera. Kiedy szedłem w nocy przez podwórkę, potknąłem się i przewróciłem na kupę złomu.

- Bez wątpienia był pan jak zwykle kompletnie zalany - zauważył Vaughan. - Czy to coś poważnego?

- Złamałem parę kości.

- Świetnie. Tak się składa, że jest mi to bardzo na rękę. Czy „Duma Człowieka” jest gotowa do wypłynięcia?

- Jak zawsze, tak jak pan rozkazał. Zabiera ją pan?

Był człowiekiem przegrany życiowo, napiętnowanym przez liczne niepowodzenia. Można było to wyraźnie poznać po popękanych żyłkach na jego twarzy i mętnych, pijackich oczach. Rozpaczliwie jednak starał się zadowolić tego dziwnego młodzieńca o ciemnych włosach i bladej twarzy, który od prawie dwóch lat był jedyną osobą, która ratowała go przed kompletną ruiną.

- Nie tym razem - odparł Vaughan. - Ale w ciągu najbliższej godziny przyjedzie tu parę osób. Dwóch mężczyzn i dziewczyna. Podadzą zwykłe hasło i będą się spodziewali pomocy.

Bragg spojrział na niego niepewnie.

Chętnie wyświadczyłbym panu tę przysługę i popłynął, ale nie jestem zbyt pewien, czy będę w stanie to zrobić z tą swoją nogą.

- Jak już powiedziałem, jest mi to bardzo na rękę. Gips stanowi dla pana doskonałą wymówkę, żeby nie płynąć. Niech pan zadba o to, żeby wyglądało to jeszcze gorzej niż teraz. Jeden z tych ludzi jest zresztą ekspertem od małych łodzi - byłym bosmanmatem na kutrach torpedowych. Mógłby pewnie po płynąć „Dumą Człowieka” dookoła świata, gdyby musiał.

- To znaczy, pan naprawdę chce, żeby oni popłynęli sami?

- Właśnie. Spytają pana o drogę i cel, a pan im powie co trzeba. - Uśmiechnął się. - Nie dotrą tam oczywiście, ale nie ma powodu, dla którego nie mieliby przez jakiś czas podróżować pełni nadziei.

- A co z panem?

- Gdyby co, to dla pana w ogóle nie istnieję. Zejdę teraz do łodzi, by wszystko przygotować. Wrócę tu brzegiem na wypadek, gdyby pojawili się wcześniej. Wyciągnął z portfela pięć banknotów dziesięciofuntowych i rzucił je na stół. - Pięćdziesiąt teraz i pięćdziesiąt, jak pojadą, okay?

Bragg zgarnął chciwie pieniądze i wepchnął je sobie do bocznej kieszeni spodni.

- Jeśli o mnie chodzi, to świetnie, panie Smith. Załatwię to wszystko dokładnie tak, jak pan powiedział.

- Tylko na pewno - rzucił Vaughan i drzwi zamknęły się za nim.

Bragg pokuśtykał do szafki przy zlewie, otworzył ją i wyciągnął z niej butelkę whisky. Obejrzał ją pod światło i zaklął, nie zostało już w niej bowiem wiele więcej niż kilka kropel trunku. Wypił tę resztkę jednym haustem, cisnął butelkę w kąt i usiadł przy stole, czekając na to, co miało nastąpić.

Vaughan zszedł po kamiennych stopniach i wskoczył na pokład „Dumy Człowieka”, błyszczący od deszczu w słabym, żółtawym świetle jedynej latarni, stojącej na końcu mola. Nie miał czasu do stracenia, więc od razu ruszył do zejścia pod pokład, zdejmując po drodze płaszcz.

Otworzył schowek pod jedną z kanap jachtowych, wyciągnął z niej akwalung i kilka innych części ekwipunku pletwonurka i położył je na stole. Uklęknął i sięgnął do środka pustej teraz skrzyni. Rozległ się nagły trzask i podwójne dno schowka odsunęło się automatycznie, odsłaniając niewidoczną dotąd zupełnie skrytkę. Zawierała ona sporo ciekawych rzeczy: półautomatyczny karabin typu Sterling, dwa pistolety automatyczne, kilka granatów i pół tuzina min zegarowych w wymoszczonym słomą pudełku, każda wielkości mniej więcej dużego talerza.

Póki nie nastawione, były one nieszkodliwe, wystarczyło jednak zaledwie dziesięć minut, aby uzbroić zapalnik jednej z nich. Spojrzął na zegarek, dochodziła

właśnie dziesiąta. Przekręcił przełącznik czasowy o pełne cztery obroty. Rozebrał się szybko do spodenek, założył akwalung i wyszedł na pokład.

Opuścił się za burłę, przyciskając minę jedną ręką do piersi; zatrzymał się, by ustawić odpowiednio dopływ powietrza, po czym zanurkował.

Woda była nieprzyjemnie zimna, ale nie miał czasu, by się tym przejmować, więc szybko popłynął aż pod rufę. Na tej głębokości było jeszcze wystarczająco dużo światła, które rzucała latarnia na molo, żeby widział, co robi. Wybrał miejsce blisko śruby i silne elektromagnesy miny przyczepiły się natychmiast do stalowego kadłuba. Uśmiechnął się przez szybę swojej maski i zadowolony z siebie wypłynął na powierzchnię.

Gdy dochodził do zejścia pod pokład, furgonetka zajechała na podwórze i zatrzymała się przy domu. Patrzył, jak światła i silnik zostały wyłączone. Zszedł szybko do salonu, odłożył ekwipunek nurka do skrzyni, ubrał się w pośpiechu i wyszedł z powrotem na pokład zakładając płaszcz. Zatrzymał się w cieniu, słysząc zbliżające się od końca mola przyciszone głosy, potem przeszedł szybko przez pomost, zeskoczył na plażę i zniknął w ciemnościach.

Chavasse i Youngblood z dziewczyną siedzieli w samochodzie. Kiedy Chavasse wyłączył silnik, dookoła było zupełnie cicho i spokojnie, tylko deszcz bębnił w dach samochodu.

- No dobra, nareszcie jesteśmy u kresu naszej wędrówki, jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia.

- Wygląda to na ostatnie miejsce stworzone przez Boga - stwierdził Youngblood.

Drzwi frontowe otworzyły się nagle i ukazał się w nich Bragg, opierając się na kuli.

- Kto tam?

Chavasse i Youngblood podeszli bliżej. Molly pozostała o dwa kroki za nimi i przystanęli małą grupką przy stopniach ganku.

- Próbuje dostać się do Babilonu - odezwał się Chavasse. - Słyszeliśmy, że mógłby nam pan pomóc.

Bragg wpatrywał się w nich przez dłuższą chwilę uważnym wzrokiem, potem wolno pokiwał głową.

- Wejdźcie.

Miał duże kłopoty z podejściem do stołu, aż wreszcie z głośnym westchnieniem ulgi opadł na swoje krzesło. Poplamioną chustką do nosa starł pot z twarzy i przyglądał się im ciekawie.

- Nie spodziewałem się nikogo. Zwykle zawiadamiają mnie tydzień wcześniej.

- My jesteśmy dość szczególną grupą - oznajmił Chavasse. - Nie było czasu, żeby dać panu znać.

- No cóż, nie jestem pewien - głos Bragga był pełen wątpliwości. - Łódź jest wprawdzie gotowa do drogi, bo zawsze jest, ale złamałem dwie kości śródstopia. Kupę czasu zajmuje mi dojście do drzwi i z powrotem, nie mówiąc już o tym, że bym mógł popłynąć na Longue Pierre.

- Longue Pierre? - zdziwił się Chavasse. A gdzie to niby jest?

- Jakieś dwanaście mil morskich na południowy zachód od Alderney na Wyspach Normandzkich - wtrącił Youngblood uśmiechając się szeroko, a Chavasse spojrział na niego zdumiony. - Zapominasz, stary, że w czasie wojny i zaraz po niej kanał La Manche był moim terenem działania. Znam go jak własną kieszeń.

- Dobrze mówi - zgodził się Bragg. - To niewielka wyspa i trudno dostępna. Po przekątnej ma może z półtora kilometra, a po jednej stronie są skały wysokie na sto - sto pięćdziesiąt metrów. Można tam zakotwiczyć tylko w jednym miejscu na południowym cyplu. Jest tam jedynie stara przystań i nic więcej.

- Kto tam mieszka?

- Nie pytaj mnie pan. Ja robię to, za co mi płacą, znaczy przewożę ludzi, zostawiam ich na molo i zaraz wracam. Jest tam dom - wiem to, bo widziałem go z morza - ale nic więcej.

- Kto panu płaci?

- Gość, co się zwie Smith. Wpada tu może raz na dwa - trzy miesiące, ale zwykle tylko dzwoni do mnie. - Pokręcił głową, sprawiając wrażenie zmartwionego. - Dziwne, że nie słyszałem nic od niego o was.

- To pan usłyszysz - stwierdził Youngblood - i dostanie pan swoje pieniądze, obiecuję. Jaka to łódź?

- Dziesięciometrowy jacht motorowy „Duma Człowieka” zbudowany przez stocznię w Akerboon, stalowy kadłub, podwójne nitowanie.

Youngblood gwizdnął przeciągle.

- To jest coś. Jaki ma napęd?

- Silnik benzynowy typu Penta. Może płynąć maksymalnie z prędkością do dwudziestu dwóch węzłów, ale nie dzisiaj. Pogoda nie jest za dobra.

- Jakie są prognozy?

- Siła wiatru trzy do czterech, nawałnice i mgła nad ranem.

- Małe piwo.

- Myślisz, że dasz sobie radę? - spytał Chavasse.

- Dam radę? Mógłbym nią popłynąć przez Atlantyk, gdybym musiał.

- To byś się pan narobił - wtrącił Bragg. - Ma zasięg tylko sześćset mil, łącznie z bakiem rezerwowym. Youngblood uśmiechnął się szeroko.

- To zupełnie nam wystarczy na dopłynięcie do wysp. Pańskie kłopoty z nami skończyły się. Może pan zostać w domu i doglądać swojej nogi.

- Nie wiem - Bragg pokręcił głową. - To łódź pana Smitha, nie moja.

Youngblood ocenił go szybko, biorąc pod uwagę odór whisky i przekrwione, wodniste oczy. Wyciągnął portfel Crowthera, wyjął z niego pięciofuntowy banknot i rzucił go na stół.

- Gdy podjeżdżaliśmy tutaj, zauważyłem po drodze ładny, mały bar. Założę się, że mógłby pan zawlec tam tę swoją nogę, gdyby pan spróbował.

Bragg spojrział z wahaniem na banknot, po czym westchnął i wepchnął go do kieszeni.

- Mam tylko nadzieję, że robię wszystko jak należy. - Otworzył szufladę i wyjął egzemplarz „Pilota kanału La Manche”. - Lepiej to weźcie. Przy wyjściu z portu w morze są trzy latarnie. Trzymaj się pan ich równo, a nie zmylisz pan drogi.

Youngblood wziął książkę i odwrócił się do Chavasse’a z rozpromienioną i w zupełnie inny sposób niż dotąd ożywioną twarzą.

- Na co czekamy?

Drzwi zatrzęsły się za nimi, aż zatrzęsała się futryna. Bragg siedział i wpatrywał się w przestrzeń zamyślony. Po chwili westchnął, sięgnął ręką do kieszeni i wyjął garść pieniędzy. Przez moment wpatrywał się w nie bezmyślnie, po czym wstał i sięgnął po kulę. Jedna kolejka - właśnie tego było mu potrzeba - no, może dwie. Coś, co pozwoliłoby mu zapomnieć o ludziach, z którymi właśnie rozmawiał, coś, co nie dopuszczałoby do jego świadomości myśli, co się z nimi stanie gdzieś tam na morzu, wśród panujących ciemności i deszczu. A przede wszystkim coś, co pozwoliłoby mu zapomnieć o człowieku, który przedstawiał się jako Smith.

Pokuśtykał do drzwi, zdjął z nich ceratową pelerynę i wyszedł.

„Duma Człowieka” czekała przy końcu mola i Youngblood z prawdziwą przyjemnością objął wzrokiem jej wybruszony, pochylony kadłub i długą nadbudówkę ze skośnym dachem. Był podniecony jak dzieciak, który dostał właśnie nową zabawkę.

- O rany, nie mogę się doczekać, żeby jej dotknąć. Chavasse pokręcił głową.

- Wydaje mi się diablo podejrzanę, że poszło nam z nim tak łatwo.

- Co niby? - spytał niecierpliwie Youngblood.

- Sposób, w jaki Bragg przyjął to, co mu powiedzieliśmy. To nie ma sensu. Chyba jednak wrócę i zobaczę, co on tam knuje.

- Jak chcesz - zgodził się Youngblood. - Ale ja szykuję się już do wypłynięcia. Nie będzie cię dłużej niż dziesięć minut i możesz się pożegnać z podróżą.

Mówił poważnie, to było oczywiste, ale Chavasse nie tracił czasu na dyskusje. Odwrócił się i ruszył biegiem wzdłuż przystani do ciemnego teraz budynku.

W zachowaniu Bragga rzeczywiście było coś niejasnego, co go naprawdę niepokoiło. Chociażby to, że był dla nich zbyt uprzejmy, a przecież sprawiał wrażenie obłudnego łotra, o czym trudno było zapomnieć.

Ale ważniejsze było to, że musiał wykorzystać ostatnią okazję skontaktowania się z Biurem, jeśli chciał mieć jakąś nadzieję, że uda mu się w ogóle przeżyć po dotarciu na wyspę. Cicho przeszedł koło domu, zatrzymując się w cieniu przy wejściu na jego podwórze. Bragg kołyszącym krokiem posuwał się po chodniku. Wyglądał i poruszał się znacznie zwawiej niż przedtem mimo swej kuli. Gdy wszedł do małego baru, Chavasse ruszył drogą do budki telefonicznej na rogu.

Szybko nakręcił swój numer i prawie natychmiast odebrano telefon. Przez krótką chwilę rozmawiała z nim Jean, a następnie zgłosił się Graham Mallory.

- Paul, gdzie jesteś?

- W Upton Magna - to mały port rybacki koło Lulworth. Teraz niech pan uważa - właśnie odpływamy łodzią na wyspę zwaną Longue Pierre, położoną dwanaście mil na południowy zachód od Alderney na Wyspach Normandzkich.

Chcę wiedzieć wszystko, co możecie mi powiedzieć na temat tego miejsca, ale mogę wam na to dać tylko trzy minuty.

- Już jesteśmy połączeni z Wydziałem Informacji - powiedział Mallory. - Mów dalej, a oni będą sprawdzać.

- Zechciejcie zatrzymać szmatławca nazwiskiem Sam Crowther, który mieszka w Wykehead Farm, niedaleko Settle, w Yorkshire. Bóg jeden wie, ilu ludzi wyprawił na tamten świat. Następnie niejaka Rosa Hartman. Mieszka w Bampton, zaraz za Shrewsbury. Trochę mi jej żal, ale nie powinna do tego się mieszać.

- Ktoś jeszcze?

- Facet o nazwisku Pentecost, który ma zakład pogrzebowy o nazwie Dom Wiecznego Spoczynku „Długi Kurhan” koło Gloucester, i stary łajdak, z którym dopiero co gadałem. Niejaki Bragg. Prowadzi tu przystań jachtową.

- Właśnie przysłała informacja o twojej Longue Pierre - przerwał mu Mallory. - Wyspa i jedyny na niej dom należą do Guernsey. Od dwóch lat są wdzierżawione hrabiemu Antonowi Stavru.

- Nie słyszałem już kiedyś o nim?

- Bardzo prawdopodobne. To podejrzany finansista, zawsze robi wielkie interesy, które źle się kończą. Kilka razy chłopcy z Wydziału do Spraw Ścigania Oszustw prowadzili przeciw niemu dochodzenie, ale zawsze udawało mu się wyjść z tego cało. Jest dyrektorem firmy Worldwide Exports. Czy coś z tego ci się przyda?

- To się okaże, kiedy się tam znajdę. Będę potrzebował jakiejś skutecznej pomocy w pobliżu, która mogłaby szybko wkroczyć do akcji, na przykład kilku kutrów torpedowych marynarki.

- Zaraz skontaktuję się z wywiadem marynarki - powie dział Mallory. - Jeśli będziesz chciał połączyć się z nimi przez radio, używaj naszej zwykłej częstotliwości. Twoim sygnałem wywoławczym będzie „Przemoc”. Powodzenia.

- Będzie mi potrzebne.

Chavasse odłożył słuchawkę, wyszedł z budki i pospieszył z powrotem do przystani. Zatrzymał się nagle, kryjąc za starą, przewróconą do góry dnem łodzią, gdyż spostrzegł, że drzwi domu otworzyły się i Vaughan wyszedł na ganek. Zamknął je za sobą, ucinając padający na ganek snop światła i zszedł po schodach.

Chavasse rozpoznał go natychmiast i czekał z wyjętym z kieszeni rewolwerem Pentecosta. Vaughan przeszedł obok niego i przystanął na chwilę, by zapalić papierosa. Gdy osłonił dłonią płomień zapalki, Chavasse stanął za nim.

- Mała niespodzianka! - zawołał, uderzając równocześnie mocno kolbą rewolweru w tył czaszki Vaughana.

Schwycił go i powstrzymał przed upadkiem, obrócił wokół własnej osi i przełożył sobie przez ramię. Kiedy usłyszał rozdzierający nocną ciszę warkot silnika „Dumy Człowieka”, pobiegł w stronę przystani wśród panujących ciemności, zgięty pod swym ciężarem.

Gdy schodził po schodach na pomost przystani, Youngblood właśnie odwiązywał cumę i widząc go, podszedł, by mu pomóc przedostać się przez nadburcie wraz z niesionym przez niego ciężarem.

- A niech mnie diabli! - powiedział, spoglądając na twarz nieprzytomnego Vaughana, rozciągniętego na pokładzie. - Toż to nasz stary przyjaciel, doktor Mackenzie.

- Albo Smith, czy jak on się tam naprawdę nazywa - stwierdził Chavasse. - Właśnie wychodził z domu Bragga. Pomyślałem, że miło byłoby zaprosić go na przejażdżkę.

- Wsadź go na razie do jednej z kabin - poradził Youngblood. - Możemy z nim pogadać później. Nie zaznam spokoju, póki stąd nie odpłyniemy. Molly ci pomoże.

Chavasse wziął Vaughana pod pachy, a Molly za nogi i ruszyli pod pokład. Położyli go na koi w jednej z trzech kabin, a Chavasse znalazł kawałek sznura i związał mu dokładnie ręce i nogi.

Zamknawszy drzwi odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna wygląda blade i mizernie, jakby nagle to wszystko przerosło już jej możliwości i siły. Położył jej rękę na ramieniu.

- Powinien gdzieś tu być kambuz. Może zrobiłabyś nam kawy?

Ożywiła się trochę, jakby wreszcie usłyszała coś, co mogła przynajmniej zrozumieć, i odeszła korytarzem. Chavasse patrzył za nią, zmarszczywszy brwi. Sporo się wydarzyło, a do tego tak szybko, że niewiele miał czasu, by zastanawiać się nad ewentualnym zakończeniem wydarzeń, w których brali udział. Ale co z dziewczyną, której wydarzenia ostatnich kilku dni musiały wydawać się jakimś ponurym koszmarem? Co, u diabła, miało się z nią stać? Jakkolwiek się to skończy, nie uda się jej chyba wyjść z tego bez szwanku.

„Biedna, mała, brzydka suka”. Odwrócił się i wyszedł na pokład, a „Duma Człowieka” odpłynęła już nieco od mola.

Wiatr przybrał na sile, rozpraszając deszcz i srebrne chmury, widoczne w światłach nawigacyjnych. Chavasse wszedł do sterówki, na co Youngblood, z głową jakby oddzieloną od ciała w łagodnym świetle padającym spod obudowy kompasu okrętowego, odwrócił się do niego, uśmiechając się szeroko i swobodnie.

- No to płyniemy - powiedział wesoło i zwiększył nagle moc silnika. Zataczając jachtem długi i szeroki łuk, skierował się do wyjścia z portu.

Gdy wypłynęli na wzburzone morze, szczyt masztu zaczął się mocno kołysać, a okna co chwilę zalewały strumienie wody. Z prawej burty o kilka rumbów zaledwie ukazały się czerwone i zielone światła nawigacyjne jakiegoś parowca i Youngblood zmniejszył prędkość do dziesięciu węzłów, płynąc dalej w ciemności.

- Wszystko w porządku? - zapytał Chavasse.

- Jak jasna cholera! - w głosie Youngblooda wyraźnie brzmiała radość. - To jest życie, co? Przy odrobinie szczęścia powinniśmy mieć spokojną podróż.

Dochodziła właśnie północ, kiedy Chavasse zszedł, by sprowadzić Vaughana. Gdy otwierał drzwi i zapalał światło, dostrzegł natychmiast wpatrzone w siebie czujnie ciemne oczy.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- A niby jak mam się czuć? - odparł Vaughan dziwnie silnym głosem. - Tył głowy mam rozwalony, w każdym razie prawie, a moja najlepsza koszula jest cała we krwi.

- Doprawdy, rozdzierasz mi serce. - Chavasse podciągnął go do pozycji siedzącej, podając mu kubek kawy, który dostał od Molly. - Wypij to.

Vaughan przełknął płyn tak łapczywie, że aż zabrakło mu tchu.

- To nigdy nie zastąpi herbaty. Sądząc z kołysania jesteśmy chyba na wodach kanału La Manche?

- Zgadza się.

- Która jest godzina?

- Gdzieś koło północy, a bo co??

Vaughan zaśmiał się słabo.

- Znaczy to, że wypłynęliśmy w drogę bez powrotu. Chavasse zmarszczył brwi.

- O czym ty, do cholery, gadasz?

- To naprawdę dość zabawne - powiedział Vaughan. - Widzisz, ja wiedziałem, że jedziecie do Upton Magna, bo pogadałem sobie trochę z przyjacielem Pentecostem już po tym, jak od niego wyjechaliście.

- I wyprzedziłeś nas? Bragg tylko grał, co?

- Przykro mi, ale tak. Zaraz przed dziesiątą przyczepiłem do kadłuba minę zegarową nastawioną tak, aby wysłać was wszystkich do diabła dokładnie po czterech godzinach.

- Z tobą włącznie.

- Jeśli mam być zupełnie szczery, tego wcale nie było w planie.

Chavasse rozwiązał mu nogi i ściągnął go z koi.

- Na pokład, i to szybko.

Kiedy szli do sterówki, jacht wznosił się wysoko na wzburzonych falach, które zalewały pokład wielkimi kaskadami wody. Youngblood odwrócił się zdumiony, gdy Chavasse wepchnął przed sobą Vaughana.

- Co to wszystko ma znaczyć?

Chavasse wyjaśnił mu, a kiedy skończył, Youngblood zaśmiał się niepewnie.

- Na pewno próbuje nas nabrać. To niemożliwe.

- Jak sobie chcecie - powiedział spokojnie Vaughan. Chavasse pokręcił przecząco głową.

- On mówi serio, Harry.

Youngblood przez długą chwilę wpatrywał się w niego, następnie przytłumił silnik, tak że łódź robiła nie więcej niż trzy-cztery węzły, i włączył system automatycznego sterowania.

- W porządku, więc co w tej sytuacji mamy zamiar zrobić?

Chavasse zwrócił się do Vaughana.

- Jeżeli ona jest przyczepiona do kadłuba, to musiałeś użyć akwalungu i pozostałego sprzętu, niezbędnego do nurkowania. Gdzie to jest?

Vaughan wzruszył ramionami.

- Czemu nie? I tak znajdziecie to w końcu bez większego kłopotu. W salonie, w skrzyni, w schowku pod jedną z kanap.

- No to w porządku Drum odezwał Youngblood. - Jeśli uda się nam do niej dotrzeć, można ją zabezpieczyć.

- Przykro mi, że muszę was rozczarować ale to nie wchodzi w grę, przynajmniej nie w przypadku tego maleństwa - powiedział Vaughan. - Ona może być zabezpieczona tylko po całkowitym rozbrojeniu, a wy nie macie do tego ani odpowiedniego sprzętu, ani możliwości.

- Przypuszczam, że jest elektromagnetyczna? - spytał Chavasse.

Vaughan skinął głową.

- A ta stara łajba ma stalowy kadłub, więc nigdy nie uda się wam odczepić tej miny, w każdym razie nie w takich warunkach. Pociągniecie trochę za mocno, a to cholerstwo samo wyleci w powietrze.

- Jakiego typu jest ta mina?

- Zaczynamy się interesować techniką, co? Ale jasne, byłbym zapomniat - byłeś przecież kapitanem w Inżynierii Królewskiej, prawda?

- Nie twój zakichany interes - rzucił wściekle Youngblood. - Odpowiadaj!

- Martinet Mark 4, i tak nie na wiele wam to się przyda. Chavasse wybuchnął nieoczekiwanie głośnym śmiechem, nie mogąc powstrzymać nagłego przypływu radości, jaki go ogarnął. Uśmiech zamarł na twarzy Vaughana.

- Co cię tak cholernie śmieszy?

- Ty - odparł Chavasse. - Właśnie ty. Jesteś naprawdę tylko śmiechu wart. - Zwrócił się do Youngblooda. - Jeśli zatrzymasz silniki na jakieś dziesięć minut, wezmę akwalung, o którym on mówił, i zejdę tam.

- To znaczy, że umiesz się z tym obchodzić? - spytał Youngblood z niedowierzaniem.

- Na wszelkie możliwe sposoby i w każdych warunkach, ale wyjaśnię ci to później. Zaopiekuj się teraz tylko naszym maleństwem, dobrze? - i Chavasse ruszył do zejścia pod pokład.

W ciemnej wodzie było dokuczliwie zimno. Przesuwał się po omacku wzdłuż kadłuba, aż zlokalizował minę. Znalazł przełącznik czasowy, zatrzymał się przy nim na chwilę, badając go delikatnie palcami. Jeśli Vaughan nastawił zegar zapalnika na cztery godziny, to musiał przekręcić przełącznik o cztery pełne obroty, maksimum natomiast wynosiło dwanaście. Licząc wolno, Chavasse zaczął go przekręcać. Przestał dopiero wtedy, gdy przełącznik nie chciał już dalej drgnąć, i wypłynął z powrotem na powierzchnię.

Youngblood i Molly pomogli mu przejść przez nadburcie - dziewczyna pociągnęła go przy tym za lewą rękę, więc zaklął cicho, gdyż chwycił go nagle przeszywający ból.

- Nic ci nie jest, Drum? - spytał niespokojnie Youngblood.

- Teraz już nie. - Chavasse odwrócił się do Vaughana, który z rękoma związanymi z przodu stał przy zejściu pod pokład. - To proste, jeśli się wie jak.

Martinet jest miną z krótkookresowym zapalnikiem czasowym. Szeroko stosowana przez Wojska Lądowe i Marynarkę Wojenną. Urządzenie synchronizujące działa przez maksimum dwanaście godzin. Musiałem jedynie przesunąć je do przodu - dokładnie jak w zegarku, aż z powrotem dotarłem do pozycji naturalnej.

- Chcesz powiedzieć, że ją zabezpieczyłeś? - zapytał Youngblood.

- Jak najbardziej. Vaughan westchnął i pokręcił z podziwem głową.

- Codziennie uczymy się czegoś nowego. O której do pływamy do Longue Pierre?

- Siódma trzydzieści albo coś koło tego - odparł Youngblood. - A bo co?

- Po prostu nie mogę się doczekać, żeby już tam być, stary - powiedział Vaughan. - Jestem pewien, że czeka nas tam wszystkich kupa śmiechu.

Odwrócił się i gwizdząc wesoło, zniknął pod pokładem.

11. Mgła nad ranem

Chavasse obudził się, gdy Molly pochyliła się nad nim, kładąc mu rękę na ramieniu. Położył się spać na jednej z kanap w salonie jachtu, a teraz opuścił nogi na podłogę i wziął do ręki kubek kawy, który mu podała. Z wdzięcznością wypił mały łyk.

- Tak jest już lepiej. Która godzina?

- Szósta rano.

- O Boże, tak długo spałem?

Trzymając kubek w ręku wyszedł na pokład. Woda przelała się właśnie przez prawe nadburcie i zimny prysznic zalał mu twarz, gdy po kołyszącym się pokładzie szedł do sterówki.

Youngblood odwrócił się, rzucając na niego krótkie spojrzenie.

- Jak się czujesz?

- Ręka boli mnie jak wszyscy diabli, ale mogę nią poruszać, a to już coś. A ty?

- Świetnie się bawię. Od jakiejś godziny nieźle buja i jeśli pogoda się nie poprawi, może być jeszcze gorzej.

- Czy to wpłynie na czas naszego przybycia?

- Potrzyмай ster, to spojrzę jeszcze raz na mapę. Chavasse przejął ster, wsuwając się na siedzenie pilota, a Youngblood podszedł do stołu z mapą. Zrobił jedno czy dwa obliczenia, po czym odłożył ołówek, rozprostowując ramiona.

- Może będziemy nawet trochę wcześniej, niż myślałem. Wszystko zależy od pogody. Możesz trochę posterować tą łajbą?

- Czemu nie?

- Zrobię sobie małą przerwę. Może Molly mogłaby znaleźć mi coś do jedzenia. A później byłoby chyba lepiej, żebyśmy obgadali to wszystko. Ciągłe nie wiemy przecież, w co się pakujemy. Może już czas, by trochę przycisnąć naszego przyjaciela. Chavasse skinął głową.

- Zobaczymy.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za Youngbloodem, oparł się wygodnie, położył rękę na sterze i zapalił papierosa. Ciemność bladeła już stopniowo i pierwszy zwiastun brzasku - jasno - perłowa poświata zaczęła pojawiać się nad powierzchnią wody. Wytężył wzrok, wpatrując się w szary bezmiar poranka, zastanawiając się nad tym, co go czeka.

Jedno było pewne. Niezależnie od tego, jakie inne nieprzewidziane trudności mogły się jeszcze pojawić na ich drodze, w ostatecznym rozrachunku jego największym problemem był sam Harry Youngblood i jego dalszy los.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie w celi w Fridaythorpe, które tak bardzo potwierdziło jego pierwsze wyobrażenie o nim, ukształtowane już po dokładnym przestudiowaniu kartoteki tego człowieka w centrali Biura. Wbrew upiększanym sztucznie relacjom, zamieszczanym w czasopismach, i melodramatycznym nagłówkom w gazetach Youngblood tak na prawdę był przede wszystkim brutalnym i równocześnie nie zwykle pomysłowym przestępcą. Był

gotowy zmiażdżyć wszystko i wszystkich, stojących mu na drodze. Wiedział też, że nie zawaha się przed niczym, żeby osiągnąć to, czego zapragnie.

To wszystko nie mogło jednak przekreślić również tego, że przez wiele tygodni stali się w pewnym sensie przyjaciółmi w tym dziwnym, zamkniętym świecie, jakim jest życie w każdym większym więzieniu. Z drugiej strony, gdyby Chavasse nie zawładnął pistoletem Smitha tamtej nocy w szpitalu i nie wymusił tego, co chciał, Youngblood nigdy nie zabrałby go ze sobą, pomimo że Chavasse ocalił go w więziennym warsztacie dwukrotnie od śmierci, a przynajmniej od ciężkich obrażeń.

Do tego jeszcze dochodziła Molly. Gdyby na farmie nie przejęła się tak ich losem, cała sprawa potoczyłaby się prawdopodobnie zgodnie z planem i ich podróż mogła się skończyć na dnie studni Crowthera, a jednak Youngblood gotów był porzucić ją bez skrępowań, gdyby okazało się, że dziewczyna jest już niepotrzebna.

Nawet teraz, mimo że w „Długim Kurhanie” Chavasse ponownie wyciągnął go z oparów, Youngblood nie zawahałby się odpłynąć bez niego. Był wyjątkowym egoistą, nie mającym żadnych pozytywnych cech charakteru, niwelujących jego wady, który nigdy w życiu nie myślał o nikim poza samym sobą. Bardzo wielu ludzi spędziło dzieciństwo i młodość w sierocińcach, inni doświadczyli okrucieństw wojny - ilu z nich jednak obrało drogę Harry'ego Youngblooda?

Chavasse westchnął ciężko, rzucając niedopałek papierosa na podłogę. Wszystko to, o czym myślał przed chwilą, co do jednego słowa było zgodne z prawdą. A mimo to myśl o konieczności wsadzenia go z powrotem do więzienia na następne piętnaście lat, czy teraz może nawet na dłużej, nie była wcale taka oczywista ani łatwa.

Przypomniawszy sobie także swoje własne cztery miesiące spędzone za kratkami. Sięgając pamięcią wstecz, przywołał wspomnienia potwornego brudu, szarych twarzy i długich, pustych dni i nagle zrobiło mu się niedobrze, tak że aż otworzył szybko okno i głęboko odetchnął wilgotnym, słonym powietrzem.

Znajdujące się za nim drzwi do sterówki otworzyły się i wszedł przez nie Youngblood, ze śladami deszczu na twarzy, ale szeroko uśmiechnięty.

- Od lat nie czułem się tak dobrze. O Boże, Drum, dopiero teraz wiem, czego mi naprawdę brakowało. Przejął ster, a Chavasse oparł się o drzwi, obserwując go. Youngblood zwiększył szybkość, ścigając się z nadciągającą od wschodu niepogodą - znał się na rzeczy, co do tego nie było żadnej wątpliwości. „Duma Człowieka” szybowała po falach jak żywa istota, a woda zielonymi kaskadami przelewała się przez dziób. Youngblood, wyraźnie szczęśliwy, znajdujący się w stanie bliskim ekstazy, roześmiał się głośno. Chavasse nie mógł powstrzymać się od głośnej uwagi:

- Diabelna zmiana w twoim zachowaniu w porównaniu z całą w Fridaythorpe.

- Fridaythorpe? - Na krótką chwilę uśmiech zupełnie zniknął z twarzy Youngblooda. - Coś ci powiem, Drum - odezwał się do niego z całkowicie kamienną twarzą. - Raczej posłałbym tę balię na dno razem ze sobą, niż dał się tam zaciągnąć z powrotem. Zwiększył moc silnika, wynurzając jacht z wody, a Chavasse odwrócił się

i wyszedł na pokład, czując nagle bezgraniczny, ogarniający go smutek. Zjadł razem z Molly kanapki z bekonem i napił się jeszcze kawy, a następnie poszedł sprawdzić, co się dzieje z Vaughanem. Leżał na swojej koi, twarzą do ściany, a kiedy się odwrócił, wyglądał jeszcze bardziej blado niż kiedykolwiek.

- Co ci jest? - spytał Chavasse, podciągając go do pozycji siedzącej.

- Jedni mają żołądek odporny na ten styl życia, stary, inni nie. Powiadają, że Nelson chorował za każdym razem, gdy wypływał w morze, nie wiedziałeś o tym?

Chavasse ściągnął go z koi, popchnął korytarzem do salonu i rzucił na krzesło.

- Może kawy?

- Teraz nie mam nic przeciwko temu.

Chavasse skinął głową i Molly napełniła jeden z emaliowanych kubków, po czym popchnęła go przez stół. Vaughan miał ciągle związane nadgarstki, podniósł go więc obiema dłońmi. Chavasse włożył zapalonego papierosa w usta Vaughana.

- A teraz pogadamy.

- Naprawdę, stary? To miło.

- Nie będzie miło, jeśli będziesz nadal uparty. Kogo znajdziemy na Longue Pierre - Barona?

- Niech Bóg ma was w swojej opiece, jeśli tak będzie.

- Jakie ma tam zaplecze?

Vaughan uśmiechnął się pogodnie.

- No, naprawdę, nie możesz się spodziewać, że ci to powiem. To by było wiarołomstwo.

Chavasse westchnął.

- Wiesz, że stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Może nawet będę zmuszony przysłać tu Youngblooda, żeby porozmawiał sobie z tobą po swojemu, a wolałbym tego uniknąć.

- Nie niepokoi mnie on w najmniejszym stopniu.

- A powinien. Zapominasz chyba o pewnym ważnym szczególe. W porównaniu z Youngbloodem ja jestem tylko amatorem. On wie, że jeśli go dostaną, wraca za kratki na piętnaście lat i wtedy ani na chwilę nie spuszcza go z oka. Nigdy nie uda mu się ponownie uciec.

- No i co z tego?

- Poderżnąłby ci bez wahania gardło, gdyby uznał to za konieczne, żeby do tego nie dopuścić.

Vaughan nie okazał najmniejszych oznak strachu, ale przestał się uśmiechać i lekko zmarszczył brwi. Nie zapomniał o przepowiedni Rosy Hartman i ponownie uśmiechnął się pod nosem. Nie, nie ułatwi starej spełnienia tej przepowiedni. Jeśli śmierć ma nadejść - musi go znaleźć, on sam nie będzie jej szukał.

- W porządku - odezwał się cicho. - Baron może być na wyspie, a może nie - naprawdę nie wiem. Zazwyczaj nie przypląwa tam łodzią. Ma prywatny helikopter.

- Należący do Worldwide Exports z Londynu?

Oczy Vaughana zrobiły się okrągłe ze zdumienia, ale potem, gdy się znowu odezwał, w ich miejscu można było ponownie dostrzec tylko wąskie szparki.

- Powiedziałbym, że naprawdę dużo wiesz. To bardzo ciekawe. Będę zupełnie szczerzy, stary, i powiem, że od początku nie bardzo mi się podobałeś.

- Jak liczny personel ma w swoim domu Stavru?

Vaughan wzruszył ramionami.

- To zależy. Na stałe mieszka tam tylko dozorca - stary zaufany sługa domu - Gledik. Baron - czy, jak raczej powinienem powiedzieć, Hrabia - jest bardzo przywiązany do feudalizmu, sam rozumiesz. Ciągłe nawija o swoich kochanych, starych Węgrzech. Przeklina komuchów.

- Nie gardzi jednak robieniem z nimi interesów, kiedy ma jakiś odpowiednio drogi towar do zaoferowania?

- Stajesz się jak Alicja z krainy czarów coraz ciekawszy i ciekawszy. - Oczy Vaughana zabłysły dziwnym, zielonkawym blaskiem. - Mam jakieś nieprzyjemne uczucie, że wszystkich nas zrobiłeś w konia, stary. Czyż to nie wstyd?

W tym miejscu Chavasse gwałtownie zakończył rozmowę. Ściągnął Vaughana z krzesła, przeszedł z nim szybko z powrotem przez korytarz i zamknął go w kabinie. Gdy wrócił do salonu, Molly ciągle jeszcze siedziała przy stole - było jasne, że niedawna rozmowa nie miała dla niej absolutnie żadnego znaczenia.

Zatrzymał się i odchylił jej nieco głowę, podtrzymując lekko podbródek. Zapuchnięte oczy dziewczyny były czerwone i zaognione z braku snu. Skórę miała szpetną i krostowatą i w ogóle sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej.

- Nie lubię go, Paul - odezwała się. - On mnie przeraża.

- Nie może ci teraz nic zrobić, przynajmniej na razie. - Chavasse poklepał ją uspokajająco po ramieniu. - Może położyłabyś się na chwilę. Wyglądasz na zupełnie wykończoną.

Skinęła słabo głową i posłusznie, jak małe dziecko, poszła za nim do jednej z kabin. Gdy położyła się na koi, przykrył ją kocem i wyszedł.

Ciągle intensywnie padało, kiedy wyszedł na pokład, ale morze było już o wiele spokojniejsze. W szarym świetle poranka zmęczenie rysowało się już wyraźnie na twarzy Youngblooda, jego uśmiech i wyraz twarzy były nadal radosne.

- Mamy przed sobą Alderney - powiedział, wskazując szarozieloną plamę na horyzoncie.

- Jak długo?

- Jakieś pół godziny. Uspokoilo się trochę, więc daję teraz maszynie całą moc. Jedyłą rzeczą, którą musimy się jeszcze martwić, jest mgła.

- Czy może stać się niebezpieczna?

- Nie wiem, ale nadchodzi bardzo szybko. Z drugiej strony ukryje to trochę nasze przybycie.

- Właśnie rozmawiałem sobie na dole z naszym przyjacielem.

- Wydobyłeś coś z niego?

- Okazuje się, że Baron korzysta z helikoptera, kiedy chce dostać się na wyspę.

- Jest tam teraz?

- On mówi, że nie wie.

Youngblood pokręcił głową.

- Nie bardzo w to wierzę. Może spróbowalibyśmy małej perswazji?

- Traciłbyś tylko czas. Odnoszę całkiem wyraźne wrażenie, że on jest typem, który nie załamuje się łatwo, a poza tym myślę, że mówił prawdę. Na stałe w tym domu mieszka tylko stary dozorca.

- No to co robimy? - spytał Youngblood. - Dobrze przyjrzałem się mapie. Bragg miał rację - przystań jest jedynym możliwym miejscem do zakotwiczenia. Jeśli tam popłyniemy, możemy wpaść prosto w nieźle tarapaty.

- Myślałem też już o tym i mam pewien pomysł. Popatrzmy jeszcze raz na tę mapę.

Youngblood uruchomił automatycznego pilota i dołączył do niego.

- Tracisz czas, jeśli masz nadzieję znaleźć inne miejsce, gdzie moglibyśmy wylądować. Z tuzin razy oglądałem tę mapę na wszystkie strony. Chavasse skinął głową.

- Miałem na myśli coś innego. Dom znajduje się w kotlinie na zachodnim zboczu. Gdybyśmy zbliżyli się od wschodu, gdzie ściany skalne są najwyższe, byłibyśmy zupełnie niewidoczni, zwłaszcza we mgle. Youngblood przecząco pokręcił głową.

- Po tamtej stronie nie ma żadnego miejsca do zakotwiczenia.

- Może i nie, ale wydaje mi się, że jest tam pełno miejsc, do których mogłaby przybić mała łódka.

Youngblood spojrzał niepewnie.

- W teorii to brzmi przekonująco, ale ja znam te wody. Jest więcej niż prawdopodobne, że mała łódka nie wytrzymałaby przyboju, z jakim miałbyś do czynienia u stóp tamtych stromych, nadbrzeżnych skał.

- Możliwe jednak, że po prostu nie mamy wyboru. - Chavasse wzruszył ramionami. - Musimy tylko poczekać i przekonać się sami.

Powoli, przez szarą zasłonę mgły, która zdawała się okrywać wszystko, zbliżali się do wyspy. Uderzenie przybrzeżnej fali zahuczało gdzieś wściekle jak odległy grzmot.

Łódź nie płynęła obecnie z prędkością większą niż dwa czy trzy węzły, gdyż obroty silnika zostały zredukowane. Youngblood stał przy sterze, starając się wyteżonym wzrokiem przebić mgłę. Oczekiwał pojawienia się przeciwprądów, które wskazywałyby, że jest już blisko brzegu.

Stojący na dziobie Chavasse krzyknął nagle w podnieceniu, wskazując coś na wprost przed sobą. W tym samym momencie wiatr, który od co najmniej pół godziny wyraźnie się wzmagał, wydarł w zasłonie mgły wielką dziurę, ukazując dokładnie na wprost nich zapierający dech w piersiach widok masywnego klifowego urwiska, oddalonego o jakieś dwieście metrów. Jego szczyt był zupełnie spowity szarością, tysiące morskich ptaków gnieździło się na skalnych występach, a na dole fale przyboju gwałtownie rozbijały się o poszczerbione skały. Gdy podpłynęli bliżej, Chavasse powrócił do sterówki.

- Co o tym sądzisz?

Youngblood pokręcił głową przecząco.

- Nie wygląda mi to najlepiej.

Zbliżył się na odległość pięćdziesięciu metrów od czoła klifowego urwiska i zawrócił, gdy fale zaczęły ich przyciągać do brzegu. Chavasse wskazał na naturalną zatoczkę w kształcie podkowy, usytuowaną wśród przybrzeżnych skał, za którą ciągnął się pas kamienistej plaży.

- To miejsce się chyba nadaje. Youngblood ponownie przecząco potrząsnął głową.

- Dalej twierdzą, że na takiej fali przybojowej szalupa nie utrzyma się nawet przez pięć minut.

- A gdyby założyć akwalung?

Youngblood odwrócił się szybko.

- Teraz wreszcie gadasz do rzeczy. To dałoby ci więcej niż równe szansę, biorąc nawet pod uwagę twoją rękę.

- No cóż, ty nie możesz tam iść, to oczywiste - stwierdził Chavasse. - Wygląda więc na to, że ja jestem tym jedynym wybrańcem losu, który musi to zrobić.

Zszedł pod pokład, otworzył skrzynię w salonie i wyciągnął sprzęt do nurkowania. Rozebrał się i szybko założył na siebie czarny, gumowy kombinezon, ściśle przylegający do ciała, ale i tak niezależnie od tego, jak mu się uda wylądować, będzie tam z pewnością bardzo zimno, nawet piekielnie zimno. Zanim zapiał zamek błyskawiczny, wsunął do jednej z kieszeni rewolwer Pentecosta, a potem wrócił na pokład, dźwigając akwalung.

Youngblood zastopował silniki i podszedł do niego z wyraźnym pośpiechem.

- Zróbmy to jak najszybciej. Prąd może nas rzucić na te skały, zanim się obejrzymy.

- Daj mi jakąś godzinę - powiedział Chavasse, gdy wyjmowali szalupę z uchwytów. - Potem wróc, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Jeśli zostanę na tej kamienistej plaży, to znaczy, że chcę, byś dopłynął do mola. Jeżeli zaś będę w wodzie, to cała sprawa śmierdzi. Daj mi lepiej swój zegarek. Youngblood odpiął go i podał mu.

- Co wtedy zrobisz?

- Spróbuję dopłynąć z powrotem do łodzi.

Youngblood zaśmiał się ochryple.

- Raczej ty niż ja. No dobra, spuścimy ją na wodę.

Szalupę zbudowano z włókna szklanego, dzięki czemu była bardzo lekka. Spuścili ją na wodę i Youngblood trzymał ją na linie, podczas gdy Chavasse zmagał się z paskami do zakładania akwalungu. Następnie naciągnął maskę na twarz, ustawił odpowiednio dopływ powietrza i przeszedł przez burtę. Youngblood pomachał mu ręką i rzucił linę, a silny prąd natychmiast oderwał szalupę od jachtu.

Wiatr nabierał rozmachu, pędząc przed sobą białe, grzywiaste fale. Gdy Chavasse sięgnął po wiosła, szalupa przechyliła się i nieco wody przelało się nad okładnicą. Odpowiednio rozłożył swój ciężar i zaczął wiosłować. Silniki drgnęły. „Duma Człowieka” zaczęła się oddalać, nie miał jednak czasu, by się jej przyglądać. Gdy zerknął przez ramię, dostrzegł wśród padającego deszczu i bryzgów piany

wyłaniające się z mgły coraz większe, klifowe skały i przybrzeżne fale kotłujące się nad postrzępionymi, groźnie wyglądającymi ostrymi sterczynami skalnymi. Coś zachrobotło głucho o kadłub szalupy; okręcił się kilka razy dookoła, szczęśliwie muskając tylko czarną, ostrą jak brzytwa krawędź skalną, która bez wątpienia mogłaby ją rozplątać równo na pół.

Nie było sensu walczyć z falami - jego lewa ręka po prostu nie miała dość siły, by utrzymać wiosło w tak skrajnie trudnych warunkach. Rozpaczliwie próbował kierować szalupą tylko jedną ręką, ale nic z tego nie wyszło. Nagły, gwałtowny wir wyrwał mu wiosło, chwycił więc mocno rękoma obie burty i czekał.

Wysokie, klifowe urwisko było już bardzo blisko i morze załamywało się nad wielkimi skalnymi występami, tworząc gejzery brudnobiałej piany. Nagle szalupa została porwana do góry przez potężną, sunącą właśnie do przodu falę.

Wyskoczył przez rufę, a woda przykryła go tylko na chwilę. Zdażył wypłynąć na czas, by zobaczyć jeszcze, jak szalupa roztrzaskuje się z impetem o pierwszą linię skał. Jej szczątki uniesione wysoko przez inną falę spadły następnie w morską kipieli, wynurzając się potem jeszcze dwukrotnie, żeby uderzyć o kolejne rafy, aż doszczętnie roztrzaskane bezpowrotnie zniknęły. W skałach po prawej stronie Chavasse dostrzegł jakby wielki gładki komin i gdy następna, ogromna fala przewaliła się nad nim, zanurkował i popłynął w jego kierunku, mocno pracując zaopatrzonymi w płetwy stopami.

Zakotłowało się wokół niego - otoczyła go gęsta nieprzezroczysta kurtyna, utkana z tysięcy białych bąbelków, wirująca i pulsująca bez przerwy. Nagle jakaś gigantyczna siła, jak ręka olbrzyma, wyniosła go na powierzchnię. Zobaczył po obu stronach gładkie, czarne ściany komina i nagle leżał już z szeroko rozłożonymi rękami, wyrzucony na piaszczysto - żwirowy brzeg. Wydawało mu się nagle, że ta sama gigantyczna siła-ręka chce go wciągnąć z powrotem w kipieli, z której go przed chwilą wydobyła, więc zaczął w odruchu paniki iść przed siebie na czworakach. Ponownie przewaliła się nad nim zielona ściana wody, a gdy się cofnęła, wstał niepewnie i potykając się, ruszył naprzód. Po chwili był już bezpieczny, na wąskiej plaży u stóp klifowego urwiska.

W odległości około czterystu metrów od brzegu, sterowana przez automatycznego pilota „Duma Człowieka” krążyła po morzu ze stałą prędkością trzech węzłów, a Youngblood stał przy relingu, patrząc na Chavasse'a przez lornetkę, którą znalazł w sterówce.

Drobna, czarna postać na plaży pomachała mu ręką, po czym skryła ją ponownie zasłona gęstej mgły. Youngblood opuścił lornetkę.

- Na razie w porządku - powiedział cicho. - A teraz sobie trochę poczekamy.

Odwrócił się od burty i zszedł pod pokład do salonu. Nie było widać Molly, ale kiedy ją zawołał, odpowiedziała z kambuza, poszedł więc tam i zastał ją przy parzeniu kawy.

- Myślałem, że próbujesz trochę pospać - odezwał się. Pokręciła głową.

- Nie mogłam - głowa mi pęka z bólu.

- Paul popłynął na brzeg, żeby zorientować się w terenie - powiedział. - Przez następną godzinę będziemy tylko krążyć dookoła, póki nie da nam znaku. Przynies mi na górę trochę kawy, jak będzie gotowa.

Ruszył z powrotem korytarzem, ale zatrzymał się, gdy usłyszał ogłuszające kopanie w drzwi jednej z kabin i wołającego go Vaughana.

- Pytam, stary, czy masz wolną chwilę?

Youngblood otworzył drzwi.

- Czego chcesz? - spytał niezbyt uprzejmie.

- Gdzie jest Drummond?

- Popłynął na brzeg.

- Czyżby? Naprawdę? To bardzo pomysłowo z jego strony. Swoją drogą, to on mi wygląda na bardzo zaradnego gościa, z niezłym zapleczem, ten nasz pan Drummond. Bardzo chciałbym wiedzieć, jak się dowiedział, kim jest Baron.

Youngblood zmarszczył brwi.

- O czym ty, u diabła, gadasz?

- Hrabia Anton Stavru - Baron - odparł Vaughan. - Drummond okazał się człowiekiem całkiem niezłe zorientowanym, kiedy gawędziliśmy sobie pół godziny temu.

Youngblood złapał go za klapy marynarki, wyciągnął na korytarz i poprowadził do salonu. Cisnął go na krzesło, po czym stanął nad nim groźnie.

- Wyjaśnimy to sobie teraz. Twierdzisz, że Drummond powiedział ci, że wie, iż Baron to ten jakiś Stavru?

- Zgadza się, stary. Wiedział nawet o naszej londyńskiej fasadzie - Worldwide Exports. Jeśli mam być całkiem szczerzy, wydawał mi się nadzwyczaj dobrze poinformowany.

- Na to by wyglądało - odezwał się Youngblood z pociemniałą nagle twarzą. Vaughan udał niewinne zdumienie.

- Nie mów, że ci się nie zwierzył.

Youngblood jakby nie słyszał. Jego twarz pobleadła, a na czole, zaraz nad okiem, nabrzmiała mu wyraźnie żyła. Odwrócił się nagle i rzucił w stronę wyjścia na pokład.

Vaughan zaczął się śmiać, trzymając związane ręce wyciągnięte przed sobą na stole, a Molly, która właśnie wyszła z kuchni z kubkiem kawy w ręku, stanęła bez ruchu wpatrując się w niego.

- To dopiero kupa śmiechu. - Spojrzał na nią pytająco. - Nie uważasz?

Z przestachem na twarzy przemknęła obok niego po drugiej stronie stołu i wybiegła na pokład.

Uśmiech Vaughana zniknął i w ciągu sekundy był już na nogach, kierując się do kambuza. Podszedł prosto do szuflady ze sztućcami, tuż koło zlewozmywaka, otworzył ją i zaczął szukać noża do krojenia chleba. Przytrzymał jego trzonek szufladą, tak że ostrze wystawało z niej pionowo do góry i zabrał się do przecinania sznura krępującego jego nadgarstki. W dwie minuty był już wolny i szybko wrócił do salonu.

Przyklęknął na jedno kolano, otworzył schowek pod kanapą i namacał ukrytą dźwignię. Już wcześniej dokonał wyboru, więc teraz od razu wstał, trzymając w ręku półautomatycznego sterlinga. Szybko sprawdził działanie mechanizmu broni i wyszedł na pokład.

Youngblood stał przy relingu z lornetką przy oczach i usiłował dojrzeć przez mgłę Chavasse'a. Po jego lewej stronie stała Molly z kubkiem kawy w ręku.

- Widzisz go? - spytała.

Youngblood skinął głową.

- Ciągłe jest jeszcze na plaży. Pewnie szuka drogi na górę.

Usłyszeli za sobą trzask odbezpieczanego karabinku. Youngblood odwrócił się gwałtownie.

- Spokojnie i grzecznie - odezwał się Vaughan. - Bądź grzecznym chłopcem i nie próbuj robić nic głupiego ani bohaterskiego.

Dziewczyna wydała słaby okrzyk przerażenia i upuściwszy kubek na pokład, złapała kurczowo Youngblooda za rękaw.

- Odczep się ode mnie, ty głupia suko!

- No dobrze, stary, nie denerwuj się. Idź spokojnie do sterówki i uruchom tę starą balię.

- A dokąd to się wybieramy? - spytał Youngblood.

- Prosto do zatoki i to jak najszybciej. Chcę być na miejscu, kiedy nasz przyjaciel Drummond zjawi się w domu, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy znajdzie tam nas wszystkich, czekających na niego.

Chavasse zrzucił z siebie akwalung, ściągnął z nóg wielkie gumowe płetwy i zostawił je w szczelinie skalnej, która wydawała się znajdować poza zasięgiem morza. Czarne i zielone zręby klifowej skały, które wznosiły się wysoko nad nim we mgle, połyskiwały od deszczu i pyłu wodnego i zdecydowanie nie nadawały się do wspinaczki. Ruszył więc wzdłuż plaży, w niektórych miejscach przełaząc przez potężne głazy, w innych brodząc po pas w wodzie albo, gdy morze groziło mu ponownym wciągnięciem, walcząc o życie, przywierając z całej siły do skał.

Spędził na takiej wędrówce co najmniej dwadzieścia minut, aż w końcu znalazł skałę, na której liczne szczeliny i rowki otwierały w miarę dogodną, choć mozolną drogę na szczyt.

Wspinał się pewnie, zatrzymując się w połowie drogi, aby chwilę odpocząć. Odwrócił się, by rzucić okiem na morze. Mgła jakby znowu zgęstniała, toteż nie mógł dojrzeć ani śladu „Dumy Człowieka”, ruszył więc dalej.

Odgłosy morza cichły już stopniowo za nim. Pomimo zimnego deszczu i wiatru pocił się obficie w ściśle przylegającym do skóry gumowym kombinezonie. Ból lewej ręki był stały i dokuczliwy, dając się we znaki nawet wtedy, gdy się nią nie posługiwał. Spod gumowego mankietu rękawa cienkim strumieniem sączyła się krew, co mogło być spowodowane pęknięciem niektórych szwów. Jeśli nawet tak było, w tej chwili i tak nie mógł nic na to poradzić.

Chwilę później wdrapał się na górę i jakiś czas leżał na mokrej trawie. W końcu usiadł, spojrzął na zegarek Youngblooda. Było później, niż się spodziewał - prawie wpół do dziewiątej - wstał więc i ruszył łagodnym, pokrytym darnią zboczem.

Gdy dotarł na szczyt, przykucnął gwałtownie - przed sobą miał duży, naturalny krater, głębokości około dwudziestu metrów i szerokości około sześćdziesięciu. Dokładnie w samym jego środku stał helikopter. Drugi koniec krateru porośnięty był, sosnami, nigdzie nie było jednak widać domu, który, jak zapamiętał z oznaczeń na mapie, znajdował się niżej na zboczu, nieco dalej po drugiej stronie wyspy.

Zszedł do krateru i podbiegł do helikoptera, który dziwnie nie pasował do tego szarego świata mgły i deszczu i stał, jakby czekał właśnie na niego. Wspiął się po bocznej drabince i szybko odkręcił osłonę silnika.

Mógł zrobić wiele rzeczy, aby unieruchomić maszynę bez dokonywania nieodwracalnych uszkodzeń, ale nie miał czasu na takie subtelności. Wybrał duży, ostry kamień, wszedł z powrotem po drabince i rozbił tyle, ile zdołał w ciągu pół minuty. Skoncentrował swoją szczególną uwagę na zbiorniku z paliwem. Gdy opary wysokooktanowej benzyny uniosły się w wilgotne powietrze, zeskoczył na ziemię i pobiegł między drzewa.

Dom stał w innej kotlinie, kilkaset metrów w dół zbocza, za drzewami. Z tego miejsca jednak nie był w stanie dojrzeć wejścia. Doszedł do ścieżki, którą zauważył trochę na lewo od siebie, i zaczął nią zbiegać w kierunku domu.

Na skraju lasu skrył się za krzakiem. Wyjął rewolwer i spojrzął na kamienny taras na tyłach domu. Jedne z oszklonych drzwi tarasu były lekko uchylone i koniec zasłony z czerwonego aksamitu falował na deszczu.

Przez zaniedbany trawnik podszedł od tyłu do budynku, trzymając się dla bezpieczeństwa linii żywopłotu, i zbliżył się do oszklonych drzwi tarasu. Zasłony były całkowicie zaciągnięte, więc nie mógł zajrzeć do środka. Zawahał się tylko przez chwilę, a potem odsunął jedną z nich i wszedł.

Pokój wydawał się pogrążony w całkowitej ciemności, co było oczywiście złudzeniem, zanim jednak oczy Chavasse'a zdążyły przyzwyczać się do zmiany natężenia światła, poczuł, jak coś twardego wbija mu się w skroń.

- Ja się tym zaopiekuję, przyjacielu - odezwał się znajomy głos i jednocześnie ktoś wyrwał mu z dłoni rewolwer.

W tym samym momencie zapaliło się światło. Poza Chavasse'em w pokoju było pięć osób. Vaughan stał po prawej stronie z półautomatycznym karabinem typu sterling w ręku. Youngblood i Molly stali pod przeciwległymi drzwiami, pilnowani przez siwego, postarzałego mężczyznę, którego brązowa twarz była prawie cała pokryta zmarszczkami.

Człowiek, który wstał z klubowego fotela przy wygaszonym kominku, był średniego wzrostu, miał na sobie długą sięgającą do pół uda kurtkę myśliwską z futrzanym kołnierzem i zielony, tyrolski kapelusz, ukośnie przekrzywiony nad zdumiewająco sympatyczną twarzą. Na pewno przekroczył już sześćdziesiątkę, a z

całej jego postawy przebijała naturalna pewność siebie, charakterystyczna dla arystokraty.

- Proszę wejść, panie Drummond czy też, jak raczej powinienem powiedzieć, panie Chavasse. Czekaliśmy na pana. - Zaśmiał się lekko. - Witamy w Babilonie.

12. Nieszczęsny Babilon

Youngblood wysunął się do przodu, a jego twarz wyrażała absolutne zaskoczenie.

- Co to wszystko ma znaczyć?

- Ma pan prawo być zdziwiony, panie Youngblood - odezwał się Stavru. - Proszę mi więc pozwolić wyjaśnić. Pański przyjaciel Drummond jest w rzeczywistości agentem Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Nazywa się Chavasse - Paul Chavasse - i najwyraźniej został umieszczony w więzieniu Fridaythorpe tylko po to, by mieć pana na oku, z czego wynikałoby, że spodziewano się pańskiej ucieczki i mojej propozycji uwolnienia pana.

- Gliniarz? - rzucił Youngblood. - On? - Zaśmiał się z niedowierzaniem. - Nigdy w życiu. Potrafię takiego wyczuć na kilometr nawet pod wiatr. Jeśli on jest gliniarzem, to ja jestem księdzem.

- Ach tak? - Stavru odwrócił się do Chavasse'a, a oczy mu się zwężyły. - Cenię sobie pańską opinię jako eksperta. Wyglądałoby więc na to, że pan Chavasse może być agentem innego rodzaju. - Kiwnął głową w stronę siwowłosego mężczyzny. - Weź pana Youngblooda i tę młodą damę do piwnicy, Gledik, a potem chcę, żebyś poszedł przygotować helikopter do lotu. Wyruszamy za pół godziny.

- Chwileczkę... - zaczął Youngblood, ale Gledik po prostu cofnął się o krok i dokładnie wycelował do niego z lugera którego trzymał w ręku.

- Musi pan wybaczyć Gledikowi - odezwał się Stavru. W wyniku pewnego spotkania z AVO w Budapeszcie stracił język, jest jednak nadzwyczaj sprawny. Na pańskim miejscu robiłbym, co każe.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Stavru odwrócił się z uśmiechem na ustach i wyciągnął papierośnicę.

- Niech się pan poczęstuje, mój drogi przyjacielu, i przejdźmy do interesów. Pan i ja jesteśmy, jak by pan to zapewne ujął, zawodowcami. Znamy wynik. Chavasse przyjął papierosa i ogień.

- Zależy, w jaki sposób się na to patrzy - stwierdził.

- Skąd pan jest - MI 5 czy 6? - Chavasse nie odpowiedział, a brwi Stavru uniosły się na ułamek sekundy. - Coś specjalnego, co? To komplement, muszę powiedzieć. Podobało mi się to małe szachrajstwo z rabunkiem, który otworzył panu drzwi do więzienia. Wysoce pomysłowe.

- To akurat było zupełnie prawdziwe - stwierdził Chavasse, decydując się na razie także na szczerość. - Stwierdziliśmy, że tylko najlepsze jest dosyć dobre. Muszę przyznać, że posiada pan niezłą organizację.

- Staramy się świadczyć naszym klientom usługi najwyższej jakości, jak to lubią określać te typki od reklamy.

- I to nie byle jakie. Wczesny grób dla frajerów, takich jak George Saxton i Ben Hoffa, którzy byli dość naiwni, by dać się nabrać na pański kolorowy folder z propozycją wycieczki, za którą na dodatek zapłacili z góry.

- Chociaż może się to wydawać zupełnie dziwne, panie Chavasse, nikt nie jest aż tak łatwowierny, jak wasi zawodowi przestępcy. Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać ich zdolność do - zupełnie bezkrytycznego przyjmowania wszelkich bredni za dobrą monetę. Są gotowi połknąć nie tylko przynętę i haczyk, ale także żyłkę i ciężarek wraz z całą wędką na dodatek.

- A ci... ci, którzy dotarli na wschodnią stronę żelaznej kurtyny? Musieli być dla pana podwójnie opłacalnym towarem.

- Jak najbardziej, zapewniam pana. W rzeczy samej, przyszło mi właśnie na myśl, że pewne kręgi po tamtej stronie politycznego płotu mogłyby być także szczególnie zainteresowane zjednaniem sobie pana, mój drogi przyjacielu. Każdy człowiek ma swoją cenę, jakkolwiek by na to patrzeć.

Chavasse wyrzucił niedopałek papierosa przez otwarte okno, za którym nadal padał deszcz.

- W obecnych okolicznościach jestem pewien, że uzna pan za zrozumiałą moją ciekawość, jeśli zapytam, jak udało się mnie zdemaskować?

Stavru podszedł do dębowego kredensu i nalał sobie brandy z kryształowej karafki.

- To bardzo niedawne odkrycie, zapewniam pana, ale, niczym dobry dziennikarz, nigdy nie ujawniam moich źródeł informacji. Tajemnica zawodowa. A teraz zechce mi pan wybaczyć. Muszę poczynić pewne przygotowania przed wyjazdem. - Kiwnął głową w kierunku Vaughana. - Zabierz go na dół i dołącz do pozostałych, Simon, a potem wróć tutaj.

- A Youngblood i dziewczyna - co się z nimi stanie? - spytał Chavasse, gdy Vaughan popychał go do drzwi.

- Dobrze się nimi zaopiekujemy, zapewniam pana. Stavru odwrócił się, nie zwracając już na niego zupełnie uwagi, a Vaughan otworzył drzwi.

- Nie bierz sobie tego do serca, stary. Nic nie poczują - naprawdę. Daję ci na to moje słowo.

Piwnica, do której wepchnął go Vaughan, była pogrążona w niemal całkowitej ciemności, wąska smuga światła dochodziła jedynie z okienka po drugiej stronie, o wiele za małego, by można się było przez nie próbować z niej wydostać.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, coś zaszeleściło w głębi pomieszczenia i usłyszał pytanie Youngblooda, który wyszedł mu naprzeciw.

- Kto tam?

- To ja - Paul.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Chavasse przygotowywał się na nagły cios. Nie otrzymał go jednak, za to kiedy Youngblood odezwał się, głos jego był dziwnie przyciszony.

- To, co on tam opowiadał o tobie na górze - to wszystko była prawda?

- Zgadza się.

Youngblood odwrócił się gwałtownie, wybuchając wściekle.

- Ja, Harry Youngblood, nabrany przez jakiegoś cholernego gliniarza.

Chavasse mógł mu oczywiście zwrócić uwagę na to, że bez jego pomocy podróż Youngblooda została gwałtownie przerwana i definitywnie zakończona już na Wykehead Farm, wiedział jednak, że traciłby tylko czas.

- Jeśli chcesz naprawdę wiedzieć, to ani ty, ani twoi przyjaciele nie obchodzą mnie ani trochę, a poza tym nie jestem policjantem. Tak się składa, że Stavru prowadzi pewien miły uboczny interesik. Sprzedaje tajemnice państwowe i ułatwia ucieczki za granicę poszukiwanym przez nas zdrajcom, dostarczając ich rządowi, z którymi jesteśmy w niezupełnie przyjacielskich stosunkach. Wydział, dla którego pracuję, postawił mi tylko jedno zadanie - żeby uniemożliwić mu dalsze wykonywanie tej roboty, to wszystko.

- Wykonanie twojego zadania wiązałoby się jednak z dopilnowaniem przez ciebie, żeby wrócić do więzienia na piętnaście lat - stwierdził Youngblood. - Czy może miałeś zamiar puścić mnie wolno?

- Podjęcie takiej decyzji nie należy do mnie.

- Mój Boże, i to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. - Trzęsąc się z wściekłości, Youngblood odwrócił się.

Z ciemności wynurzyła się Molly i złapała go kurczowo za rękę.

- Co się stanie, Harry?

Spojrzał na nią gniewnie i odepchnął ją od siebie tak brutalnie, że uderzyła o przeciwległą ścianę.

- Odwal się ode mnie, ty głupia, mała dziwko!

Z płaczem upadła na ławkę, a Chavasse zapalił papierosa.

- Ulżyło ci? - spytał.

- Wypchaj się, dobrze? - Youngblood przez chwilę wyglądał przez okienko, po czym odwrócił się gwałtownie.

- Co teraz? Sugerował ci coś?

- A jak ci się wydaje, co?

- Może mógłbym z nim ubić jakiś interes? - ożywił się Youngblood.

- Z pustymi rękami? Mają już przecież twoje diamenty, nie? Co im teraz po tobie? Powinieneś już dawno leżeć na dnie studni w Wykehead.

- Ale musi być jednak chyba jakieś wyjście! - wrzasnął Youngblood, a w jego głosie brzmiały coraz wyraźniej histeryczne tony.

Chavasse przeszedł obok niego, podciągnął się do umieszczonego tuż nad ziemią okienka i wyrzwał na dziedziniec. Zobaczył, jak spomiędzy drzew wynurzył się Gledik, biegnąc szybko do domu. Zeskoczył na ziemię i uśmiechnął się lekko.

- Myślę, że wkrótce coś się zacznie dziać.

I rzeczywiście, minęły zaledwie trzy lub cztery minuty - gdy na korytarzu dały się słyszeć czyjeś pospieszne kroki. Drzwi zostały gwałtownie otwarte i wraz ze strugą światła ukazał się w nich Vaughan. Pozbył się już automatu i trzymał teraz w prawej ręce trzydziestkę ósemkę. O dziwo, wyglądał teraz na dość rozbawionego.

- Hrabia Stavru chciałby zamienić z tobą słówko, stary, jeśli mógłbyś poświęcić mu minutkę - odezwał się do Chavasse'a. - Ale ostrzegam - jest bardzo zirytowany.

Chavasse rzucił okiem na zegarek i wzruszył ramionami - dochodziła dziewiąta. - Mój czas jest całkowicie do waszej dyspozycji. Na pewno nie mam tu nic lepszego do roboty. - Odwrócił się do Youngblooda. - Jeśli za piętnaście minut nie będzie mnie z powrotem, spuść psy.

Youngblood nie zdobył się jednak na żadną odpowiedź, a jego jedyną reakcją stanowiło jakieś głośne przekleństwo, z jakim odwrócił się do niego plecami. Chavasse westchnął więc i wyszedł przed Vaughanem na korytarz.

Stavru stał przy kominku, mówiąc coś do Gledika po węgiersku. Gdy weszli do pokoju, obrócił się szybko. Wydawał się teraz zupełnie innym człowiekiem - skórę na kościach policzkowych miał mocno naciągniętą, a oczy zimne i twarde.

- Jeśli dobrze zrozumiałem Gledika, silnik helikoptera został tak uszkodzony, że jest nie do naprawienia. To pewnie pańska sprawa?

- Zgadza się.

- To było bardzo głupie z pana strony.

- Nie sądzę. - Chavasse podszedł do kredensu i spokojnie nalał sobie kieliszek brandy. - Nigdzie pan nie ucieknie, Stavru. Jest pan skończony - wszystko diabli wzięli. Wczoraj wieczorem, zanim opuściliśmy Upton Magna, zadzwoniłem do mojej centrali w Londynie. Powiedziałem im o Longue Pierre, a oni szybko wyciągnęli z moich informacji odpowiednie wnioski. Mają już pana. Są chyba teraz w pełni usatysfakcjonowani. A propos, nie chciałbym, aby pan tracił niepotrzebnie czas, próbując skontaktować się z Worldwide Exports - wątpię, żeby tam jeszcze ktoś urzędował. Stavru zwrócił się do Vaughana.

- Myślisz, że on mówi prawdę?

- Bardzo prawdopodobne.

- Co oznacza, że jego przyjaciele mogą nam w każdej chwili spaść na głowę.

- Właśnie - stwierdził przymilnie Chavasse. - Dzięki uprzejmości Królewskiej Marynarki Wojennej. Stavru wzruszył ramionami.

- Sytuacja jest niewątpliwie nieco niedogodna, ale nie beznadziejna. „Duma Człowieka” to bardzo szybka łódź. W dziesięć minut możemy być na wodach terytorialnych Francji.

- Zawsze możecie próbować - uprzejmie doradził Chavasse. - Ale sądzę, że stwierdzicie jedynie, iż francuska straż przybrzeżna i policja są zawczasu przygotowane na takie właśnie posunięcie - zmyślał jak mógł.

- Wyglądałoby na to, że przewidział pan wszystkie ewentualności. - Stavru podszedł do otwartych oszklonych drzwi i stanął przy nich. Patrzył przez chwilę na deszcz. Nagle odwrócił się błyskawicznie, a w jego oczach można było dostrzec coś na kształt podniecenia. - A może jednak nie wszystkie? - powiedział cicho i zwrócił się do Vaughana. - Dawaj tu zaraz Youngblooda, Simon, i to szybko. Nie ma czasu do stracenia.

- Nie ma żadnej innej drogi ucieczki i pan o tym dobrze wie - odezwał się Chavasse.

- Macie zdaje się pewne powiedzonko, prawda, panie Chavasse? Rozpaczliwe sytuacje zmuszają do sięgania po rozpaczliwe środki.

Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek. Po chwili do pokoju został wepchnięty Youngblood. Stanął z niepewnym wyrazem twarzy, zaciskając i rozwierając pięści. Stavru podszedł do niego.

- Panie Youngblood, dowiedziałem się właśnie dość niemiłych rzeczy. Najwyraźniej wilki pana Chavasse'a mogą na nas spaść w każdej chwili.

- To pańskie zmartwienie.

- Pańskie również, chyba że bardzo panu zależy na tym, żeby wrócić do swojej celi w Fridaythorpe na dalsze piętnaście lat?

Wyraz twarzy Youngblooda był odpowiedzią. Stavru zaśmiał się cicho.

- W takim razie możemy ubić interes. Rozumiem, że swego czasu był pan podoficerem na kutrach torpedowych w waszej Marynarce Wojennej i że po wojnie zajmował się pan przemytem przez kanał La Manche.

- I co z tego?

- Doprowadził pan tu „Dumę Człowieka” z Anglii nocą podczas nie najlepszej pogody, co wskazywałoby, że zna się pan na rzeczy. Czy potrafiłby pan popłynąć nią do Portugalii? - Odwrócił się do Chavasse'a. - Może powinienem panu wyjaśnić, że ta łódź pływa pod banderą liberyjską. Nawet Królewska Marynarka Wojenna nie miałaby więc żadnego prawa próbować zatrzymać ją na pełnym morzu.

- Ma zasięg tylko sześciuset mil - odezwał się Youngblood. - Potrzeba by dodatkowego paliwa na dalsze trzysta lub czterysta, tak na wszelki wypadek.

- Na przystani jest pełno benzyny w stulitrowych beczkach.

- W porządku, a co ja z tego będę miał?

- Zachowa pan wolność, no i oczywiście odzyska pan swoje diamenty lub ich równowartość we frankach szwajcarskich. Skoro już mówimy o interesach - zamierzam założyć nową organizację w Tangerangze. Myślę, że razem moglibyśmy wiele zdziałać.

- Nie słuchaj go, Harry - odezwał się Chavasse. - W takiej łodzi nigdy nie uda ci się przedostać przez Zatokę Biskajską. Nie o tej porze roku.

- Niby dlaczego nie? - Youngblood uśmiechnął się zuchwale. - Popłynąłbym tą łajbą raczej nawet do piekła, niż miałbym wrócić do Fridaythorpe. - Odwrócił się do Stavru. - Skąd mam wiedzieć, że mogę panu ufać?

Z lekkim uśmiechem na ustach Stavru wyjął z kieszeni lugera i podał mu go.

- Czy to będzie stanowić wystarczającą gwarancję?

Youngblood z zadowoleniem stwierdził, że broń jest naładowana, a następnie wsadził ją do tylnej kieszeni spodni i uśmiechnął się z satysfakcją.

- Dobra, ruszajmy! Im prędzej załadujemy te beczki na pokład, tym wcześniej się stąd wydostaniemy. Stavru skinął głową i zwrócił się do Vaughana.

- Zabierz pana Chavasse'a z powrotem do młodej damy i wracaj jak najszybciej. Chcę, żebyś pomógł mi zlikwidować pewne rzeczy w domu. Gledik może iść z panem Youngbloodem na przystań, żeby ładować paliwo.

- Czy na miejscu będzie pytanie o to, co macie zamiar z nami zrobić? - spytał Chavasse.

Vaughan uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że coś wymyślę, stary.

Popchnięty w kierunku drzwi, Chavasse próbował jeszcze odwołać się do Youngblooda.

- Oni nas zabijają, Harry, wiesz o tym.

- To twoje zmartwienie.

- A co z Molly?

- Nie powinna się była przyłączać do nas. Nikt jej o to nie prosił.

- I to jest twoje ostatnie słowo?

Twarz Youngblooda oblał rumieniec gniewu.

- A co chciałbyś ode mnie usłyszeć, na miłość boską? W życiu trzeba przede wszystkim dbać o siebie samego. - Odwrócił się ze złością i wyszedł z Gledikiem przez oszklone drzwi. Stavru zrobił krok naprzód.

- Smutne, prawda? Ale takie jest życie, mój przyjacielu.

- Jeszcze smutniejsze jest to, że człowiek zawsze zbiera tylko to, co posiał - stwierdził Chavasse. Odwrócił się i wyszedł za Vaughanem.

Gdy piwniczne drzwi zamknęły się za nim, Molly wstała i podeszła zaniepokojona.

- Gdzie Harry? Co oni mu zrobili?

- Ma się świetnie - powiedział uspokajająco Chavasse. - Poszedł na przystań. Popatrzyła na niego bezmyślnie.

- Nie rozumiem. Delikatnie posadził ją na ławce.

- Oni odjeżdżają, Molly. Harry jedzie z nimi. Potrzebują go jako sternika łodzi.

- Ale co ze mną? - zapytała. - Chyba mnie nie zostawi? Weźmie mnie ze sobą?

- Nie liczyłbym na to.

Zerwała się na równe nogi, patrząc na niego dzikim wzrokiem.

- Zabierają go siłą, tak? - Nie czekając nawet na odpowiedź, mówiła dalej. - Co możemy zrobić, Paul? Musi być jakieś wyjście.

Dalsza dyskusja na nic by się nie zdała, toteż Chavasse nawet nie podjął próby. Było prawie wpół do dziesiątej. Zapalił papierosa i usiadł na ławce.

Vaughan przyjdzie po nich zapewne już wkrótce i na to też nie będzie mógł prawdopodobnie nic poradzić. Cokolwiek się stanie, odbędzie się to z bezwzględną, zimną sprawnością, nie miał co do tego żadnych złudzeń, nie da mu na pewno najmniejszej szansy na wyrwanie broni ani na walkę wręcz. Ten człowiek był zbyt perfekcyjnym zawodowcem, żeby popełnić jakieś głupie błędy. Nie ma sensu mówić o tym dziewczynie - byłoby jej tylko trudniej to wszystko znieść.

Usłyszał kroki na korytarzu, potem szcęk zasuwki i drzwi otworzyły się. Vaughan stanął bezpiecznie z boku, a jego ręka pewnie trzymała rewolwer.

- Wychodzić! Idziemy na mały spacer.

- Chcę rozmawiać ze Stavru - odezwał się Chavasse. - Powiedz mu, że jestem gotów ubić z nim interes.

- Nie jest mu już potrzebny żaden interes z tobą, stary. Zresztą nawet gdyby miał się na coś zdecydować, to i tak się spóźniłeś. Zszedł już do łodzi. Właściwie jesteśmy prawie gotowi do wypłynięcia. Dziewczyna wyglądała na zupełnie oszołomioną tym wszystkim.

- Co się dzieje, Paul? Dokąd idziemy?

- Rób, co ci każe, złotko - powiedział Vaughan. - Na dłuższą metę to się opłaca.

Wyszli po schodach z piwnicy; Vaughan trzymał się z tyłu, idąc w pewnej odległości za nimi. Cała ta scena miała w sobie tak duży ładunek straszliwej nieuchronności, że gdy doszli do pokoju na górze, Chavasse zatrzymał się i zapytał go z desperacją:

- Skąd wiesz, że nie ulotnią się bez ciebie?

- Przy tym, co ja o nich wiem i mam zarejestrowane tutaj? - Vaughan z wesołym uśmiechem postukał się wymownie w czoło. - Nie bądź głupi i maszeruj dalej jak grzeczny chłopczyk. Nie mamy zbyt wiele czasu. Padało jeszcze intensywniej niż przedtem, kiedy wyszli przez oszklone drzwi i przechodzili przez trawnik koło domu. W lesie panował spokój - jedynym docierającym do nich odgłosem był szum deszczu, spływającego po gałęziach drzew. Dziewczyna szła przodem potykając się, Chavasse za nią, a Vaughan zamykał pochód. Nie będzie nawet żadnego ostrzeżenia, żadnego rozkazu, by zatrzymać się i odwrócić - Chavasse wiedział to z całą pewnością. Po prostu kula w tył głowy i koniec. Naprawdę nie miał więc już nic do stracenia, bez względu na to, jak beznadziejna była każda próba działania w tej sytuacji. Przypomniał sobie nagle słowa Stavru: „Rozpaczliwe sytuacje zmuszają do sięgania po rozpaczliwe środki”. W pewnym momencie idąca przed nim Molly, która z trudem przedzierała się przez mokre poszycie lasu, odsunęła od siebie wystającą gałąź, Chavasse złapał ją i przytrzymał przez chwilę, a potem głęboko schylił głowę i puścił gałąź z całej siły Vaughanowi w twarz. Ten z krzykiem przerażenia zatoczył się do tyłu, a Chavasse raptownie popchnął Molly w bok. Gdy przewróciła się i zaczęła staczać ze zbocza, ruszył za nią.

Jeden pocisk odłupał kawałek kory z drzewa obok niego, dwa następne przecięły gałęzie nad jego głową. Zaczął posuwać się naprzód biegnąc rozpaczliwie zygzakami, ale potknął się i upadł. Kolejny pocisk prysnął mu ziemią w twarz. Chavasse przeturlał się w bok, krzycząc z bólu, kiedy puściły mu wszystkie szwy na lewej ręce.

Z pochyloną głową poderwał się jeszcze raz naprzód, słysząc gdzieś przed sobą szum płynącej wody, i kiedy przedarł się przez ostatnią zasłonę krzewów, znalazł się nagle na brzegu małego, czystego strumienia, który korytem pokrytym gładkimi kamieniami, szmerząc cicho, kierował się ku morzu.

Dwa następne wystrzały zabrzmiały głucho i złowrogo w wilgotnym powietrzu. Prawa noga zgięła mu się nagle wpół, jakby pod wpływem kopnięcia, i głową w przód wpadł do wody. Przekoziółkował czując, jak otacza go powoli brunatna smuga krwi, sączącej się z głębokiej rany w nodze i spróbował wstać.

Spóźnił się jednak. Usłyszał nad sobą donośny trzask łamanych gałęzi i na brzegu strumyka ukazał się Vaughan.

Był bardzo blady, całkowicie pochłonięty chęcią wykonania swojego zadania. Nie powiedział nic, tylko po prostu uniósł rewolwer i dokładnie wycelował. Kurek szcęknął w pustej komorze. Bez słowa, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Chavasse'a wsunął rewolwer do jednej kieszeni, a z drugiej wyciągnął sprężynowy nóż. Gdy ostrze błysnęło mu w ręce, wszedł do wody i brodząc w niej ruszył do przodu.

Prawa dłoń Chavasse'a zacisnęła się na dużym, okrągłym kamieniu, który spoczywał na dnie. Zamachnął się i cisnął nim w twarz Vaughana z całą siłą, jaka mu pozostała. Vaughan został ugodzony wysoko w prawy policzek. Krzyknął przeraźliwie i zatoczył się do tyłu, a nóż wyleciał mu z ręki i wpadł do wody w odległości metra czy dwóch od Chavasse'a. Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie. Chavasse rozpaczliwym ruchem pochwycił nóż. Przyklęknął na jedno kolano, uniemożliwiając w ten sposób Vaughanowi atak i sam zadał mu straszliwy cios akurat w chwili, gdy tamten ruszył do przodu. Ostry jak brzytwa nóż wszedł gładko w jego ciało i rozplątał je niemal na pół.

Vaughan znieruchomiał na chwilę, jakby zdał sobie nagle sprawę, że jest to już koniec jego ostatniej drogi, z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy, po czym zupełnie nieoczekiwanie uśmiechnął się.

- A niech mnie licho. Więc ta stara suka miała jednak rację.

Krew buchnęła mu przez usta i upadł twarzą do wody.

Chavasse ruszył przed siebie i wydostał się na czworakach na brzeg. Przyjrzał się teraz przez moment bliżej swojej nodze i znalazł dwie dziury w gumowym kombinezonie, świadczące, że kula przeszła przez nią gładko na wylot.

Nie bolało, dopóki nie spróbował wstać i iść - wtedy ból był potworny, rozchodzący się wewnątrz promieniście jak ogień, aż pot wystąpił mu na czoło. Na szczęście rana niewiele krwawiła, ruszył więc chwiejnym krokiem. Chwytał się po drodze świerkowych gałęzi i głośno wołał Molly.

Dotarł już prawie do skraju lasu, kiedy znalazł ją wreszcie skuloną pod jakimś krzakiem, przemoczoną do suchej nitki. Poderwała się i wybiegła mu na spotkanie.

- Dzięki Bogu, Paul, nic ci nie jest?

- Prawie.

- Gdzie pan Smith?

- Leży twarzą w dół w strumieniu, gdzieś tam w tyle za nami.

Nie zrozumiała i w podnieceniu schwyła go kurczowo za rękę.

- Musimy się pospieszyć, jeśli mamy zejść na czas do przystani. Wpatrywał się w nią bez wyrazu.

- Do przystani? Po co?

- Niedługo odpłyną i zabiorą ze sobą Harry'ego. Musimy ich zatrzymać.

Chavasse lekko pochwyił ją za ramiona, usiłując znaleźć odpowiednie słowa.

- On odpłynie z nimi, ponieważ chce płynąć, Molly. Zgodził się dowieźć Stavru łodzią do Portugalii. W zamian za to otrzyma wolność i swoje pieniądze.

Wybuchnęła śmiechem - po raz pierwszy, odkąd ją znał, wybuchnęła śmiechem.

- Ale to wszystko razem nie ma sensu.

- On nas po prostu zostawił, Molly. Zostawił nas na stracenie. Nigdy, przez cały czas nie miałaś nawet małej szansy na jakieś miejsce w jego przyszłości.

- Kłamiesz - powiedziała niskim głosem, w którym słychać było rozpacz. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. - Gwałtownie uwolniła się z jego uścisku. - Puść mnie. Jeśli ty nie chcesz mu pomóc, ja to zrobię.

- Nikt na świecie nie może już teraz pomóc Harry'emu Youngbloodowi.

Zesztywniała zupełnie, przerażona powagą jego słów, a Chavasse przysunął do oczu rękę z zegarkiem, żeby mogła zobaczyć godzinę.

- Magnetyczna mina zegarowa. Nie przekręciłem mechanizmu zegarowego do pozycji neutralnej, tak jak mówiłem. Ustawiłem go na maksymalny czas - dwanaście godzin. Tylko to mnie pocieszało przez ostatnią godzinę.

Lekko pokręciła głową z niedowierzaniem, a na jej twarzy pojawił się wyraz autentycznego przerażenia.

Nagle wybuchnęła i przystąpiła z furią do działania. Kopnęła go w łydkę i z rozwartymi szeroko palcami skoczyła mu do oczu. Ranna noga nie wytrzymała obciążenia i ugięła się pod nim nagle, więc stracił równowagę i upadł, a dziewczyna odwróciła się i pobiegła. Leżał tak przez chwilę, bo kręciło mu się w głowie, po czym wstał i z wielkim trudem, powłócząc ranną nogą, ruszył za nią. Deszcz ciągle padał bębniąc bezlitośnie, ale mgła przerzedziła się trochę, toteż kiedy dotarł do skraju doliny z drugiej strony domu, ujrzał poniżej małą zatoczkę. Łódź ciągle była przywiązana do przystani, a Stavru i Youngblood, którzy stali na dziobie, przyglądali się Gledikowi, mocującemu beczki z benzyną. Molly była już w połowie drogi ze wzgórza, biegnąc tak, jak pewnie jeszcze nigdy w życiu. Chavasse nie miał żadnych szans, żeby ją złapać, ale zacisnąwszy zęby, ruszył ścieżką w dół. Zawołała na Youngblooda głośno i wyraźnie i trzech mężczyzn odwrócili się, spoglądając w jej kierunku. Po chwili była już na dole, biegła do nich, krzycząc i machając rękami. W momencie, gdy stawiała stopę na pomoście przystani, „Duma Człowieka” wyleciała w powietrze ze straszliwym hukiem, który jak grzmot odbił się echem od skalnego, klifowego urwiska. Sekundę później wybuchły zbiorniki paliwa i wielkie języki ognia zaczęły strzelać dookoła we wszystkich kierunkach. Kawałki kadłuba unosiły się nad tym wszystkim w jakimś dziwnym tańcu w powietrzu, przypominającym zdjęcia filmowe, odtwarzane w zwolnionym tempie. Chavasse schylił gwałtownie głowę, gdy nagle drobne szczątki rozerwanego wybuchem metalu zaczęły gwizdać nad nim, trzaskając o kamienie pokrywające wzgórze. Nie do wiary, ale zupełnie zapomniał o bólu i zaczął biec, ześlizgując się ze zbocza w lawinie piachu i kamieni. Podniósł się na dole i rzucił w gęstą zasłonę czarnego dymu, która okrywała przystań.

- Molly! - zawołał. - Molly, odezwij się! Nie było jednak odpowiedzi, słyszał tylko trzaskanie płomieni i czuł swąd palącego się oleju i benzyny. „Duma Człowieka” zniknęła zupełnie, zabierając ze sobą trzech mężczyzn. Tylko

niewiarygodnie poskręcane części kadłuba i nadbudowy stanowiły świadectwo tego, że w ogóle kiedykolwiek istniała. Ale Molly była tam - leżała twarzą w dół w połowie pomostu. Nie widać było na jej ciele żadnej rany, była jednak z pewnością martwa. Odwrócił ją delikatnie na plecy i osunął się obok niej. Dla niej było już po wszystkim - wszystkie wątpliwości rozproszone, wszystkie namiętności wypalone - nie dla niego jednak. Byli jeszcze ludzie, którymi trzeba się będzie zająć: zwłaszcza Atkinson, dowódca Straży Więziennej z Fridaythorpe. Również w biurze lub w Wydziale Specjalnym Scotland Yardu było jakieś słabe ogniwo - osoba winna przecieku do Stavru w sprawie jego tożsamości. Trzeba będzie ją znaleźć i trzeba się będzie z nią zdecydowanie rozprawić, ale nie teraz, nie teraz. Gdzieś z oddali doszedł go odgłos silników okrętowych, prawdopodobnie były to kutry torpedowe, które Mallory obiecał postawić w stan gotowości, pędzące teraz na odgłos wybuchu, żeby sprawdzić, co się stało. Jemu jednak wydawało się to już zupełnie bez znaczenia. Spojrzał na martwą dziewczynę, która z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy wpatrywała się gdzieś poza nim, w wieczną nieskończoność.

- Biedna, mała, brzydka suka - powiedział głośno do siebie.

I nagle, zupełnie bez żadnego racjonalnego, powodu, wziął ją za rękę i mocno trzymał, podczas gdy pierwszy kuter torpedowy przybijał do przystani.

Nigdy potem nie potrafił sobie wytłumaczyć w zadowalający sposób, dlaczego tak się wtedy zachował.